



JAVIER

CASTILLO

Co się stało
z Mirandą Huff?



JAVIER
CASTILLO

Co się stało
z Mirandą Huff?

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Joanna Ostrowska

Wydawnictwo Literackie

„Kiedy znowu spojrzałem jej w oczy,
zdałem sobie sprawę, że już jej w nich nie ma”.

*Dla Veroniki,
bo jest wiatrem, który dmie w moje żagle.*

*Dla Gali,
małej lwicy, która ryczy z uśmiechem na twarzy.*

*Dla Brunona,
szczęścia, które opóźniło oddanie tej powieści do druku.*

PROLOG

Ryan

Następny ranek

25 września 2015

Nadal prześladował mnie zapach krwi. Nadal miałem przed oczami obraz powiewającej na wietrze taśmy policyjnej, którą zabezpieczono samochód Mirandy, i świateł latarek tańczących w ciemnościach spowijających Hidden Springs. Nadal rozbrzmiewała mi w uszach złowroga cisza panująca w domku. Miranda przepadła bez śladu. Jakby pochłonęła ją ziemia, jakby wessał ją ciemny las. Moja żona zniknęła.

Rzuciłem się na kanapę w salonie naszego nic niewartego okazałego domu i próbowałem pozbierać myśli. Przez cienkie firanki przenikało poranne światło. Zakryłem oczy dłonią. Nagle usłyszałem głośnie stukanie do drzwi. Praktycznie nie spałem. Wróciłem do domu o świcie, jakieś dwie godziny wcześniej. To była jedna z najgorszych nocy w moim życiu. Nie zdołałem jeszcze przetrwać tego, co się stało. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, była rozmowa z kurierem, czy kogo tam licho przyniosło. Byłem wykończony, udałem więc, że nikogo nie ma w domu. Wziąłem kilka głębokich wdechów, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą pozbawioną wyrazu twarz Mirandy. Patrzyła na mnie z góry, jak zawsze.

Przełknąłem ślinę i już miałem zapytać, gdzie była, ale kiedy mrugnąłem, zniknęła. Znowu.

Łomotanie przybierało na sile. A jeśli to Miranda chce się wytłumaczyć, dlaczego przepadła bez słowa wyjaśnienia? Zerwałem się z kanapy i pobiegłem do wyjścia.

– Miranda?! – wrzasnąłem, łapiąc za złotą gałkę. Otwierając drzwi, nawet nie zapytałem kto tam.

– Panie Huff... – odezwał się kobiecy głos.

Nie od razu ją poznałem. Policjantka spoglądała na mnie z powagą. Miała na sobie to samo ubranie co ubiegłej nocy, podobnie jak ja.

– Ach, to pani – odpowiedziałem rozczarowany. – Może mówić pani do mnie Ryan – dodałem. Odwróciłem się i poczłapałem w stronę kanapy. – Dowiedziała

się pani czegoś?

– Nieopodal miejsca, gdzie zniknęła pańska żona, znaleźliśmy zwłoki kobiety – poinformowała, nie ruszając się z progu.

Znieruchomiałem w pozycji tyłem do drzwi. Serce podskoczyło mi do gardła, ledwie mogłem oddychać.

– Panie Huff? Słyszysz mnie pan?

Rozmawialiśmy kilka godzin wcześniej, kiedy zgłosiłem zaginięcie Mirandy. Nie spodziewałem się wtedy takiego zakończenia. Wierzyłem, że moja żona wróci do domu jak gdyby nigdy nic i uraczy mnie jakąś historyjką, która wyjaśni powody jej dziwnego zniknięcia. Że skończy się na jakiejś nieprawdopodobnej opowieści, kolejnej do kolekcji.

– Zwłoki były zakopane płytko pod ziemią – ciągnęła policjantka – przy leśnej ścieżce uczęszczanej przez turystów odwiedzających Hidden Springs.

Nazwa miasteczka odbiła się echem w mojej głowie. Hidden Springs. Policjantka mówiła dalej: ojciec z synem zauważyli wystającą z ziemi stopę, odsłoniętą przez deszcz. Tymczasem ja nadal stałem bez ruchu, odwrócony plecami do drzwi. Próbowałem powstrzymać łzy.

– Panie Huff, wiem, że jest panu trudno i że to nie najlepszy moment... – przerwała, po czym dodała już innym tonem – ...ale musi pan zidentyfikować zwłoki.

ROZDZIAŁ 1

Ryan

Ostatni raz

24 września 2015

Obudziłem się nagi w zmiętej pościeli. Kiedy tylko otworzyłem oczy, zatęskniłem za przenikliwym spojrzeniem Mirandy, jakim mnie zwykle przewiercała, próbując odgadnąć moje sny. „Jakież to demony dopadły cię tej nocy? Przed kim uciekałeś w koszmarze? Kim się, do diabła, stałeś?”, zdawała się myśleć. Złote światło poranka zalewało jej czerwonawe włosy i dodawało osobliwego blasku jej brązowym oczom. Zawsze to robiła: kiedy się obudziła, zostawała jeszcze przez jakiś czas w łóżku i patrzyła, jak śpię, jakby oglądała spektakl. W końcu otwierałem oczy i zaczynaliśmy się kłócić. Tak naprawdę nadal nie wiem, co nią powodowało. Zapewniała, że chce dzielić ze mną „pierwsze chwile dnia”, ale moim zdaniem był to po prostu jedyny moment, kiedy nie skakaliśmy sobie do oczu. Pewnie lubiła myśleć, że łączy nas coś więcej niż wzajemne pretensje i uszczypliwości. Docinki Mirandy zwykle były błyskotliwe. Przyznam, że w równym stopniu mnie irytowały, co bawiły. Była mistrzynią w kojarzeniu faktów, wywlekaniu przeszłości, ciskaniu sztyletami oskarżeń. Kłótnie stały się naszą ulubioną, jedyną, śmiercionośną rozrywką.

Stanąłem na miękkim kremowym dywanie, który sama wybrała, kiedy zdecydowaliśmy się na budowę tego domu. Tego naszego *home sweet home*, naszej inwestycji w przyszłość, naszej lokaty finansowej, którą diabli wzięli, kiedy na rynku nieruchomości wybuchł kryzys.

Powietrze w pokoju było przesycone zapachem perfum. Givenchy, które podarowałem jej w ubiegłym roku z okazji naszej drugiej rocznicy. Roczniczy, po-której-wszystko-trafia-na-właściwe-miejsce i która wytycza drogę na kolejne lata. Moi rodzice mawiali, że pierwsza rocznica to czysta radość. Po ślubie zaczyna się wielkie świętowanie nowego życia we dwoje, obie strony idą na ustępstwa, żeby nie naruszyć rozejmu i jak najdłużej cieszyć się powiewem świeżości. Ale kiedy nadchodzi druga rocznica, nie ma już śladu po tej nowości, po tym iskrzeniu, po chęci, żeby coś zademonstrować, i właśnie przy wyborze prezentów okazuje się,

jacy jesteśmy tandetni, jak mało znamy naszego partnera, jak rzadko go słuchamy albo wręcz jak niewiele nas on obchodzi. „Nie wiesz, że od zapachu wanilii chce mi się rzygać?”. Do tej pory pamiętam jej urażone spojrzenie, jej podniesiony głos, którym poinformowała całą restaurację o tym, że dałem ciąa.

Nie mogę jej winić za tamto rozczarowanie. Dała mi wcześniej kilka wskazówek, co chciałaby dostać, ale – jeśli mam być szczery – nie bardzo zwracałem uwagę na to, co wtedy mówiła. Może dlatego, że miałem na głowie inne zmartwienia: nasz dom w zawrotnym tempie tracił na wartości. Wybudowaliśmy go na znajdującym się na obrzeżach Los Angeles „eleganckim osiedlu”, które zdaniem naszego agenta nieruchomości miało stać się „nowym Beverly Hills”. A gdy już wydaliśmy całe nasze oszczędności na działkę, przekonany, że możemy sobie na to pozwolić, wziąłem ogromny kredyt, i chyba nie muszę mówić, że kolejny raz dałem ciąa, bo kryzys na rynku mieszkaniowym sprawił, że wartość domu spadła do jednej czwartej naszego zadłużenia, i na bliżej nieokreślony czas skazał nas na to błyszczące, wyłożone wykładziną, drewniane więzienie.

Wcześniej mieszkaliśmy w wynajętym lofcie w spokojnej części Hollywood, gdzie łatwo było dojechać, wyposażonym „we wszystko, co niezbędne”, jak zapewniano w ogłoszeniu, które znaleźliśmy w gazecie. Przeprowadziliśmy się do niego na drugim roku studiów. Oboje zamierzaliśmy zawojować świat i postanowiliśmy razem zamieszkać. Spotykaliśmy się już od jakiegoś czasu i byłem pewien, że Miranda jest tą jedyną, moim „wszystkim, co niezbędne”. W lofcie rzeczywiście znajdowało się wszystko, czego nam było trzeba: wygodne łóżko. Nie obchodziło nas, że mieszkamy w klitce na obrzeżach Los Angeles, przy bocznej uliczce odchodzącej od innej bocznej uliczki, na rogu niczego i niczego, piętnaście metrów od torów kolejowych. Pewnie na tym właśnie polegał „łatwy dojazd” do loftu. Gdy popijało się poranną kawę, przy każdym przejeździe pociągu po pobliskich torach można było poczuć, jak drży podłoga.

Znów wciągnąłem zapach jej perfum. Zdziwiło mnie, że się nimi spryskała, bo wcześniej ani razu ich nie użyła. Wiem, że ich nie znosiła. Miało się wrażenie, że rozplynęła się w powietrzu kilka sekund czy kilka minut przed tym, zanim się obudziłem. Zawsze poruszała się bezszelestnie, niemal sunęła po podłodze; kręciła tym swoim tyłeczkiem, jakby uderzała w niewidoczne ściany. Wyobraziłem sobie, że przechadza się tak po pokoju, boso, w samej bieliźnie.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Mirandę, miałem osiemnaście lat i natychmiast uległem jej urokowi. Byliśmy w tej samej grupie, widywałem ją na korytarzu i obserwowałem na zajęciach. Połączył nas komentarz o Harrym Potterze, którym powitałem jednego z wykładowców. Niewinny żart rzucony bez zastanowienia na

zawsze zmienił naszą przyszłość. Zakpiłem z wielkiego Jamesa Blacka, byłego reżysera – jeżeli reżyser kiedykolwiek przestaje być reżyserem – który w 1982 roku dostał Oscara za najlepszy film. Jego *Wspaniałe wczorajsze życie* weszło do kanonu kina, omawialiśmy je na zajęciach ze scenopisarstwa ze względu na niesamowitą strukturę: fabuła zatacza krąg, początek i koniec są ze sobą mistrzowsko powiązane, drobne zbiegi okoliczności spajają poszczególne wątki. Analizowaliśmy ten film także na zajęciach ze zdjęć, ze względu na niesamowitą kompozycję każdego kadru, i z aktorstwa, ze względu na wybitną grę postaci, które zdają się żywsze niż niejeden z nas. Był to pierwszy film Blacka, a okazał się jednym z najwybitniejszych obrazów w historii kina. Anonimowy reżyser z dnia na dzień stał się megagwiazdą. Byłem uczniem Jamesa Blacka, podziwiałem go zarówno za wizjonerstwo, jak i za to, że odsunął się od blasku fleszy i poświęcił pracy ze studentami, byśmy któregoś dnia mogli zajść równie daleko jak on.

Miranda wyrosła u mego boku, kiedy czytałem jakiś scenariusz. Muszę przyznać, że w tamtej chwili nie przyszło mi do głowy, że rozmowa z nią zaważy na naszym życiu. Nigdy nie zdajemy sobie sprawy, że przeżywamy przełomowy moment, gdy ten akurat trwa. Koncentrowałem się wtedy na gestykulacji Mirandy, ni to słodkiej, ni to zmysłowej, na jej energii i na tym, jaki tchnął od niej spokój. Kiedy odchodziła, kręcąc pupą, dwukrotnie się odwróciłem, żeby sprawdzić, czy nie śnię. B-I-N-G-O!

Włożyłem spodnie od piżamy, które leżały przy łóżku, i wyszedłem do przedpokoju. Mój wzrok padł na dwie spakowane walizki. Mieliśmy spędzić weekend w wynajętej drewnianej chatce w Hidden Springs, w samym sercu Angeles National Forest. Takie było zalecenie naszego „doradcy małżeńskiego”. Właśnie tak, doradcy małżeńskiego. Facet stwierdził, że musimy „odbudować filary zaufania”, „przypomnieć sobie, czym jest przygoda”, „odetchnąć świeżym powietrzem”. Zamiast zdradzać, co myślę o naszym terapeutce, jego metodach i łagodnym, pojednawczym tonie, wspomnę, że sam dwukrotnie się rozwodził.

Chciał, żebyśmy spędzili z Mirandą weekend nad górskim strumieniem odcięci od świata, żebyśmy wyłączyli telefony i komputery i na kilka dni zapomnieli o pisaniu. Radził nam też między innymi, żebyśmy codziennie opowiadali sobie o swoich sprawach (czyli po prostu ze sobą rozmawiali), dwa razy w tygodniu jedli kolację na mieście (i tak to robiliśmy), brali razem prysznic (to akurat mi się podobało), spali nago (dobry pomysł, ty zboku) i wypróbowali kilka zabawek erotycznych (mówiłem, że w czym się specjalizował?).

Usłyszałem odgłos prysznica, więc skierowałem się do łazienki. Zza półprzezroczystej zasłony buchała para, za którą rysowała się sylwetka Mirandy.

Przypomniała mi się scena z *Psychozy*: ona rozkoszuje się kąpielą, podczas gdy od strony drzwi zbliża się ciemna złowroga postać. To dziwne, ale chyba jeszcze nie wspomniałem, że jestem scenarzystą. Chociaż może powinienem powiedzieć, że byłem scenarzystą. Zwykle z dumą informowałem o tym każdą nowo poznaną osobę. Słowo to zawsze wymykało mi się z ust, kiedy witałem się z kimś po raz pierwszy: „Cześć, jestem Ryan Huff, scenarzysta”. Nawet gdy ktoś inny przedstawiał mnie jako scenarzystę – „To Ryan Huff, scenarzysta” – powtarzałem: „scenarzysta”, na wypadek gdyby rozmówca nie dosłyszał albo żeby wryło mu się to w pamięć. SCE-NA-RZY-STA. Może zależy mi na tym, żeby ludzie cenili mnie bardziej, niż na to zasługuję, albo żeby z góry uprzedzić, że należę do „tego światka”, jak to się mówi w Hollywood. Pamiętam swoje początki w tym mieście, kiedy sprzedawałem za marne grosze scenariusz krótkometrażówki. To był pierwszy weekend, który spędzaliśmy w naszej małej wielkiej klitce, nie zdążyliśmy jeszcze zrobić zakupów, dlatego poszedłem na śniadanie do baru przy stacji benzynowej. Sam, bo Miranda była na kursie czegoś tam. Kelnerka zapytała, czym się zajmuję.

– Jestem scenarzystą – oznajmiłem z dumą.

– Jak wszyscy w tym mieście – odparła z pogardą, rzucając na ladę brudnopis scenariusza autorstwa niejakej Durdeen Sparks.

Przejrzałem go, jedząc śniadanie, i wydał mi się świetny. Dawno nie czytałem czegoś równie dobrego. Zapytałem kelnerkę, czy zna Durdeen Sparks.

– Oczywiście, masz ją przed sobą, chłopcze – odpowiedziała i wskazała przypiętą do uniformu plakietkę z imieniem.

Była to lekcja pokory, dzięki której nie poddałem się, kiedy raz za razem odrzucano mój projekt. Scenariusz Durdeen uświadomił mi, że poziom jest bardzo wysoki i że do niego nie dorastam, toteż na kilka miesięcy zamknąłem się w domu: w kółko przerabiałem tekst, prawie nigdzie nie wychodziłem. Pieniądze, które dostałem za krótkometrażówkę, rozpląły się po dwóch miesiącach. Oboje z Mirandą spalaliśmy się w robocie. Ona też pracowała nad scenariuszami, w tym samym czasie miała na tapecie ponad dwadzieścia pomysłów, ale do każdego napisała zaledwie po kilka stron.

Zawsze była bardziej kreatywna ode mnie. Co więcej, moje scenariusze opierały się na historiach zrodzonych w jej mrocznym, zagmatwanym umyśle. Budowanie scenerii, wątków i zwrotów akcji przychodziło jej z taką łatwością, że ja ze swoją wyobraźnią zostawałem daleko w tyle. Wpadała na jakiś pomysł, rozwijała go w głowie z najdrobniejszymi szczegółami, ale nie umiała przenieść go na papier, nadać mu formy i tchnąć w niego życie, tak by mógł trafić na duży ekran. Ja z kolei byłem może niezbyt pomysłowy i kreatywny, ale za to wytrwały i zdolny do

poświęceń. Potrafiłem nie spać przez kilka nocy, obmyślając idealną kwestię dla mojego bohatera. Wytrwałość i zdolność do poświęceń – tego właśnie brakowało wszelkim działaniom Mirandy. Nie skończyła chyba żadnego ze swoich scenariuszy i wydaje mi się, że to właśnie było jednym z powodów, dla których żywiła do mnie tak wielką urazę. Na początku mojej kariery wyglądało to zupełnie inaczej. Patrzyła na mnie z podziwem, chwaliła się mną przed koleżankami. Co się stało z tamtą Mirandą z lat studenckich? Gdzie się ukryła?

Spojrzałem na jej sylwetkę rysującą się za zasłoną: Miranda zachowała figurę z czasów, kiedy się poznaliśmy. W tej kwestii była akurat zawzięta i konsekwentna, skrupulatnie przestrzegała planu treningowego obejmującego pływanie, poranny jogging i piesze wycieczki. Nie wiem, jak mogła tak intensywnie ćwiczyć. Nawet kiedy jechaliśmy na urlop, zabierała ze sobą buty do biegania i przed śniadaniem zawsze zaliczała swoje dziesięć? dwanaście? dwadzieścia kilometrów? Nie mam pojęcia, jaki dystans pokonywała, mnie męczy już samo myślenie o bieganiu.

Wyczuła moją obecność i odwróciła głowę. Przez kilka sekund stała nieruchomo, po czym przechyliła się na bok i wyjrzała zza zasłony.

- Wchodzisz? – zapytała, przeszywając mnie chłodnym spojrzeniem.
- Jasne – odpowiedziałem. – Jak mógłbym odmówić...

ROZDZIAŁ 2

Ryan

Starzy znajomi

24 września 2015

Po prysznicu wyszedłem z domu, z mokrymi włosami i bez śniadania. Miranda wysłała mnie do supermarketu, żebym kupił coś do jedzenia na nasz wyjazd. Ona miała dokończyć pakowanie, ogarnąć mieszkanie i sprawdzić, czy nie zapomnieliśmy o czymś ważnym. To miało być najdłuższe czterdzieści osiem godzin naszego małżeństwa. Zabrnęliśmy w ślepy zaułek, stąpaliśmy po naprawdę cienkim lodzie. Oboje baliśmy się, że podczas tego wyjazdu uświadomimy sobie, że nasz związek to przeszłość.

Stałem w progu i sięgałem po kluczyki do buicka, kiedy usłyszałem głos Mirandy rozmawiającej przez telefon.

– Hannah? Możesz w weekend rzucić okiem na nasz dom?

Hannah Parks mieszka obok nas. W tajnym kodzie „rzucić okiem na dom” oznaczało pozapalać światła wieczorem i zgasić je rano. Dziwna taktyka na odstraszenie złodziei. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to najgorszy sygnał, jaki możesz wysłać światu. Jakbyś mówił „Hej! Spójrzcie! Tutaj! Na ten dom, w którym pali się światło przez całą noc! Wchodźcie! Nie tylko znajdziecie w nim cenne przedmioty, których nikt nie pilnuje, ale w dodatku nie wpadniecie po ciemku na meble!”. Kiedy Hannah i jej mąż Tom wybierali się w podróż, teoretycznie to ja miałem zaglądać do nich o zachodzie i o wschodzie słońca, ale możecie mi wierzyć – ani razu tego nie zrobiłem. „Dziś ja tobie, jutro ty mnie”, odpowiadałem, kiedy dziękowali mi za przysługę.

– Tak, wynajęliśmy na weekend domek w lesie. Wiem! To takie...

Miranda spojrzała na mnie z powagą, jakbyśmy się przed chwilą nie kochali. Puściła do mnie oko, ale na jej twarzy nie malowały się żadne emocje. Odmrugnąłem. Patrzyła na mnie równie obojętnie jak w ostatnich miesiącach. Jej spojrzenie było niemal zwierzęce. Ale nie dzikie i intensywne, wręcz przeciwnie. Przypominało spojrzenie sarny. Praktycznie bez wyrazu. Jej twarz nawet nie drgnęła. Wbijała we mnie swoje wielkie źrenice, jakby czekała, aż wykonam jakiś

ruch, jakby szukała pretekstu, by puścić się biegiem. Kiedy żona patrzy na ciebie jak sarna, wiesz, że balansujesz na linie. Odwróciłem się i zamknąłem za sobą drzwi.

Wsiadłem do buicka i ruszyłem. Spojrzałem w lusterko wsteczne: dom był ogromny, o wiele za duży dla nas dwojga. Spokojnie pomieściłby pięcio-, sześćoosobową rodzinę. Taki zresztą był plan. Po ślubie postanowiliśmy, że damy sobie czas na podróż i nacieszymy się życiem, zanim pojawi się dziecko. Zarobiłem trochę na sprzedaży swojej pierwszej pełnometrażówki i wtedy postanowiliśmy zainwestować w ten dom. „Wicie gniazda” – to określenie najlepiej definiuje ten zakup. Mój scenariusz dostał nominację do BAFT-y i to był początek końca.

Byliśmy zapraszani na festiwale, prywatne imprezy, premiery. Na przyjęciu w domu Aarona Sorkina, którego poznałem przypadkiem podczas któregoś z festiwali, zostaliśmy nawet przedstawieni Scorsesemu i Fincherowi. Już myśleliśmy, że los i talent skierowały nas na właściwą drogę, kiedy wszystko zaczęło się sypać. Presja sukcesu zniszczyła moją kreatywność. Zepchnęła ją do jakiegoś ciemnego zakątka mózgu. Nie byłem w stanie napisać żadnego przyzwoitego tekstu. Każdy nowy scenariusz był gorszy od poprzedniego. Mijały miesiące, oszczędności topniały, a moje relacje z Mirandą stawały się coraz bardziej napięte. Chciałem wznieść się na wyżyny nominowanego scenariusza, a zamiast tego spadałem coraz niżej.

– Zapomnij o nagrodach i skup się na pisaniu – poradziła mi. – Nagrody nas nie wyżywią.

Nie posłuchałem jej. Znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny, wiedziała, jak działa mój umysł, i rozkminiła jego wszystkie wybiegi, ale ja popełniłem błąd i nie poszedłem za jej radą. Nie wspomniałem jeszcze, że pomysł na ten nominowany scenariusz podsunęła mi Miranda i że nigdy jej za to wprost nie podziękowałem. Nie chodzi mi o cały scenariusz, ale o punkt wyjścia. Moje najlepsze dzieło powstało dzięki iskrze jej geniuszu, a ja nie odważyłem się tego przyznać choćby w końcowych napisach.

Z czasem zniknęły flesze, coraz rzadziej zaczęły przychodzić zaproszenia na premiery, a mój producent przestał do mnie codziennie wydzwaniać.

Myślę, że to właśnie było zapałkę, która podpaliła nasz związek, już i tak lizany przez płomienie pretensji i niewdzięczności. Raz za razem odrzucano moje scenariusze. Mieliśmy do spłacenia wielki dom, a nikt nie chciał moich historii. Miranda zaczęła pisać teksty do reklam telewizyjnych i było to nasze jedyne źródło dochodów, co ledwo starczało na pokrycie rat kredytu. Naszą skrzynkę

bombardowały wezwania do zapłaty.

Tak naprawdę Miranda nigdy mi tego nie wypomniała. To, że żywiła do mnie urazę, było tylko domysłem, teorią, którą stworzyłem z fragmentów jej spojrzeń, krępującego milczenia, szybkich krótkich odpowiedzi na pytania o pracę. Jako osoba praktyczna nie lubiła konfrontacji. Uważała, że dyskusje niczemu nie służą. Kiedy nie zgadzaliśmy się w jakiejś kwestii, milkła i uważnie słuchała moich argumentów.

– Świetnie – rzucała z uśmiechem, po czym wychodziła z pokoju.

Nic nie doprowadzało mnie tak do szału. Miranda bardzo się tym szczyciła. Doskonale wiedziała, jak wkurzyć faceta. Dorastała otoczona mężczyznami. Przejęła rolę swojej matki Lizy, która umarła na raka, kiedy Miranda miała jedenaście lat. Jej starsi bracia, Zack i Morris, nie mieli zamiaru zajmować się domem, natomiast ojciec, stary Tim, całymi dniami pracował, a w nocy pił. Z tej przesyconej testosteronem atmosfery jej wybitny umysł wyciągnął lekcję, której się trzymała w naszym związku: „Jeżeli chcesz dojechać mężczyźnie, przyznaj mu rację”. Znam ją, bo włożyła to zdanie w usta jednej z moich bohaterek. Oczywiście od razu zrozumiałem aluzję.

Po wyjściu z supermarketu pojechałem na obrzeża Los Angeles, żeby zajrzeć do Blacka. Choć zarobił na swoich filmach nieprzyzwoite pieniądze, praktycznie nie zmienił stylu życia. Mieszkał w jednym z tych niskich domków na każdą kieszeń – kupił go na początku kariery. Jeździł wysłużonym samochodem, który co rusz musiał odstawić do warsztatu, i codziennie stołował się w Steak Yorku, jednym z tych barów ze zdjęciami jedzenia w menu, gdzie kelnerki podające kawę mówią do ciebie „kochaniutki”. Jeżeli chciałeś zobaczyć słynnego Jamesa Blacka, wystarczyło pójść w południe do Steak Yorku: siedział przy stoliku i pałaszował stek z jajkiem sadzonym i frytkami. Autobus turystyczny kursujący po Hollywood specjalnie tamtędy przejeżdżał, żeby pokazać, gdzie wielki reżyser jada befsztyki. „Droży państwo, proszę przygotować aparaty, bo oto znajdujemy się w miejscu, gdzie codziennie stołuje się James Black”. Po czym rozbłyskiwała seria fleszy wymierzonych w bar.

Podjechałem pod dom, ale nie było tam samochodu Blacka. Jeden z sąsiadów zauważył, że zatrzymałem się na podjeździe, i wpatrywał się we mnie, jakbym dopuścił się jakiegoś przestępstwa. Spojrzałem na zegarek: dwunasta trzydzieści cztery. 12:34. Raz, dwa, trzy, cztery. Prawie jak rytm tańca, który wkrótce się zacznie. Może w ten weekend, z moją żoną? Raz, dwa, trzy, cztery. Sąsiad dwukrotnie zastukał w szybę buicka.

– O tej porze Black jest już w Steak Yorku! – krzyknął, robiąc z dłoni daszek, by

osłonić się przed słońcem i zobaczyć moją twarz.

Skinałem głową i posłałem mu fałszywy uśmiech. Wkurwiło mnie, że tak lustruje wnętrze mojego samochodu.

Wrzuciłem wsteczny i kilka minut później byłem pod Steak Yorkiem. Wjechałem na parking przed budynkiem przypominającym kontener z aluminium, z żółtawymi szybami i brązowymi zasłonkami. Kiedy wyłączyłem silnik, do baru weszły dwie kobiety w tweedowych spódnicach. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się autobus z turystami. Była dwunasta czterdzieści pięć. Wsiadłem i pozdrowiłem tłum błyskający flesztami w moją stronę. „Powinienem być się lepiej ubrać”, pomyślałem.

Wszedłem do środka, wprawiając w ruch dzwonki wiszące po drugiej stronie drzwi. W głębi lokalu, z dala od baru, siedział Black, ubrany w niebieską koszulę, i czytał „Los Angeles Timesa”. Na nosie miał okągłe okulary a la Harry Potter. To był jego znak rozpoznawczy. Przez całe życie nosił ten sam model i to właśnie dzięki temu zostaliśmy przyjaciółmi.

– Czytał pan J.K. Rowling? – rzuciłem na pierwszych zajęciach, kiedy tylko się nam przedstawił.

Nie zamierzałem dokuczyć Blackowi, po prostu chciałem wyjść przed innymi na zgrzywusa. Byłem przekonany, że ktoś tego formatu nie czytał *Harry’ego Pottera* i że nie zrozumie mojego złośliwego (i, jak się teraz nad tym zastanawiam, raczej durnego) pytania.

– Widział pan *Obywatela Kane’a*? Analizował pan zdjęcia Wesa Andersona? Czytał pan ostateczną wersję scenariusza *Garsonieri*? – odrzekł, wypisując na tablicy tytuły i nazwiska. – Nie zajdzie pan daleko w świecie kina, jeżeli będzie pan tracił czas na rozśmieszanie grupy, zamiast wykorzystać go na to, by uczyć się od największych.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nikt się nie odzywał, ja także milczałem, świadom, że niepotrzebnie poruszyłem jakąś czułą strunę.

– Poza tym, młody człowieku – dodał Black – nie będę opowiadał o swoich prywatnych sprawach mugolowi. - Uśmiechnął się, po czym, rzucając kredę innemu studentowi, spytał go, czego oczekuje po jego zajęciach.

Taki właśnie był: pełen niespodzianek, energiczny, prowokujący. Miało się ochotę notować jego słowa podczas każdej rozmowy. Na wszystkim się znał, dlatego zawsze przychodziłem do niego po radę. Nie tylko w kwestiach związanych z kinem, z wątkami czy dialogami w moich scenariuszach, ale też w sprawach osobistych. Pomagał mi od początku mojej kariery w Hollywood i wiedział wszystko o moich problemach z Mirandą. Podczas gdy ja głowiłem się

godzinami nad tym, co, u licha, miała na myśli moja droga małżonka podczas ostatniej kłótni, on wiedział to właściwie od razu.

– Mają robić remake *Łowcy androidów* – powiedział na powitanie, nie podnosząc wzroku znad gazety.

Miał szósty zmysł do wykrywania mojej obecności. Byliśmy przyjaciółmi już od tylu lat, że przestaliśmy się witać.

– A co jest nie tak ze starą wersją? – odparłem, siadając naprzeciwko niego.

– No właśnie nie wiem. Pewnie brakuje im pomysłów albo mają za dużo pieniędzy. Albo i jedno, i drugie. Albo chcą więcej pieniędzy. Tak. Na pewno. Chcą więcej pieniędzy.

– Przeważnie taka właśnie jest odpowiedź. Więcej pieniędzy.

Spojrzałem na Kochaniutkę, jak nazywałem pięćdziesięcioletnią kelnerkę, która malowała się jak szesnastolatka. „Whisky” – powiedziałem bezgłośnie w jej kierunku.

Przed Blackiem stały już jajka sadzone z bekonem. Nadal nawet na mnie nie spojrzał. Był ubrany w brązowy sweter, miał siwe włosy i pomarszczone czoło. Według Wikipedii skończył sześćdziesiąt lat, ale kiedy pytałeś go o wiek, zawsze odpowiadał to samo: „Pięćdziesiąt”. Mówił tak, odkąd go znałem.

– Dziś zrezygnowałeś ze steku? Rozczarujesz swoją publiczność – stwierdziłem, wskazując grupę Azjatów. Stali za szybą i pstrykali zdjęcia.

– Lekarz mi mówi, że mam za wysoki cholesterol – odpowiedział, po czym włożył do ust kawałek bekonu. – Chcę, żeby tak pozostało. Nie zamierzam go uszczęśliwiać przy następnej wizycie.

Uśmiechnąłem się.

– A ty... potrzebujesz drinka o tej porze?

– Może nawet dwóch.

– Nic nie mów. – Odłożył sztucę i potarł palcami skronie, udając wrózkę. – Znowu Miranda?

– Żebyś wiedział.

– Myślałem, że lepiej się wam układa. Nie chodźcie co tydzień do tego gościa? Jak mu tam?

– Doktor Morgan.

– Nie mogę zapamiętać jego nazwiska. Chyba zacznę go nazywać Psychoszarlatanem Numer Jeden.

– To nie jest żaden psychiatra ani nawet szarlatan, raczej... doradca małżeński. Z tych kiepskich, szczerze mówiąc, ale nie stać nas na lepszego.

Black spojrzał na mnie ze współczuciem. Jego losy potoczyły się zupełnie

inaczej niż moje. Zgromadził majątek o trudnej do oszacowania wartości, jego filmy zarobiły w sumie ponad miliard dolarów. Przez całą karierę podejmował jedną trafną decyzję za drugą. W przeciwieństwie do mnie. Black nie wyglądał na milionera, ale kolorowe magazyny, które rozpisywały się o jego życiu, systematycznie podkreślały plotki o wartości jego fortuny.

– Ryanie, już ci to mówiłem i myślę, że nie muszę powtarzać.

Wiedziałem, co ma na myśli. „Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, wystarczy, że poprosisz”. Kiedy powiedziałem mu, że mamy z Mirandą problemy finansowe, zaproponował, że rozwiąże je w jeden dzień. Wyciągnął książeczkę, podpisał czek i rzucił mi go na stół. Stanowczo zaprotestowałem. Nawet nie spojrzałem na blankiet: podarłem go na cztery części i urażony wstałem od stolika. Nie zwróciłem uwagi, czy wpisał jakąkolwiek kwotę. Oferował nam gotowe rozwiązanie. Dosłownie. Czek *in blanco* pozwoliłby spłacić kredyt hipoteczny, który zaciskał nam pętle na szyjach i pchał nasze małżeństwo ku przepaści. Ale ja nie przyjaźniłem się z Blackiem dla pieniędzy, nie mogłem pozwolić, żeby swoją kasą naprawiał nasze błędy. Ojciec zawsze mi mówił, że muszę brać odpowiedzialność za własne czyny. Należałem do tych dzieci, które kiedy coś zepsują, udają, że nic się nie stało. Jak gdyby nigdy nic wracałem do swoich zajęć. Nawet w obliczu twardych dowodów zarzekałem się, że to nie moja wina.

– Nie potrzebujemy pieniędzy, James – skłamałem. – Serio. Dziękuję za propozycję, ale w tym momencie wiedzie nam się całkiem nieźle.

Black lekko się uśmiechnął.

– W takim razie olej tego gościa. Naprawdę uważam, że w niczym wam nie pomoże. Ktoś obcy wchodzi z butami w wasz związek, w wasze głowy, i wkłada w nie takie myśli, jakby faktycznie was znał.

Kelnerka postawiła przede mną szklaneczkę.

– Proszę, kochaniutki – powiedziała. – Kiedy po mnie wpadniesz?

– Czyżby Peter umarł, a ja nic o tym nie wiem? – zapytałem, podnosząc wzrok.

– Chciałabym. Niestety nadal leży na kanapie i ogląda wiadomości.

– Na pewno wciąż niezły z niego amant, tyle że ty nie chcesz tego dostrzec.

Kochaniutka nazywała się w rzeczywistości Ashley Hills, była szczęśliwą mężatką i na swój pokręcony sposób flirtowała ze wszystkimi klientami, jakby dzięki temu mogła zgarniać większe napiwki. Stąd właśnie jej przezwisko.

– Kiedyś był z niego taki przystojniak jak z ciebie. Wysoki i umięśniony. Przypominasz go z twarzy, z czasów, kiedy był młody: mocno zarysowana szczęka i spojrzenie grzecznego chłopca. Nie masz pojęcia, jak upływ czasu potrafi spieszyć życie.

James chwycił moją szklaneczkę, uniósł ją, wznosząc toast za to, co powiedziała Ashley, i pociągnął łyk whisky.

– Jeszcze jedną, kochaniutka – powiedział. – Ryan właśnie stracił swoją.

– Się robi, kotku – odparła i odeszła w stronę baru, poruszając się przy tym tak, jakby nadal miała dwadzieścia jeden lat.

– Musisz kiedyś spróbować obiadu w innej restauracji – mówiąc to, starałem się wymazać z pamięci tyłek Ashley.

– Och, uwierz mi, spróbowałem. Raz.

–No i?

– Narobiłem jeszcze większego zamieszania.

– Czemu?

– Bo nikt się mnie tam nie spodziewał.

Wybuchnąłem śmiechem. Po części miał rację. Black stał się symbolem Hollywood, atrakcją turystyczną pory obiadowej. To tak jakby Statua Wolności pojawiła się nagle pośrodku Times Square.

– Czyli jaki jest plan? Co tym razem zaproponował wam ten cały doradca? Żebyście wybrali się do jednego z tych klubów, gdzie można się wymieniać partnerami? Czytałem w „Variety”, że mają zrobić taki film. Nawet o tym nie myśl, Ryanie. Nawet o tym nie myśl.

– O wymianie partnerów? Tylko tego mi brakowało. Żeby Miranda mogła porównać mnie z innym? Mam za niską samoocenę. Nie, nie. Zalecił nam coś znacznie prostszego.

– Żebyście rozmawiali ze sobą jak normalna para?

– Powiedziałem: „coś znacznie prostszego”, a nie „niewykonalnego”.

– Jest aż tak źle?

– No cóż... powiedzmy, że miewaliśmy lepsze tygodnie.

Miranda nieźle by się wkurzyła, gdyby usłyszała, że kwituję naszą obecną sytuację zdaniem „Miewaliśmy lepsze tygodnie”. Jakby to była tylko kwestia tygodni. Nie układało nam się już od miesięcy, z każdym dniem coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy. Byliśmy jak dwa rozregulowane zegarki, które nigdy nie pokazują tej samej godziny. Kiedy ja zaczynałem wierzyć, że uda się uratować nasz związek, Miranda akurat padała z nóg, była zawałona robotą i nie chciało jej się rozmawiać. A kiedy ona mogła poświęcić trochę więcej czasu naszym relacjom, ja czułem nagły przypływ weny, zamykałem się w gabinecie, żeby pisać, i nie pozwalałem, by ktokolwiek mi przeszkadzał. Nie zauważyliśmy, co się z nami dzieje, że nasze życia powoli się rozchodzą. Mieszkaliśmy pod jednym dachem, ale o innych porach. Kiedy ja miałem ochotę na wspólny lunch, ona była na zebraniu;

kiedy ona chciała zrobić mi niespodziankę i rezerwowała stolik w restauracji, żeby uczcić podpisanie nowej umowy z agencją reklamową, ja byłem już po kolacji i nie chciało mi się ruszać z domu. Wiedzieliśmy, że jeśli nic się nie zmieni, nasze drogi rozejdą się na zawsze. To Miranda zaproponowała terapię małżeńską. Brzmiało to wspaniale: bezstronny sędzia, który będzie wydawał wyroki, kiedy jedna ze stron dopuści się wykroczenia przeciwko drugiej. W praktyce wyglądało to jednak całkiem inaczej.

Doktor Morgan nie potrafił skłonić nas nawet do tego, żebyśmy razem opowiedzieli mu o naszych problemach. Podczas pierwszego spotkania pokłóciliśmy się przy nim o to, że musimy korzystać z jego pomocy. Kolejne sesje odbywaliśmy już pojedynczo: Miranda wchodziła do gabinetu, opowiadała swoją historyjkę, po czym wchodziłem ja i sprzedawałem swoją. Czekaliśmy na siebie w Starbucksie po drugiej stronie ulicy. Jeśli mam być szczery, te spotkania po sesji były największym osiągnięciem doktora Morgana.

– Wiesz przecież, że zawsze uważałem Mirandę za chodzący ideał. Inteligentna, niezależna, atrakcyjna. Łączy w sobie trzy cechy, których przez całe życie szukałem u kobiety – powiedział Black, po czym znowu pociągnął łyk whisky z mojej szklanki.

– Ja też tak myślałem. W przeciwnym razie bym się z nią nie ożenił. Tyle że teraz nie... Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie możemy ze sobą wytrzymać.

– No dobrze, to co macie zrobić tym razem?

– Spędzić razem weekend w chatce w środku lasu. Bez komórek. Bez niczego, co odwracałoby naszą uwagę.

– Kurde, brzmi całkiem nieźle.

– Bo nie jesteś jej mężem i w dodatku nie masz komórki.

Black zawsze szczyił się tym, że nie wpuścił do swojego życia telefonów komórkowych. Był antysystemowcem, jeśli chodzi o technologię. Trzymał się z dala od portali społecznościowych, smartfonów, a nawet efektów specjalnych w swoich filmach. Kiedy musiałeś się z nim skontaktować albo pilnie go o coś zapytać, miałeś dwa wyjścia: pójść do jego biura i poprosić asystentkę, Mandy, żeby przekazała mu wiadomość, albo udać się do Steak Yorku z nadzieją, że akurat przyszedł na swojego steka. Black zdecydowanie preferował kontakty twarzą w twarz.

– Jeśli ktoś chce mnie znaleźć, wie, gdzie mnie szukać. Mam prostą rutynę. Jeśli ma mi coś do powiedzenia, niech przychodzi tutaj. Jeśli chce wysłać mi zdjęcie, niech je wywoła. Uwielbiam wywołane fotografie. Co się stało z albumami?

– Chyba nie ma już nawet zakładów, gdzie można by wywołać zdjęcia.

– Powinieneś taki otworzyć. Papier zawsze lepiej się sprawdza. Ładnie pachnie, a błysk poprawia jakość zdjęć.

– Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

W mojej kieszeni zadzwoniła komórka. Wyjąłem ją i spojrzałem na ekran.

– Miranda. Czego ona znowu chce?

Coś musiało być nie tak, skoro dzwoniła do mnie niedługo po tym, jak wyszedłem z domu. Nie miałem ochoty na złe wiadomości.

– Podobno próbujecie uratować wasze małżeństwo. Odbierz. Doktor Morgan powiedziała ci, żebyś odebrał.

– A co powiedziała mi mój przyjaciel?

– Żebyś odebrał, do kurwy nędzy. Małżeństwo jest jak scenariusz. Liczy się każdy dialog.

Blackowi zawsze udawało się wywołać na mojej twarzy uśmiech. Mniej więcej takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– Co jest, kochanie? – zapytałem, obserwując, jak Black wkłada do ust kawałek bułki, który wcześniej zamoczył w żółtku. – Fatalnie. No co ty? Jasne. Tak. Oczywiście. Widzimy się na miejscu. Ja ciebie też.

Przerwałem połączenie. Black podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Widzisz? Nie było tak strasznie. Czego chciała?

– Jest jakiś problem z jej reklamą i musi jechać do agencji.

– To znaczy, że masz z głowy romantyczny weekend?

– Chciałbym! Mamy się spotkać w chatce.

Black przez chwilę mi się przyglądał.

– Coś mi mówi, że się tam nie pojawi. Faktycznie nie wygląda to dobrze.

– Wiem, kurwa, wiem. Raczej bardzo niedobrze.

Nie wiedziałem natomiast, że sprawa aż tak się skomplikuje i że nadciąga huragan, który zmiecie wszystko na swojej drodze.

ROZDZIAŁ 3

Miranda

Kiedy wszystko cię boli

To było... Jakby to powiedzieć...? Fascynujące. Właśnie tak. Fas-cy-nu-ją-ce. Motyle w brzuchu, nieustające mrowienie palców. Kilka tygodni po rozpoczęciu roku akademickiego zobaczyłam go, idąc na zajęcia. Siedział sam, z grubym maszynopisem, ubrany w dzinsy i luźną koszulę. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy, chociaż nieraz na niego wpadałam: w wydziałowej bibliotece, kiedy pisał coś w skupieniu, w tych swoich okularach w grubych oprawkach, które zakładał tylko do czytania i które jeszcze dodawały tajemniczości jego łagodnej twarzy; albo na kampusie, kiedy, leżąc na trawie, notował coś w brązowym zeszytcie. Miał buźkę grzecznego chłopczyka i uśmiech z tych, co to mogą rozjaśnić ciemną noc. Czasami próbowałam sobie wyobrazić, co się za nim kryje. Nazywał się Ryan Huff, zauważyłam go już na pierwszych zajęciach, kiedy próbował sprowokować Jamesa Blacka. Był nieśmiały, a zarazem zuchwały. Inteligentny, ale też ciapowaty. Pełen pasji i zupełnie jej pozbawiony. Wprost stworzony dla mnie.

Poprzednią noc przeplakałam z powodu... Larry'ego? Morrisa? Co za różnica, niech będzie Larry. Tak, pasuje do niego Larry. To chłopak, z którym się wtedy spotykałam, największy buc na UCLA. Był o dwa lata starszy ode mnie, studiował zarządzanie, poznaliśmy się tydzień przed rozpoczęciem zajęć, na imprezie powitalnej. Tamtego wieczoru Larry zachowywał się tak, jakbym była jedyną kobietą na świecie. Podobał mi się. Był energiczny i przystojny, miał szerokie barki, grał w lacrosse'a i świetnie udawał szczerzy śmiech. Umawialiśmy się przez kilka tygodni. Przez cały ten czas był szarmancki, uprzejmy i opiekuńczy. W końcu poszliśmy do łóżka. Kiedy leżeliśmy nadzy, powiedział:

– Było fajnie, Mirando. Bardzo fajnie. Ale rok dopiero się zaczął... i myślę, że powinniśmy poznać innych ludzi, spróbować nowych rzeczy.

Wstałam.

Ubrałam się.

Skinęłam głowę.

Wyszłam.

Cała ja: magnes na palantów.

Poczułam się jak idiotka. Poczułam się brudna. Poczułam się jak wsiowa prostytutka oszukana przez miastowego szpanera. Następnego dnia zobaczyłam, jak flirtuje z inną: obejmował ją w talii i zanosił się tym swoim niby szczerym śmiechem. Zaraz potem wpadłam na Ryana.

Na widok jego promiennego uśmiechu miałam wrażenie, że wali się na mnie świat. Dziwne, zaskakujące uczucie: jakby w moim wnętrzu szalał huragan. Wtedy pomyślałam, że to z powodu mojej głupiej przygody z Larrym, ale teraz jestem przekonana, że po prostu przeczuwałam, jak straszne będzie moje życie z Ryanem.

ROZDZIAŁ 4

Ryan

Domek

24 września 2015

Pożegnałem się z Blackiem i ruszyłem w stronę drzwi. Po drodze minąłem parę rozentuzjasmowanych Japończyków, którzy chcieli zrobić sobie z nim zdjęcie.

– Baw się dobrze! – zawołał, kiedy odchodziłem od stolika. Nawet nie odwróciłem głowy.

„Baw się dobrze”. Jakby to było możliwe z Mirandą. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio dobrze się z nią bawiłem. Chyba zapomniałem nawet, jak brzmi jej śmiech. Wiem, że go uwielbiałem, dodawał mi skrzydeł, cieszyłem się, że to ja jestem jego przyczyną, ale teraz trudno mi sobie przypomnieć jego brzmienie.

Nie żebym w ciągu ostatnich miesięcy nie słyszał, jak się śmieje – po prostu jej śmiech był teraz inny. Jakby przygaszony. Kiedy rzucałem jakiś żart, jej grzecznościowy chichot trwał dokładnie tyle, ile powinien, i urywał się raptownie, jakby już wykonała swoje zadanie i nie musiała się więcej wysilać. Nietrudno zauważyć, że ktoś śmieje się tylko z obowiązku. Śmiech jest jak orgazm. Albo wydobywa się ze środka, z wnętrzości, albo od razu się orientujesz, że coś nie gra.

Od jakiegoś czasu Miranda udawała również orgazmy. Chociaż akurat tego, jak wyglądały, kiedy naprawdę czerpaliśmy przyjemność z seksu, nie zapomniałem. Zazwyczaj drżał jej brzuch, wykonywała gwałtowne ruchy talią, wbijała mi palce w łopatki, oboje dyszeliśmy. Ale któregoś dnia już tylko jęczała i przyciskała mnie do siebie, jakbym był głupi i się nie orientowałem, że chce jak najszybciej zakończyć te męki. Przyznam, że były okresy, kiedy nie miałem ochoty na seks, bo bałem się, że znowu będzie udawać. Przytłaczała mnie myśl, że mielibyśmy leżeć nago jedno na drugim i okłamywać nawet nasze ciała. Nagość sprawia, że jesteś bardziej bezbronny. Nie należy kłamać, kiedy nie masz na sobie ubrania. To bez sensu. Obnażanie się przed drugą osobą powinno dotyczyć zarówno ciała, jak i duszy, a my od jakiegoś czasu obnażaliśmy tylko ciała. Chyba żaden mężczyzna nie chce myśleć, że nie jest w stanie zaspokoić swojej kobiety. Ale zdarzały się wyjątki. Na przykład tego ranka pod prysznicem była bardziej rozochociona... bardziej

swawolna, że się tak wyrażę. Szczerze mówiąc, ogromnie mi się to podobało. Miałem wręcz wrażenie, że jest jak dawniej. Staliśmy pod strumieniem wody, gryzła moją wargę, przywierała do mnie i obejmowała mnie nogami, jakby złapała mnie w sidła, z których już się nie uwolnię.

Pomyślałem, że może nasza leśna przygoda roznieci ogień, którego nam brakuje, ale kiedy było już po wszystkim, Miranda bez słowa dokończyła toaletę i szybko się ubrała. Zmroziła mnie jej obojętność. Jakby do niczego nie doszło. Nic nie powiedziała, po prostu wyszła z łazienki. Poczułem się tak, jakbym mieszkał z obcą osobą. Do głowy przyszła mi tylko ta jedna myśl: „Gdzie się ukryłaś, Mirando?”.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem na wschód. Nie spieszyło mi się. Miranda powiedziała, że przyjedzie dopiero wieczorem. Zatrzymałem się w kilku miejscach, żeby zrobić ostatnie zakupy i załatwić parę spraw. Wstąpiłem do Nicksa po butelkę wina i do księgarni po dwa thrillery, na wypadek gdyby plan się nie powiódł. Miały być alternatywą dla kłótni z Mirandą. Doktor Morgan postawił sprawę jasno: „Jeżeli zaczniecie się kłócić, rozdzielcie się na chwilę, zróbcie coś innego, a kiedy minie wzburzenie, wróćcie do rozmowy. Jedyna zasada obowiązująca w ten weekend jest taka, że nie możecie zrezygnować z planu”. Spędzenie dwóch dni na picciu i czytaniu wcale nie brzmiało tak źle, nawet jeśli miała mi towarzyszyć Miranda.

Spojrzałem na zegarek. Była już osiemnasta, dzień minął niepostrzeżenie, a ja wciąż szukałem pretekstów, żeby odwlec moment wyjazdu do Hidden Springs, górskiej miejscowości na zachód od Big Pines, gdzie wynajęliśmy domek. Wszyscy znają Big Pines z powodu Mountain High Resort, stacji narciarskiej w górach San Gabriel. Hidden Springs leży w samym sercu Angeles National Park, ale nie jest tak bardzo uczęszczane. W rzeczywistości to mała miejscina, o którą zahacza się przejazdem. Według strony internetowej gminy – sam tekst na białym tle ujęty w czterech podpunktach – Hidden Springs liczy sobie trzy tysiące mieszkańców i sto atrakcji. Dokładnie sto. Ni więcej, ni mniej. Ta informacja zwróciła moją uwagę, tym bardziej że do atrakcji zaliczono stację benzynową, supermarket i remizę strażacką.

Jak już wspomniałem, Hidden Springs polecił nam doktor Morgan. Nie było tam drogo, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy jeszcze nie spadł śnieg, a górski klimat nie dawał się za bardzo we znaki. Miejscowość leży na wysokości około dwóch tysięcy pięciuset metrów nad poziomem morza, więc pogoda bywa zmienna, nawet we wrześniu, mimo że to hrabstwo Los Angeles. Latem możesz dosłownie się upiec, a zimą spada tyle śniegu, że zamarzają ci jaja. Idealne miejsce na nieudany wypad.

Po godzinie skręciłem w szosę numer dwa prowadzącą do Big Pines i Hidden Springs. Ze wskazówek Mirandy wynikało, że chatka znajduje się na południe od miejscowości, piętnaście minut jazdy drogą gruntową odchodzącą od ulicy z targowiskiem.

Dotarłem do Hidden Springs przed zmrokiem i od razu natknąłem się na Merry Cafe, kawiarnię mieszczącą się w pomalowanym na zielono drewnianym domku, przez cały rok ozdobionym lampkami choinkowymi, by zwrócić uwagę podróżnych przejeżdżających szosą numer dwa, która prowadziła także do Los Angeles. Miałem ochotę na kawę. Akurat kiedy nadjeżdżałem, zapaliły się światełka na dachu, piekielnie skuteczne w przyciąganiu komarów. Sprawdziłem godzinę. Musiałem jeszcze znaleźć domek, gdzieś na południe od Hidden Springs, a instrukcje Mirandy były dość skąpe. Wjechałem pod górkę i na końcu Crest Street skręciłem w drogę gruntową, o której wspomniała żona. Bałem się, że koła ugrzęzną w błocie. Minąłem kilka chatek rozsianych między sosnami, a kiedy wreszcie dotarłem do skupiska drewnianych domków kempingowych, dostałem wiadomość od Mirandy. Przeczytałem ją, trzymając kierownicę jedną ręką: „Widzę cię”.

Tylko tyle. Zwolniłem i zacząłem rozglądać się na boki, żeby wypatrzeć między drzewami jej samochód zaparkowany przed którymś z domków. Wiadomość wydała mi się dziwna: dwa proste słowa, ale jakże wieloznaczne. Zapadła noc, w zasięgu wzroku nie było żadnych aut, chatki tonęły w mroku, tylko na końcu drogi majaczyło światełko. Poszczególne domki dzieliło od siebie jakieś sto metrów, więc na oko miałem do pokonania jeszcze ze trzysta. Zaparkowałem przed chatką z numerem jedenaście. Zdziwiło mnie, że palą się w niej wszystkie światła. Przed wejściem stał samochód Mirandy, czerwony chrysler SUV z rejestracją z Nevady. Pomyślałem, że pewnie czeka na mnie naburmuszona, bo przyjechałem po niej. W tej części nie było latarni, jedyne światło, padając z wnętrza domku, oświetlało mały drewniany ganek i przód mojego auta.

Sięgnąłem po torby z jedzeniem leżące na fotelu pasażera i, zanim wysiadłem, wziąłem głęboki oddech. Nie wiedzieć czemu, miałem ściśnięte gardło. Nie podobało mi się, że na siłę odbudowujemy nasz związek, że doszliśmy do miejsca, w którym musimy organizować taki wyjazd, bo inaczej nie jesteśmy w stanie się dogadać. Co się z nami stało? Jak do tego dopuściliśmy?

Zajrzałem przez szybę i uśmiechnąłem się pojednawczo na wypadek, gdyby Miranda wypatrywała mnie przez okno, ale jej nie zobaczyłem. Podeszedłem do wejścia i chciałem wystukać rytm *La cucaracha*, ale po pierwszym puknięciu w drewno drzwi powoli się uchyliły. Miranda musiała zostawić je dla mnie otwarte.

Zdziwiłem się, że nie ma jej w salonie.

Z kranu w kuchni leciała woda, na brązowej kanapie leżały nasze walizki, na kuchennym blacie stały dwa kieliszki z winem, na gramofonie skrzypiała skończona płyta.

– Mirando?! – krzyknąłem w stronę przedpokoju w głębi, gdzie powinny znajdować się łazienka i sypialnia. Nie odpowiedziała.

Zdecydowanym krokiem wszedłem do przedpokoju. Miałem dziwne wrażenie, że coś jest nie tak: cisza panująca w tej części domku była tak przytłaczająca, że coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie zastanę tu żony. Deski trzeszczały mi pod stopami, zapach świeżo polakierowanego drewna wypełniał nozdrza.

– Mirando? – powtórzyłem. – Chowanie się przede mną to jedna z gier, które zasugerował ci doktor Morgan?

Rozbawiło mnie, że nie odpowiada. Pomyślałem, że siedzi zamknięta w szafie albo czai się wśród drzew w lesie i obserwuje mnie z ukrycia swoim psotnym spojrzeniem. Przyznam, że gdy przypomniałem sobie, jaka była kiedyś figlarna, zacząłem inaczej patrzeć na nasz wspólny weekend: może mimo wszystko spędzimy go miło, jak para studentów, którzy pod nieobecność rodziców mają dla siebie wolną chatę.

– Dobra, skoro chcesz się bawić, to się bawmy! – krzyknąłem na tyle donośnie, żeby mój głos rozniósł się po całym domku.

Skradałem się tak, by nie robić hałasu. Chciałem zaskoczyć Mirandę w najmniej spodziewanym momencie. Jak na początku naszej znajomości: pamiętałem, jak wtedy krzyczała, jak zanosiliśmy się śmiechem, kiedy brałem ją w ramiona, podnosiłem do góry i łaskotałem. Takie zabawy zawsze kończyły się w łóżku. Zdjąłem buty i posuwałem się wzdłuż ściany, żeby nie zdradziło mnie skrzypienie drewnianej podłogi. Dotarłem do końca przedpokoju, pchnąłem drzwi do łazienki i oniemiałem. Nie wiedziałem, co myśleć: zasłona prysznicowa leżała na podłodze, ochlapana krwią.

– Mirando! – zawołałem wystraszony. – Mirando!

Pobiegłem do sypialni z nadzieją, że ją tam zastanę, ale zobaczyłem tylko rozgrzebane łóżko oświetlone blaskiem lampki stojącej na szafce nocnej. Wracając do salonu, rozglądałem się na boki – liczyłem na to, że zaraz gdzieś się pojawi, ze śmiechem i słowami, że to tylko żart, ale mijały kolejne sekundy, a moje wołania pozostawały bez odpowiedzi. Intuicja podpowiadała mi, że przytrafiło jej się coś złego. Wziąłem ze stołu komórkę i zadzwoniłem. Modliłem się, żeby odebrała. Poczulem ukłucie w piersiach, kiedy okazało się, że ma wyłączony telefon.

ROZDZIAŁ 5

Ryan

Krew

24 września 2015

Czekając na przybycie policji, kilkakrotnie obiegłem domek. Za każdym razem miałem nadzieję, że zastanę Mirandę w salonie, że uśmiechnie się na mój widok i zbędzie mnie jakąś wymówką. Usiadłem na skórzanej kanapie i nalałem sobie wina, które kupiłem przed wyjazdem. Sytuacja zaczynała mnie przerastać. Wpatrywałem się w jej ostatnią wiadomość: WIDZĘ CIĘ. Nie pamiętam dokładnie, ile czasu minęło. Uznałem, że nie powinienem się już przemieszczać, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Nagle front domku oświetliły reflektory terenówki, oślepiający blask przeszył firanki w oknach. Niezdarnie podniosłem się z kanapy i wyszedłem na zewnątrz. Strażnik leśny. Wysiadł z samochodu i przeciągnął dłonią po ciemnych wąsach, strzepując resztki jedzenia. Miał na sobie ciemnozielone spodnie i beżową koszulę z krótkim rękawem. Krzepki gość szeroki w barach, niższy ode mnie. Zmierzał w moją stronę z niezadowoloną miną, jakbym przeszkodził mu w oglądaniu telewizji.

– Pan Huff? – zapytał, kręcąc głową.

– Całe szczęście, że pan przyjechał.

– Mitch Mcmanan ze straży leśnej. Zawiadomiłem już biuro szeryfa. Zaraz tu będą.

– Dlaczego od razu nie zjawiała się policja? Moja żona zniknęła. Sprawa jest poważna.

Na dźwięk tych słów poczułem ucisk w żołądku. Nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek przyjdzie mi powiedzieć coś takiego. Tego rodzaju sytuacje przytrafiają się tylko bohaterom filmów i książek. Wygłoszenie tej kwestii w pierwszej osobie było jak cios w splot słoneczny.

– Powiedziałem przecież, że są w drodze. Proszę się nie martwić ani nie denerwować. Wszystko będzie dobrze, panie Muff.

– Huff.

– Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze – powtórzył powoli, niemal

mechanicznie, jakby przeczytał w policyjnym poradniku, co powinno się mówić w takich sytuacjach.

Oklepany frazes, który chyba na nikogo nie działa. Jeżeli ktoś mi mówi, żebym się nie martwił, zaczynam jeszcze bardziej się martwić. Zachowanie Mitcha wydało mi się groteskowe. W ogóle cała ta sytuacja była absurdalna. Mirandę miał znaleźć jakiś brzuchaty wąsacz. Gdyby wiedziała, jak będzie wyglądała osoba odpowiedzialna za jej poszukiwania w kluczowych godzinach po zniknięciu, od razu zabrałaby się do pisania komedii. Ale to nie była jedna z naszych historyjek. To było życie i nie miało w sobie nic komicznego. Mirandę spotkało coś złego, a ja traciłem czas z jakimś pieprzonym kmiotem cierpiącym na manię wielkości.

– Mogę rzucić okiem? – zapytał, wskazując wzrokiem drzwi.

– Nie lepiej zaczekać na policję?

– Pierwsze godziny są najważniejsze – odpowiedział tym samym tonem co wcześniej. – Dzwonił pan do niej?

Westchnąłem. Czy wzywałbym policję, gdybym nawet nie spróbował się skontaktować z żoną? Miała wyłączony telefon. Dzwoniłem do agencji, jej koleżanka Denise powiedziała, że Miranda wyszła kilka godzin wcześniej. Rozmawiałem też z Hannah Parks, naszą sąsiadką: potwierdziła, że moja żona wsiadła do samochodu jakąś godzinę po moim wyjeździe. Kiedy zapytała, czy coś się stało, przerwałem połączenie. Wkurzało mnie, że ta baba zawsze musi wszystko wiedzieć.

– Oczywiście. Telefon jest wyłączony.

– Hmm...

Mitch wyglądał na niezadowolonego. Jakby sprawa nagle zaczęła się komplikować.

– Nie... nie. Pan zostanie tutaj – mówiąc to, podniósł rękę, bo chciałem pójść za nim.

Skinąłem głową, poirytowany. Stojąc w drzwiach, patrzyłem, jak powoli przechadza się po salonie. Spojrzał na kieliszek wina, którego nie zdążyłem wypić, po czym rzucił okiem na kuchnię.

– Gdzie...?

– W łazience – odparłem i wskazałem przedpokój.

Ruszył w tamtą stronę spokojnym krokiem, podczas gdy ja dalej czekałem w drzwiach. Chwilę później wrócił i kontynuował przeszukanie salonu, jakby widok zerwanej zasłony i plam krwi na podłodze nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Co pan o tym myśli? – musiałem zapytać.

Denerwowało mnie jego milczenie i to, że tracimy czas. Jeżeli z Mirandą działo się coś złego, liczyła się każda minuta.

– No cóż... Nie wygląda to najlepiej – odpowiedział, zakręcając kran w kuchni.
– Ale proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

Mrok rozjaśniły reflektory. Mitch zbliżył się do mnie i poklepał mnie po plecach. Nie musiał nic mówić, czytałem mu w myślach. „Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze”. Radiowóz zaparkował za moim buickiem. Wysiadło z niego dwóch policjantów, zostawiając włączone światła. Mitch kiwał głową, jakby nadciągała kawaleria i sytuacja miała się odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni – co niestety wkrótce okazało się prawdą.

Podeszło do nas dwóch młodzików świeżo po szkole policyjnej. Wysoki blondyn i brunet mojego wzrostu. Blondyn był ubrany w porządnie odprasowany mundur i poruszał się z niewymuszoną elegancją. Brunet miał zapuszczoną brodę, spod kurtki wystawała mu część kołnierzyka i nawet w mroku widać było, że ma pogniecione spodnie.

– Ryan Huff? – zapytał blondyn.

– To ja... Proszę posłuchać, moja żona...

– Tak, tak. Powiedział nam pan już wszystko przez telefon – przerwał mi brunet.

– Kiedy widział pan ją po raz ostatni?

– Dziś rano, przed wyjściem z domu. Mieszkamy na obrzeżach Los Angeles.

– Czyli nie widział jej pan tutaj?

– Nie... To znaczy kiedy podjeżdżałem pod dom, wysłała mi wiadomość, że mnie widzi.

– To pański samochód? – zapytał blondyn, podchodząc do buicka.

Zajrzał do środka przez szybę.

– Tak. A tym czerwonym jeździ moja żona.

– Niezła bryka – rzucił brunet. – Ile kosztuje takie auto? Pięćdziesiąt tyśi?

– Nie wiem. Co za różnica?

– Nie wie pan, ile żona wydała na samochód? Ja mówię swojej nawet o tym, ile zapłaciłem za poranną kawę.

– Nie pamiętam. Kupiła go dawno temu. Pomogą mi panowie odszukać żonę?

Tak naprawdę pamiętałem, ale nie chciałem, żeby jacyś policjanci rozprawiali o naszym majątku. Z zewnątrz mogło się wydawać, że żyjemy w luksusie: willa w nowej części Los Angeles, dwa wypasione auta, markowe ciuchy, sławni znajomi... Ale tak naprawdę te luksusy były tylko ułudą, którą stworzyliśmy, kiedy szło nam dobrze i byliśmy na fali. Mieliśmy pieniądze i myśleliśmy, że nigdy się nie skończą, a teraz groziło nam, że dom i samochody zostaną zajęte przez

komornika.

– Szukał jej pan w okolicy? Coś zwróciło pańską uwagę? – zapytał Mitch, który do tej pory trzymał się z boku, jakby obserwował zachowanie policjantów, żeby potem ćwiczyć je przed lustrem.

– Wyszedłem na ganek, żeby się rozejrzeć, ale jest za ciemno. Zadzwoiłem na policję i czekałem, aż przyjedziecie. Poszukiwania to wasza działka.

– I dał pan radę tak spokojnie czekać? Jak długo to trwało? – dopytywał jasnowłosy policjant.

– Nie... nie potrafię powiedzieć.

– Ile czasu minęło, odkąd dostaliśmy wezwanie? – blondyn zwrócił się do bruneta.

– Jakieś półtorej godziny.

– Czekał pan beczynn timer przez półtorej godziny? Skoro wiedział pan, że jest gdzieś w pobliżu, dlaczego nie poszedł pan jej szukać? Jeżeli ktoś zaatakował pańską żonę po tym, jak wysłała wiadomość, mógł jej pan pomóc. Nie przyszło to panu do głowy? – naciskał blondyn, zadowolony, że znalazł bolesną ranę, w której może powiercić palcem.

– Eee... no tak. Pewnie tak. Ale... nie wiem.

Nie umiałem przyznać, że tok jego rozumowania jest słuszny. Byłem bliski płaczu. Mieli rację. Dlaczego nie poszedłem jej szukać? Aż tak źle nam się układało, że było mi wszystko jedno, czy coś jej się stanie?

– Nie ma co panikować – rzucił brunet. – Może wyszła na spacer albo z kimś odjechała.

– Z kimś?

– To, że jej samochód jest tutaj, jeszcze o niczym nie świadczy. Ktoś mógł po nią przyjechać i gdzieś ją zawieźć.

Jasnowłosy policjant wszedł do domku. Brunet został na zewnątrz ze mną i ze strażnikiem. Przez chwilę wszyscy trzej milczeliśmy.

– Panowie nie rozumieją – powiedziałem, żeby przerwać ciszę, która wydawała mi się nieznośna. Czułem się tak, jakby ci dwaj prostacy obarczali mnie winą za to, co się stało. Z jednej strony mieli to wszystko w nosie, bo sprawa osobiście ich nie dotyczyła, z drugiej byli wkurzeni, że musieli pracować po godzinach. – Nie wyjechałaby bez uprzedzenia. Znamy się jak łyse konie. Kłócimy się jak wszystkie pary, ale jesteśmy bardzo zżyci.

– Mają państwo dzieci? – zapytał brunet.

– Nie, jeszcze nie mamy dzieci.

– Nie są państwo z Hidden Springs, prawda? – ciągnął przesłuchanie.

- To wynajęty domek. Mieszkamy w Los Angeles.
- I czym się państwo zajmują?
- Jesteśmy scenarzystami w Hollywood.
- Poważnie? – wyrwało się Mitchowi, jakby nagle stanął twarzą w twarz z gwiazdą.

Jedną z największych zalet bycia scenarzystą jest anonimowość. Praktycznie nikt nie kojarzy twojej twarzy z Hollywood, dzięki czemu możesz wieść spokojne życie w Los Angeles, chodzić do supermarketu, do kina albo do Maca przy Alei Gwiazd i nikt, ale to nikt, cię nie rozpozna. Na sto osób oglądających film dziewięćdziesiąt cztery rozpoznałyby aktorów na ulicy, dwanaście pamięta nazwisko reżysera (choć nie wie, jak wygląda) i tylko jedna wie, kto jest scenarzystą. To zawód, który pozwala ci korzystać z pieniędzy, jakimi obraca przemysł filmowy, i zbić niezły szmal, a jednocześnie wciąż funkcjonować w trybie incognito. Jedną z pierwszych rzeczy, których uczysz się po wejściu do branży, jest to, że sława słono kosztuje: ochroniarze, dom na zamkniętym osiedlu, luksusowe opancerzone auto, markowe ciuchy, restauracje z prywatną salą. Za to bycie uznanym scenarzystą wychodzi całkiem niedrogo: możesz mieszkać gdziekolwiek, ubierać się w Walmarcie i stołować w fast foodach. Drugą zaletą jest podziw, jaki automatycznie wzbudza słowo „Hollywood”. Szczerze mówiąc, było mi teraz dalej do Hollywood niż w czasach, kiedy studiowałem na UCLA – pisałem wtedy z większym polotem i entuzjazmem. Bez słowa skinąłem głową i spojrzałem na ciemnowłosego policjanta, ciekaw jego reakcji. Patrzył na mnie obojętnie.

- A jakie filmy pan napisał? – dopytywał nagle ożywiony Mitch.
- Widział pan *Nie ma mnie tutaj*? Jest mój. Był nominowany do BAFT-y.
- Nie kojarzę – odparł rozczarowany. – Myślałem, że jest pan jednym z tych znanych.

Nie ukrywam, że to ostatnie zdanie głęboko mnie dotknęło. Zamilkliśmy. Po kilku sekundach, które zdawały się trwać wieczność, rozległy się kroki blondyna.

– W porządku, panie Huff. Musimy zadać panu to pytanie, a pan musi powiedzieć nam prawdę – oznajmił, wychodząc z domku. – W przeciwnym razie nie będziemy mogli panu pomóc.

- Oczywiście. Proszę pytać.
- Czy doszło do szarpaniny?
- Szarpaniny?
- Ślady w łazience wskazują na akt przemocy. Krew, zerwana zasłona prysznicowa, połamane kółka. Rozgrzebane łóżko w sypialni. W kuchni stoją dwa prawie puste kieliszki, a na stoliku w salonie jeden pełen. Skoro nie widział pan

żony, skąd te dwa kieliszki po winie? Na pewno jej pan tu nie zastał?

– Tak to wyglądało, kiedy przyjechałem. Po tym, jak zadzwoniłem na policję, nalałem sobie wina, stąd kieliszek na stoliku. Dwa pozostałe już stały na blacie. Mówiłem, że nie widziałem żony. Po wejściu zastałem to samo, co panowie.

Blondyn i brunet wymienili spojrzenia. Mitch popatrzył na policjantów z nadzieją, że przyjmą go do swojego kręgu, ale się nie doczekał.

– W porządku. Pytam, bo często jest tak, że jedna z osób wychodzi bez słowa po szarpaninie.

– Nigdy nie podniosłem na nią ręki, ani ona na mnie.

– Panie Huff, chyba pan rozumie, że musieliśmy zadać to pytanie. Może działali państwo pod wpływem emocji. Może padł przypadkowy cios, kiedy puściły wam nerwy.

– Dzwonił pan do jej rodziców? – wtrącił Mitch. – Może jest u nich.

– Szarpanina? Jej rodzice? Panowie nie rozumieją. Musi być gdzieś w pobliżu. – Wkurzyłem się: zbyt szybko odkryli nasze problemy. – Układa nam się dobrze. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Czasem się kłócimy, jak wszyscy, ale nigdy nie podniosłbym ręki na żonę. – Pokonany, poczułem, że do oczu napływają mi łzy.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut, ale miałem wrażenie, jakby toczyła się gdzieś obok mnie. Potem brunet wziął latarkę i poszedł sprawdzić okolicę, a blondyn wsiadł do samochodu i przez chwilę rozmawiał przez radio. Po powrocie włożył ręce do kieszeni i poinformował:

– Dla pańskiego spokoju przekieruję sprawę do wydziału poszukiwań osób zaginionych w biurze szeryfa. Tam będą wiedzieli, co robić.

– Jestem panu bardzo wdzięczny. – Odetchnąłem z ulgą.

Nie wiem, ile czasu dokładnie minęło – nie patrzyłem na zegarek, nie uczestniczyłem też w banalnej pogawędce, jaką ucieli sobie Mitch i policjanci. Wreszcie między drzewami zamigotały światła kolejnego samochodu. Kiedy podjechał bliżej, okazało się, że to szary pontiac. Zaparkował za pozostałymi autami. Ze środka wysiedli kobieta i mężczyzna, śledczy z wydziału zabójstw i zaginięć z biura szeryfa hrabstwa Los Angeles. Przywitali się, pokazując legitymacje. Dokładnie w tym momencie zawibrowała mi komórka. Odpowiedziałem na powitanie policjantów i zaniepokojony wyjąłem telefon. Dostałem nową wiadomość.

– To ona? To pańska żona? – zapytał Mitch. – Niech no zgadnę: jest u swoich rodziców.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie. Wiadomość wysłała Mandy, sekretarka Blacka. Nigdy nie kontaktowała się ze mną tak późno, była na to zbyt

dobrze wychowana. Treść wiadomości wprawiła mnie w osłupienie: „Ryane, musisz przyjechać. Coś jest nie tak z Blackiem”.

ROZDZIAŁ 6

Miranda

Między wierszami

Po tej historii z Larrym nie chciałam się z nikim spotykać, ale Ryan... Ryan był inny. Poczułam ukłucie w piersiach. Może ze złości. A może dlatego, że od początku wydał mi się interesujący. „Na co czekasz? Zagadaj do niego”.

Trudno to wytłumaczyć, ale uznałam, że jest w nim coś szlachetnego. Mówił z lekkim akcentem z interioru, choć nie miałam zbyt wielu okazji, żeby go posłuchać, i nie mogłam precyzyjnie określić, z jakiego stanu pochodzi. Poza tym był dowcipny. No dobra: pajacowaty. Na pierwszych zajęciach z Jamesem Blackiem rzucił ten komentarz o Harrym Potterze i oczywiście strzelił sobie w stopę. Rozczuliło mnie to, jak spuścił głowę po riposcie wykładowcy. Od tamtego czasu minęły jakieś dwa tygodnie. Kilkakrotnie się mijaliśmy, ale nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa.

Tak naprawdę przypominał mi... mnie samą. Tak. Mnie. Ja też tracę pewność siebie, kiedy czuję, że jestem obserwowana. Jak on tamtego dnia. Widać było, że nie jest typem zgrywusa, że nie uważa się za pępek świata jak Larry. Ot, zwykły chłopak, który próbował zwrócić na siebie uwagę grupy, żeby poczuć się trochę bardziej na miejscu.

Jedna z kartek wyslizgnęła mu się z rąk i sfrunęła na trawnik. Doskonały pretekst, żeby do niego podejść.

– To ty rzuciłeś ten żart o Harrym Potterze na zajęciach z Blackiem?

– Nie kto inny – odpowiedział z uśmiechem, marszcząc brwi, ale tylko dlatego, że tego dnia mocno świeciło słońce. Pierwszy raz posyłał mi ten swój uśmiech. – Miło mi.

– Wcale nie był zły. Mnie rozśmieszył. Wcześniej czy później ktoś by mu to powiedział. I szacun, trzeba mieć jaja, żeby się nabijać z legendarnego Jamesa Blacka.

– Trzeba być idiotą.

– To też. – Uśmiechnęłam się. – Tak naprawdę jest moim ulubionym... reżyserem? Mówię „reżyserem”, ale równie dobrze mogłabym powiedzieć

„scenarzystą”. Sam pisze wszystko, co reżyseruje.

– Wiem. Też go lubię. Dlatego czuję się jak dureń.

– Gdybyś nie czuł się jak dureń, faktycznie byłbyś durniem.

– Gdybym nie był durniem, nie czułbym się jak dureń.

– Wyluzuj, znajdzie się ktoś, kto z chęcią zajmie twoje miejsce. W Los Angeles nie brakuje durniów.

– Jesteś stąd?

– Z San Francisco.

– Niech no zgadnę: zwiłaś z Alcatraz?

– Nie, ale byłam tam dwa razy i dwa razy udało mi się stamtąd wyjść. Raz z braćmi i raz z wujkiem i ciocią, kiedy przyjechali do nas w odwiedzinach. To atrakcja turystyczna. A ty? Skąd zwiłaś?

– Z Lawrence, w Kansas.

– A tak, kojarzę. Kiedyś przejeżdżałam niedaleko. Jakies trzy tysiące kilometrów obok.

– Bardzo śmieszne. To wcale nie taka zapadła dziura.

– A co... co czyta z taką uwagą wesołek z Lawrence w Kansas?

– Scenariusz *Garsoniery*. Wypożyczyłem z biblioteki.

– Widziałeś film? To prawdziwa perła.

– Planowałem pójść dziś po zajęciach do archiwum i obejrzeć go na wideo w akademiku. Nie chcę, żeby Black znowu mi dowalił.

– Mam go na kasecie – skłamałam. – Chcesz, żebyśmy obejrzeli go razem?

– A ty go już widziałaś?

– Ze sto razy – ściemniłam.

– Sto? Jest aż taki dobry?

– Odpowiem ci zdaniem, które przeczytałam kiedyś w wywiadzie z Blackiem. Nie chodzi o to, co widzisz, ale o to, co jest w tle, na drugim planie, i co niepostrzeżenie przyciąga twoją uwagę. Zwłaszcza o to, czego nie możesz zobaczyć, choć czujesz, że tam jest. W wypadku *Garsoniery* to wrażenie towarzyszy ci przez cały film. Śmiejesz się, ale wiesz, że za tą na pozór prostą historią kryje się coś więcej. Odczuwasz niepokój, ale nie aż tak duży, żeby nie czerpać przyjemności z oglądania. Liczy się to... co jest między wierszami.

Ryan wstał z uśmiechem.

– Przekonałaś mnie, więźniarko z Alcatraz. O piątej? – zapytał i uścisnął mi dłoń, jakby właśnie przypieczętował jakąś umowę.

– Gdzie?

– Mam pewien pomysł. Zobaczymy, czy się uda.

ROZDZIAŁ 7

Ryan Tornado

24 września 2015

Wiadomość od Mandy zbiła mnie z tropu. Wyglądało na to, że podczas gdy ja zamartwiałem się o Mirandę, coś złego spotkało także Blacka.

Poznałem go w 1996 roku i był to prawdziwy łut szczęścia. Na kampusie Uniwersytetu Kalifornijskiego aż wrzało: kilka dni przed rozpoczęciem zajęć wielki James Black, reżyser i scenarzysta *Wspaniałego wczorajszego życia* - filmu, który wszedł do klasyki kina praktycznie zaraz po premierze – ogłosił na konferencji prasowej, że porzuca karierę filmowca, by poświęcić się dydaktyce. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy, wszystkie uczelnie w kraju spekulowały, gdzie poprowadzi swoje zajęcia legendarny James Black. Typowano Uniwersytet Południowej Kalifornii (USC) i Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles (UCLA). Kilka tygodni wcześniej ich wydziały filmowe wprowadziły do swoich programów nowe przedmioty. Obstawiano UCS: miał większe środki, więcej znajomości w Hollywood i - dzięki regularnym darowiznom od George'a Lucasa i Stevena Spielberga – był najbogatszą filmówką na świecie. UCLA miała może barwniejszą historię, ale chociaż wykształciła samego Francisa Forda Coppolę, z czasem zamieniła się w brzydkie kaczątko.

Dostałem się na oba te uniwersytety dzięki dobrym ocenom z liceum, listom polecającym od nauczycieli (którzy przyjaźnili się z moimi rodzicami jeszcze w czasach, kiedy Lawrence było małą miejscowością, gdzie wszyscy się znali) i długiej liście zmyślonych prac społecznych. Wybór był prosty. Zapisalem się na Uniwersytet Południowej Kalifornii: bogaty, drogi, gwarantujący świetlaną przyszłość. Czesne było tak wysokie, że musiałem zaciągnąć gigantyczną pożyczkę, którą podżyrowali mi rodzice, Henry i Sophia Huffowie. Ojciec pracował jako mechanik, a matka była księgową w niewielkiej firmie produkującej wybielacze – średnie pensje mieszkańców małej miejscowości w środkowej części Stanów nie wystarczały na sfinansowanie studiów na jednej z najdroższych uczelni w kraju. Dwudziestego drugiego kwietnia 1996 roku odebrałem telefon z banku

z informacją, że przyznano mi kredyt studencki. Uczciliśmy to z rodzicami hamburgerami w najlepszym barze w Lawrence. Wszystko wskazywało na to, że będę studiował w kuźni wielkich amerykańskich reżyserów i scenarzystów. Od miesięcy wyobrażałem sobie, jak przechadzam się korytarzami wydziału i jak robię błyskotliwą karierę w przemyśle filmowym, ale pech chciał, że moja wizja przyszłości prysła jak bańka mydlana.

To był pierwszy maja, zaledwie tydzień po tym, jak świętowaliśmy przyznanie mi kredytu. Obrzeżami Lawrence w stanie Kansas przeszło niewielkie tornado, niezapowiedziane przez żaden instytut pogody. Zniszczyło cztery domy, w tym nasz, wyrwało parę słupów telefonicznych i zrównało z ziemią jedną farmę, zabijając kilkaset kur. Zaraz potem się rozproszyło, zostawiając po sobie deszcz białych piór, który ustał dopiero po kilku dniach. Chociaż znikło równie szybko, jak się pojawiło, zdążyło zniweczyć moje plany na przyszłość. Na szczęście rodzice byli w tym czasie na obiedzie z okazji rocznicy ślubu, a ja umówiłem się ze znajomymi w centrum Lawrence. Obyło się bez rannych, ale straty finansowe okazały się olbrzymie. Zwłaszcza dla mnie.

– Mam dobre wieści – oznajmił nam oschle pracownik agencji ubezpieczeniowej. – Państwa polisa pokryje dwadzieścia pięć procent kosztów odbudowy domu.

– Jak to dwadzieścia pięć? – odparł oszołomiony ojciec.

– Takie są warunki ubezpieczenia, które państwo wykupili. Polisa nie pokrywa szkód spowodowanych przez żywioły.

– Ale przecież od zawsze mamy to samo ubezpieczenie – poskarżyła się matka.

– Dlaczego wcześniej nikt nic nam nie powiedział? Na Boga, przecież mieszkamy w dolinie tornad. To bez sensu. Nie bralibyśmy polisy, która by nie pokrywała strat spowodowanych przez tornado. Jak możecie nam to robić?

– Dlatego płacili państwo tak niskie składki. Chcieli państwo zaoszczędzić. Proszę mi wierzyć, wyświadczamy państwu przysługę. Każdy inny ubezpieczyciel umyłby ręce. Ale ponieważ w ciągu ostatnich piętnastu lat nie zgłosili państwo żadnej szkody, agencja postanowiła pójść państwu na rękę. W zaistniałej sytuacji dwadzieścia pięć procent to całkiem sporo.

– Jak wam nie wstyd! – krzyknął ojciec, zrywając się z krzesła.

Opuściliśmy biuro zrozpaczeni. Milczeliśmy przez całą drogę do New Life Motel, gdzie tymczasowo się ulokowaliśmy. Zanim wysiedliśmy z samochodu, oznajmiłem stanowczym tonem:

– Wykorzystamy pieniądze na studia.

Ojciec spojrział na matkę, czekając, jak zareaguje.

- Ależ Ryanie... nie... – szepnęła.
- Wystarczy na odbudowę domu?
- Ryanie... proszę... Od tych pieniędzy zależy twoja przyszłość – powiedział ojciec. – Jakoś sobie poradzimy.
- Tato, odpowiedz mi. Jaka część kredytu jest potrzebna, żeby odbudować dom?
- Prawie całość, synu.

Zacisnąłem szczęki i wziąłem głęboki oddech. Wiedziałem, co to oznacza. Żegnaj, kariero filmowa. Kino od zawsze było moją pasją. Magia dialogów, dobrze opowiedzianych historii, świetnie wykreowanych postaci i błyszczących dekoracji.

Spojrzałem na matkę, która zaczęła kłócić się z ojcem. Przestałem ich słuchać, zaabsorbowany tą jedną myślą. Słowa uwięzły mi w gardle.

- W takim razie postanowione – powiedziałem z trudem. – Koniec tematu.

Ogłosiłem konto i kilka dni później poinformowałem uniwersyteckie biuro rekrutacji, że rezygnuję z miejsca, na którym tak bardzo mi zależało. Przez całe życie marzyłem o tym, że pójdę do szkoły filmowej i stanę się znanym opowiadaczem. Przyznam szczerze, że trochę się popłakałem przy pisaniu listu do uczelni.

Gdyby nie to, co wydarzyło się miesiąc później, utknąłbym w warsztacie ojca. Na razie pomagałem murarzom i stolarzom w odbudowie naszego domu. Akurat przenosiłem deski, kiedy zjawił się listonosz. Rozglądał się w poszukiwaniu skrzynki pocztowej, ale ją porwało tornado.

- Mógłbyś przekazać to panu... Ryanowi Huffowi? – poprosił, wręczając mi przesyłkę.

Widniał na niej adres Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Nie poinformowałem jego władz, że rezygnuję ze studiów, kiedy wybrałem zamożniejszy odpowiednik tej uczelni. Niechętnie otworzyłem kopertę, przekonany, że zostałem skreślony z listy studentów, bo nie odpowiedziałem w terminie. Nie chciałem, żeby przypominano mi o życiu, którego nie będzie mi dane zakosztować. Pismo brzmiało następująco:

Szanowny Kandydacie,

mamy przyjemność poinformować, że dzięki nieoczekiwanej anonimowej darowiznie przysługuje Panu stypendium pokrywające koszt dwóch pierwszych lat studiów na naszym Wydziale Teatru, Kina i Telewizji. Zgodnie z intencją darczyńcy darowizna ma w całości służyć pokryciu chesnego nowych studentów aż do wyczerpania środków.

Jeżeli jest Pan zainteresowany podjęciem nauki na naszej uczelni i wiążącym się z tym stypendium, proszę o wypełnienie i odesłanie załączonego formularza.

*Z poważaniem,
Robert S. Hawk*

Prorektor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles

Przeczytałem list kilka razy, by się upewnić, czy dobrze zrozumiałem. Ktoś anonimowo przekazał uczelni gigantyczną sumę na pokrycie dwóch lat czesnego nowych studentów Wydziału Teatru, Kina i Telewizji. Uniwerek, który olałem i którego nawet nie poinformowałem o swojej decyzji, przyznał mi stypendium. Nie mogłem w to uwierzyć. Rozpłakałem się ze szczęścia na oczach uwijających się w ogrodzie murarzy.

Moi rodzice ucieszyli się jeszcze bardziej – ta nieoczekiwana wiadomość łagodziła poczucie winy, które ich dręczyło, odkąd zaczęła się odbudowa domu.

– Musisz przyjąć to stypendium – powiedział ojciec, siadając na poręczu fotela w pokoju 308 w New Life Motel.

– Pokrywa tylko dwa pierwsze lata, nie wiem, czy będę w stanie opłacić resztę studiów – odparłem zaniepokojony.

– Będziemy się tym martwić za dwa lata. Na razie odpisz i zacznij się pakować – stwierdziła matka ze łzami radości w oczach.

Jako przyszły student Wydziału Teatru, Kina i Telewizji Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles z uwagą śledziłem informacje o wycofaniu się Blacka z przemysłu filmowego i pogłoski, że będzie wykładał na jednej z dwóch kalifornijskich uczelni. Na początku września – kilka dni przed zakończeniem budowy nowego domu – rodzice pożegnali mnie przy autobusie, którym miałem jechać do Los Angeles.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, Rynie – powiedziała matka. W jej zażawionych oczach malowała się duma.

Ojciec przytaknął i dodał:

– Postaraj się, żeby dowiedział się o tym cały świat.

Skinałem głową i ostatni raz ich uściskałem, nieświadomy, że wspomnienie tej chwili będzie mi towarzyszyć przez resztę życia.

W miarę jak zbliżał się rok akademicki, coraz bardziej huczało od plotek na temat Blacka. Oba uniwersytety niespodziewanie skróciły termin, przed upływem którego studenci mogli się jeszcze przepisać z jednej uczelni do drugiej. Chciały w ten sposób uniknąć exodusu, kiedy okaże się, którą z nich wybrał reżyser. Mnie było wszystko jedno. Nie chciałem ani nie mogłem zmienić szkoły, bo stypendium przysługiwało mi tylko na UCLA. I tak miałem fart. Nie obchodziło mnie, kto będzie moim wykładowcą.

Pierwszego dnia zajęć usiadłem w drugim rzędzie i patrzyłem, jak sala wypełnia

się studentami przybyłymi z wszystkich zakątków kraju. Na wydziale panował kompletny chaos, korytarzami przetaczały się tłumy, z zewnątrz dobiegał nieustanny odgłos kroków i szum nakładających się na siebie rozmów. Przywitałem się z dwoma chłopakami z Chicago, którzy usiedli przede mną – później dowiedziałem się, że są braćmi. Nagle ucichły dolatujące z korytarza hałasy. Jakby wszyscy weszli do swoich sal. Było oczywiste, że coś się stało: cała grupa ze zdziwieniem wpatrywała się w drzwi, w których kilka sekund później pojawił się siwiejący mężczyzna. Ciemny garnitur, czarny krawat i okrągłe okulary w grubych oprawkach – jego znak firmowy. Od razu go poznałem.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem. – Witam państwa na zajęciach ze scenopisarstwa. Nazywam się James Black.

ROZDZIAŁ 8

Miranda

Projektor

Tamtego dnia Ryan podszedł do mnie po zajęciach ze wstępu do scenopisarstwa. Złapał mnie za rękę i wyciągnął z przelewającego się przez drzwi strumienia studentów.

– Chodź – powiedział.

To jedno proste słowo okazało się magiczne. Od niego zaczęła się nasza historia.

Poczułam, jak jego silna dłoń zaciska się na mojej. Bez słowa prowadził mnie korytarzami wydziału, pośród tłumu studentów niemających pojęcia o tym, co właśnie się zaczynało. Uważnie mu się przyjrzałam. Był wysoki. Nie bardzo wysoki, ale wyższy ode mnie. Zastanawiałam się, ile ma lat. Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Jaka jest jego ulubiona piosenka, jego ulubiona scena z filmu. Podobał mi się jego sposób bycia. Był... interesujący? Nie. „Interesujący” do niego nie pasowało. Był... elektryzujący. Tak. To dobre określenie. Elektryzujący. Między naszymi dłońmi przeskakiwały iskry. Zwróciłam uwagę na jego szczupłe nogi, na jego wysportowane ciało. Miał dwuipółdniowy zarost, z tych, co to drapią ci usta przy pocałunku.

Straciłam dla niego głowę.

Dalej kluczyliśmy po wydziale, skręcaliśmy w kolejne korytarze, coraz bardziej zagubieni. W końcu zeszliśmy schodami do podziemia. Ogarnął mnie niepokój. Przyznam, że kiedy nagle znaleźliśmy się sami, zaczęłam wątpić, czy znam go wystarczająco dobrze, by pakować się z nim w kłopoty. Wreszcie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałam.

– Sama zobacz.

Puścił moją dłoń i ostrożnie otworzył drzwi. Szłam tuż za nim, dzielił nas może metr. W pomieszczeniu panował mrok, zaczęłam się bać. Wtedy Ryan odsunął się na bok i wcisnął włącznik. Dwie lampy oświetliły słabym blaskiem kilkanaście starych foteli obitych niebieskim welurem, ustawionych na wprost białej ściany. Za nimi stał projektor filmowy 35 milimetrów, który zajmował znaczną część

malutkiej salki.

– Czy to naprawdę...?

– Dawna sala kinowa wydziału? Studiowano tu w małych grupach filmy wielkich klasyków. Teraz, odkąd można oglądać w domu kasety wideo wypożyczone z archiwum, nikt już tu nie przychodzi.

– Czy to...?

– Projektor trzydzieści pięć milimetrów Victoria pięć Ml. Niewiele z nich nadal działa. Produkowano je we Włoszech. W Europie to klasyczny model, ale w Stanach jest ich chyba mało.

– Jest...

– ...wspaniały – powiedzieliśmy jednocześnie, oczarowani tym magicznym urządzeniem.

Ryan patrzył z uśmiechem, jak oglądałam górną szpulę z nawiniętą taśmą, gotową do wyświetlenia.

– Domyślasz się, co to za film? – zapytał.

– Nie wierzę...

Przysunęłam twarz do taśmy i przyjrzałam się klatkom.

– *Garsoniera*? To naprawdę *Garsoniera*?

– Wprawdzie widziałas go już ze sto razy, ale jestem pewien, że nie w takiej postaci.

– Umiesz obsługiwać projektor? – zapytałam zafascynowana.

Taśma płątała się między rolkami, to niknęła, to znów się pojawiała, skręcała się pod nieprawdopodobnymi kątami, przechodziła przez przednią część urządzenia i nawijała się na dolną szpulę. Założenie jej wydawało mi się niewykonalnym zadaniem.

– Ja nie. To... działka Jeffa. Jemu należą się podziękowania.

Przy drzwiach wyrosła postać korpulentnego mężczyzny.

– T... to... to nic t... ta... takiego – wyjąkał.

Krzyknęłam wystraszona, kiedy słaby blask lampy wydobył go z mroku. Był nie tyle szpetny, co zdeformowany. Twarz przecinały mu blizny, ręce wystawały z torsu niczym dwa wyrostki, jakby chciały uniknąć kontaktu z ciałem, dłonie wydawały się gigantyczne w porównaniu z całą resztą. Miał wystającą szczękę i zakola na czole. Uspokoiliam się, gdy jego kanciastą twarz rozjaśnił uśmiech. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, ale nie dałabym głowy, że miał właśnie tyle.

– Jeff obsługiwał kiedyś projektor. Teraz dba o porządek w tej części wydziału.

– B... ba... bardzo m... mi... m... miło. – Ponownie się uśmiechnął. – Jeff Hardy.

- Mnie również... Jeff – wyszeptałam. – Miranda.
- Ryan – przedstawił mi się Ryan, jakbym jeszcze nie znała jego imienia. Uśmiechnęliśmy się do siebie, świadomi, że to początek czegoś wyjątkowego.
- Jak odkryłeś to miejsce? – zapytałam.
- Ja... ja mu... mu je po... pokazałem.
- Pierwszego dnia zajęć Jeff pomógł mi wyrobić legitymację studencką. Od tamtej pory się kolegujemy.
- Je... jesteś w po... porządku.
- A kilka dni temu pokazał mi ten ukryty skarb.

Jeff bez przerwy się uśmiechał. Był dumny, że może pokazać komuś tę magiczną salkę, ukrytą przed tysiącami studentów UCLA. Wskazał szare drzwi z okienkiem na górze.

– P... po... pokażesz jej?

– No tak! Musisz to zobaczyć – powiedział Ryan. Podeszliśmy do drzwi w głębi: ja z wahaniem, on pewnym krokiem. Przemknęło mi przez głowę, że niepotrzebnie zapuszczałam się tak daleko, w podziemia wydziału, gdzie nawet nie docierały głosy studentów. Przecież ledwie znałam Ryana. Tak naprawdę zresztą nigdy do końca go nie poznałam...

Otworzył drzwi składziku i zapalił światło. Moim oczom ukazały się metalowe regały wypełnione setkami blaszanych pudełek. Grubość puszek pozwalała rozpoznać format filmu. Taśmy 8 milimetrów wydawały się malutkie w porównaniu z resztą; leżały jedna na drugiej w rogu pierwszego regału. Wśród pozostałych panował bałagan, szesnastki były wymieszane z trzydziestkami piątkami. Największe wrażenie robiły pudła na taśmy 65 milimetrów, było też kilka filmów formatu 70 milimetrów używanych w systemie IMAX.

– Nie wierzę...

– Archiwum najlepszych filmów z ubiegłego stulecia. Wydziałowa kolekcja klasyki kina w najczęściej używanych formatach.

Na środku jednego z regałów leżały trzy pudełka z taśmami 35 milimetrów. Chociaż widać było tylko boki, ich czarny kolor od razu przykuwał uwagę. Podeszłam, sięgnęłam po pierwsze z brzegu i przeczytałam tytuł:

Wspaniałe wczorajsze życie.

Scenariusz i reżyseria: James Black. 1976

Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć. Jeff uruchomił projektor, ścianę na wprost foteli rozjaśnił snop światła. Usłyszałam buczenie victorii, które zalało salkę i moje serce. Z głośników dobiegło ryczenie Iwa z logo

MGM. Spojrzałam na Ryana: czekał na mnie z wyciągniętą ręką. To właśnie wtedy, w chwili, w której zetknęły się nasze dłonie, zaczęło się walić moje życie.

ROZDZIAŁ 9

Ryan

Podjejrzanym

25 września 2015

Inspektorzy Sallinger i Sachs zawieźli mnie na komisariat. Okazało się, że Hidden Springs to szczególne miejsce. Na swoje szczęście albo nieszczęście – w zależności od dnia – leży na granicy hrabstw San Bernardino i Los Angeles i nie bardzo wiadomo, pod czyją znajduje się jurysdykcją. Przez całą drogę do Phelan policjanci próbowali zabawiać mnie rozmową, ale jeśli mam być szczerzy, przestałem wierzyć w ich dobrą wolę w momencie, kiedy z ich ust padło słowo „komisariat”.

Sprawę zaginięcia Mirandy prowadziło biuro szeryfa hrabstwa Los Angeles, ale najbliższy komisariat znajdował się w Phelan, w hrabstwie San Bernardino, zaledwie piętnaście minut jazdy od Hidden Springs. Służby obu hrabstw współpracowały w sprawach dotyczących tego rejonu. Była trzecia czy czwarta w nocy. Po wejściu na posterunek odniosłem wrażenie, że inspektorzy są tu nie pierwszy raz: przywitali się jak starzy znajomi z zaspanym funkcjonariuszem ukrytym za blatem przy wejściu. Blask świetlówek barwił na biało płytki pokrywające podłogę i ściany. Przeszliśmy przez czarne drzwi i znaleźliśmy się w ciemnej sali. Dostrzegłem w mroku kilka zawalonych papierami i teczkami biurka; na każdym stał zgaszony monitor. Komisariat ział pustką, tak jak domek, w którym miałem spotkać się z Mirandą. Ani żywej duszy.

– Żebyśmy mogli wszcząć śledztwo, musi pan oficjalnie zgłosić zaginięcie. Wszystko wskazuje na to, że pańska żona nie opuściła domku z własnej woli – powiedział inspektor Sachs, odsuwając na bok teczkę leżącą na jednym z biurka.

– Zapraszam – dodała policjantka, wskazując stół, za którym stał jej kolega.

Inspektor podszedł do sąsiedniego stanowiska, wziął krzesło i podsunął je koleżance. Usiedli i spojrzeli na mnie, czekając, aż zajmę wolne krzesło stojące po drugiej stronie.

– Na pewno jest pan zmęczony, panie Huff, ale... – zaczęła inspektor Sallinger – czy mógłby pan opowiedzieć nam o swojej żonie? Ma pan przy sobie jej zdjęcie?

– Tak... do dowodu osobistego. – Otworzyłem portfel i wyjąłem fotografię

przedstawiającą uśmiechniętą twarz Mirandy na białym tle. – W domu mam więcej. Mógłbym jutro przywieźć.

– Bardzo piękna kobieta.

Westchnąłem. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Ma jakąś bliską rodzinę?

– Ona? Tak. Dwóch starszych braci. Zacka i Morrisa. Jeszcze o niczym nie wiemy, nie mam odwagi do nich zadzwonić.

– Powinien pan to zrobić jak najszybciej. Może jest u nich.

– Nie sądzę. Obaj są żonaci. Odkąd jesteśmy razem, widzieliśmy się z nimi tylko raz. Nigdy nie byli zżyci z siostrą.

Inspektor Sachs zanotował coś na kartce.

– A jej rodzice? Też mieszkają w San Francisco?

– Matka zmarła, kiedy Miranda była mała. Ojciec, Tim, jest w domu opieki.

– Tak czy inaczej, będziemy musieli porozmawiać z jej braćmi.

– Panie Huff...

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Panie Ryanie – poprawiła się inspektor Sallinger – musimy pobrać od pana odciski palców, żeby porównać je z tymi, które znajdziemy w domku.

– Potrzebuję adwokata?

– Nie, na Boga, skądże. Nie mamy zamiaru pana zatrzymać. Gramy w jednej drużynie. Wszyscy chcemy odnaleźć pańską żonę, całą i zdrową.

Przełknąłem ślinę, kiedy inspektor Sachs zerknął kątem oka na swoją koleżankę. Nie podobał mi się taki rozwój wydarzeń.

Pobierając ode mnie odciski, powtórzyli, że to niezbędne dla śledztwa. Podczas rozmowy dwukrotnie poczułem wibrowanie telefonu. Dzwoniła Mandy, sekretarka Blacka. Czego, do diabła, ode mnie chciała? Nie odebrałem. Starłem się przekazać inspektorom wszystkie użyteczne informacje, które pomogłyby w odnalezieniu Mirandy. Opowiedziałem im o nas, o naszych drobnych sprzeczkach, o tym, jak przenikliwa potrafi być moja żona, jak zawsze dostrzega obie strony medalu, a także jego rant i jeszcze jakiś inny aspekt, którego istnienia nawet nie podejrzewałem. Z nas dwojga to ona była tą inteligentną, ja tylko szedłem po jej śladach. Kiedy już myślałem, że rozmowa na komisariacie dobiega końca, inspektor Sachs niespodziewanie zmienił ton.

– Wszystko pięknie, panie Huff, ale teraz proszę powiedzieć prawdę. Muszę zadać panu to pytanie: czy zabił pan żonę?

Wziąłem głęboki oddech. Jego słowa zmroziły mi krew w żyłach. Do tego momentu nie przypuszczałem, że traktują mnie jak podejrzanego, ale... nikogo

lepszego nie mieli. Kogo innego mogli o to posądzać?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem z powagą.

Policjanci zmierzyli mnie wzrokiem. Miałem wrażenie, że za chwilę zakują mnie w kajdanki.

– W porządku, wobec tego nie ma się pan czym martwić. Znajdziemy ją, obiecuję – zapewniła inspektor Sallinger.

Splatając dłonie, poczułem, że prawa drży.

– Kolega podrzuci pana do pańskiego samochodu w Hidden Springs i może pan wracać do domu. Prześpi się pan, a jutro porozmawiamy. To numer mojej komórki. Jeżeli do rana nie będzie miał pan żadnych wiadomości od żony, proszę do mnie zadzwonić. – Podała mi kartkę, na której nagryzmoła numer telefonu. – Niech się pan zastanowi, kto w ostatnich dniach mógł mieć z nią kontakt. Wysłaliśmy do domku w lesie naszą ekipę. Jeżeli jest tam coś, co mogłoby pomóc w odszukaniu pańskiej żony, na pewno to znajdą.

– Dziękuję, dziękuję – wydukałem.

– Jeszcze jedno.

– Jestem do państwa dyspozycji – odpowiedziałem, wstając z krzesła i chowając do kieszeni kartkę z numerem.

– Niech pan odpocznie i spróbuje przespać tych kilka godzin, które pozostały do świtu. Niewykluczone, że jeżeli pańska żona zniknęła z własnej woli, rano będziemy już coś wiedzieli. Proszę nie wyłączać komórki. Nie wie pan, ile zaginionych osób odnajduje się dzień po zniknięciu. Przeważnie takie sprawy kończą się rozstaniem. Zadzwoni telefon i usłyszysz pan głos żony informującej, że między wami wszystko skończone. Proszę mi wierzyć, że to najlepszy z możliwych scenariuszy. I że to nie będzie jeszcze koniec świata.

Przytaknąłem skonfundowany.

– A jaki jest najgorszy scenariusz? – zapytałem.

Inspektor przez chwilę mi się przyglądała, po czym zmarszczyła brwi.

– Na pewno się pan domyśla – odparła.

ROZDZIAŁ 10

Miranda

Tajemnice

Mignęła ostatnia klatka *Garsoniery*, taśma wysunęła się spomiędzy rolek i nawinęła na obracającą się szpulę, ale Ryan i ja już od jakiegoś czasu nie patrzyliśmy na ekran. Kiedy nieskazitelnie białą ścianę rozjaśnił strumień światła, my całowaliśmy się w najlepsze.

Jeff zostawił nas samych w połowie filmu i wyszedł, żeby coś gdzieś naprawić. Kilka minut później Ryan pogłaskał mnie po przedramieniu. Zjeżyły mi się włoski na całym ciele. Spojrzałam na niego, on spojrzał na mnie, i tak zaczęła się nasza miłosna historia.

Całowaliśmy się w ciemnej salce, a ja zdążyłam już wymazać z pamięci gościa, z którym spotykałam się na początku roku akademickiego. Nagle z korytarza dobiegł odgłos kroków. Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy Jeffa, który stał w drzwiach i w milczeniu się nam przyglądał.

– Jeff – odezwał się Ryan – już wróciłeś? Puściłbyś nam jeszcze jeden film?

Jeff trzymał w prawej ręce skrzynkę z narzędziami. Odpowiedział dopiero po kilku sekundach.

– Ja... ja... jasne – wyjąkał.

– Ty wybierasz. Nie ma jeszcze szóstej. Mamy czas, prawda?

– Tak. Tak. Mo... możecie obejrzeć film Blacka. To mój... mój ulubiony.

Jeff jakby się rozkręcił. Odstawił skrzynkę na ziemię, wszedł do składziku i wrócił z trzema czarnymi pudełkami.

– Spo... spodoba się wam. Ta... ta wersja jest... jest najlepsza.

– Rozszerzona?

– Jeszcze le... lepiej. Kryje ta... tajemnice.

– Jakie tajemnice? – zapytałam zaintrygowana.

– Musicie to sa... sami zobaczyć.

Otworzył pierwszą puszkę i wyjął taśmę 35 milimetrów. Pudełko było opatrzone białą nalepką z napisem:

Wspaniałe wczorajsze życie.

Scenariusz i reżyseria: James Black. 1976

Zastanawiałam się nad tym, odkąd zobaczyłam go w składziku. Coś mi nie pasowało, ale nie wiedziałam co.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty? – zapytał Ryan. – Myślałem, że miał premierę w osiemdziesiątym drugim.

– Właśnie! Nie zgadza się data! – wykrzyknęłam podekscytowana.

– To musi być pierwsza wersja – powiedział szeptem Ryan. – Wcześniejsza niż ta, która ostatecznie trafiła do kin.

– Ale skąd się tu wzięła? – zapytałam, również ścisząc głos.

– To... to dłu... długa historia – odparł Jeff.

– Długa historia? Uwielbiam długie historie. To właśnie w szczegółach kryje się magia wspomnień.

– A... ale nie możecie się wygadać. Nikt nie... nie wie, że... że go mam.

– Nawet Black?

– Nie... nie. On nie... nie może się dowiedzieć, że... że wam go pokazałem... Za... zabiłby mnie.

– Nic się nie bój – uspokoiłam go. – Możesz nam zaufać.

Jeff skinął głową. Odpowiedziałam uśmiechem. Rozczulał mnie, wyglądał na poczciwego faceta. Ujął koniec taśmy i zaczął przekładać ją między rolkami projektora. Wreszcie wcisnął kilka guzików, wprawiając w ruch szpulę. Obiektyw poczerniał.

Na dźwięk melodii towarzyszącej czołówce oboje z Ryanem skierowaliśmy wzrok na ekran. Miała w sobie coś takiego, że natychmiast przyciągała uwagę. Muzyka i czarna ściana, na której na moment wyświetlił się biały napis „Wspaniałe wczorajsze życie”.

Środkowa część ekranu zaczęła się rozjaśniać. Filmowana z góry czerwona karuzela na placu zabaw obracała się powoli, niemalże w rytm muzyki. Z rogu wyłoniła się ubrana na czerwono dziewczynka. Podeszła tyłem do karuzeli, odwróciła się i wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać. Podniosła wzrok, uśmiechnęła się do kamery, po czym oddaliła się – znów tyłem – i zniknęła z planu. Obraz nieruchomej karuzeli wyświetlał się jeszcze przez kilka sekund, podczas gdy kamera zbliżała się do miejsca, w którym dziewczynka dotknęła poręczy. Zdrapana farba odsłaniała wyrytą w metalu cyfrę pięć.

Mimo identycznego ujęcia scena ta różniła się od tej, którą zapamiętałam z filmu. Dziewczynkę grał ktoś inny, była też trochę inaczej ubrana. Ale nawet ta amatorska wersja zdradzała mistrzowską rękę Blacka. Czułam dziwną ekscytację.

Dlaczego po kilku latach nakręcił ten sam film? To pytanie nie dawało mi spokoju, chociaż odpowiedź była najprawdopodobniej taka, że ta pierwsza niskobudżetowa produkcja po prostu nie spełniła oczekiwań reżysera.

– To chyba najlepsza czołówka w historii kina – stwierdził Ryan, który najwyraźniej nie zauważył, że scena nieco różni się od ostatecznej wersji. – Za pierwszym razem nie zorientowałem się, że sekwencja została puszczone od tyłu.

– To oznacza, że powinien pan oglądać więcej filmów, panie Huff – odezwał się za naszymi plecami ochrypły głos.

Błyskawicznie odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy stojącego w drzwiach Jamesa Blacka.

ROZDZIAŁ 11

Ryan

Szaleństwo

25 września 2015

Inspektor Sachs odwiózł mnie radiowozem na kemping. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Kiedy podjechaliśmy pod domek, zauważyłem, że policja otoczyła go taśmą. Między drzewami kręciło się kilku funkcjonariuszy wyposażonych w latarki. Nie dostrzegłem wśród nich Mitcha, choć jego samochód nadal stał w tym samym miejscu.

– Proszę posłuchać rady mojej koleżanki. Niech pan jedzie do domu i odpocznie, a my spróbujemy odnaleźć pańską żonę.

Zerknąłem na niego i pożegnałem się lekkim skinieniem głowy. Kiedy otworzyłem drzwi i wysiadłem z radiowozu, odniosłem wrażenie, że policjanci przerwali poszukiwania i obrzucają mnie oskarżycielskimi spojrzeniami. Spuściłem głowę i ruszyłem w stronę buicka.

– Panie Huff – usłyszałem głos Sachsa. Odwróciłem się. Zobaczyłem, że przechylił się w kierunku okna po stronie pasażera i spogląda na mnie ze zmarszczonym czołem. – Zapewne nie muszę panu tego mówić, ale...

– Ale co?

– Niech pan nie robi nic głupiego. Proszę nie opuszczać stanu Kalifornia.

Wrzucił wsteczny bieg i wcisnął pedał gazu. Teraz miałem już pewność, że na razie jestem ich jedynym podejrzanym. Ostatnie zdanie policjanta napełniło mnie goryczą. Kiedy podniosłem głowę, zorientowałem się, że po domku i lesie kręci się teraz znacznie więcej ludzi.

SUV Mirandy był otoczony palikami wbitymi w ziemię w odległości metra od samochodu, między którymi rozciągnięto taśmę policyjną z napisem: „Zakaz wstępu. Miejsce zbrodni”.

Zbrodnia. Czyżby już wiedzieli, że właśnie to spotkało moją żonę?

Bez słowa wsiałem do auta. Ostatni raz spojrziałem na domek, po czym przeniosłem wzrok na las. W ciemnościach tańczyły światła kilku latarek, które od czasu do czasu kierowały się w moją stronę. „Gdzie jesteś, Mirando? Gdzie się

ukryłaś?”.

Wycofałem na drogę gruntową prowadzącą do Hidden Springs. W pozostałych domkach paliły się teraz światła. Niektórzy lokatorzy stali na gankach, wywabieni na zewnątrz przyjazdem radiowozów. Wrzuciłem jedynekę i wyjechałem na szosę numer dwa w kierunku Los Angeles. Nadal było ciemno. Wiedziałem, że i tak po tym wszystkim nie zasnę, wyjąłem więc komórkę i wybrałem numer asystentki Blacka. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Spróbowałem jeszcze raz – z tym samym skutkiem. „Niech cię szlag, Mandy. Dlaczego, do diabła, nie odbierasz?”.

Rzuciłem komórkę na fotel obok i wcisnąłem pedał gazu. Droga powrotna zajęła mi dobrą godzinę. Przez cały czas miałem przed oczami ślady krwi w łazience. Po dotarciu do miasta pojechałem prosto do Blacka. Jeszcze nie wzeszło słońce, ale u niego paliły się wszystkie światła. Jego dom z małym drewnianym gankiem pomalowanym na butelkową zieleń wyróżniał się w mroku ulicy niczym latarnia morska podczas sztormu. Do budynku przylegały mikroskopijny nieogrodzony ogródek i garaż na jego jedyny samochód. Black uważał, że to lokum i tak w zupełności mu wystarcza.

Wysiadłem z samochodu i zapukałem do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast. Mandy naprawdę wyglądała na zaniepokojoną.

– Ryane, na Boga, gdzie ty się podziewałeś? Dzwoniłam do ciebie tysiąc razy. Dłużej z nim nie wytrzymam. Nie wiedziałam, co robić ani kogo wezwać. Odjęło mu rozum. James oszalał.

– Ale co się stało? Wszystko w porządku?

– Nie. Nic nie jest w porządku. Nic. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Może cię posłucha.

Mandy miała mniej więcej tyle lat co ja – trzydzieści parę, tak przynajmniej mi się wydawało. Widać było, że wybiegła z domu tak, jak stała, by pospieszyć na ratunek Blackowi: miała na sobie dzinsy i szary top - prawdopodobnie górę od piżamy, ciemne włosy związała byle jak w koński ogon.

– O północy zadzwonił do mnie z płaczem. Przyjechałam tak szybko, jak mogłam, i od tamtej pory próbuję się z tobą skontaktować. Nie chce mi nic powiedzieć. Kiedy zorientowałam się, że mu odbiło, wysłałam ci wiadomość. Na Boga, dlaczego tyle ci to zajęło?

– Nie... – Zamierzałem powiedzieć jej o Mirandzie, ale uznałem, że nie będę jej jeszcze bardziej denerwował. - Gdzie on jest?

– Na dole.

Zszedłem do piwnicy. Z głębi dobiegał szcęk metalu. Okazało się, że Mandy

nie przesadzała. James Black, wybitny reżyser, twórca jednego z najlepszych filmów w historii kina, klęczał nago przy metalowym regale wypełnionym pojemnikami na taśmy i, szlochając, przyciskał do piersi jedną z puszek.

ROZDZIAŁ 12

James Black

Pierwsze spotkania

1975

Po raz pierwszy stanął na trawniku przed gmachem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles we wrześniu 1975 roku. Wokół roilo się od studentów. Przez chwilę rozkoszował się widokiem barwnego, tętniącego życiem kampusu. Wychował się na drugim końcu kraju, w Rutland w stanie Vermont, zimnym miasteczku liczącym zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców. Nie przywykł do widoku tylu ludzi naraz. Na niebie nie było ani jednej chmurki, w cieniu drzewa siedziała grupka chłopców i dziewcząt, wszędzie kręcili się studenci. Życie toczyło się tu w rytmie tak różnym od tego, do którego był przyzwyczajony, że nie mógł powstrzymać uśmiechu. U jego stóp stała skórzana walizka, którą matka spakowała mu na nową drogę życia – tak wypchana, że z trudem wtaszczył ją do autobusu.

– Przepraszam, wiecie, gdzie jest Wydział Sztuk i Nauk? – zagadnął mijające go dziewczyny.

Odpowiedziały mu śmiechem i nawet się nie zatrzymały.

– Niech no zgadnę, kierunek kino i telewizja? – usłyszał za plecami czyjś głos.

Odwrócił się zdziwiony i zobaczył uśmiechniętego chłopaka z brązowym skórzanym plecakiem. Nieznajomy wyglądał na rówieśnika, miał ciemne włosy i był dobrze zbudowany.

– Co? Tak. Skąd wiesz?

– Bo tylko nasze zajęcia zaczynają się dzisiaj, a wątpię, żeby ktoś, kto spędził tu już dwa tygodnie, szukał swojego wydziału.

James z uśmiechem wyciągnął rękę.

– James Black, z Vermontu.

– Jeff Hardy, z Dakoty Północnej – odpowiedział chłopak.

– Dlaczego ktoś z Dakoty Północnej przyjeżdża studiować do Kalifornii?

– Dlaczego ktoś z Vermontu przyjeżdża studiować do Kalifornii?

– Bo to jedyny uniwersytet w kraju, który przyznał mi stypendium.

– Tobie też? No to jest nas już dwóch – odparł wesoło Jeff. – Gdyby nie ono, nie

byłoby mnie tutaj. Bez stypendium tacy jak ja nie mogą sobie pozwolić na studia. Kiedy już będziemy sławnymi reżyserami... ufundujemy własne stypendia.

James skinął głową, uśmiechnięty od ucha do ucha. Jeff odpowiedział mu tym samym gestem, jakby składał milczącą obietnicę.

– A dlaczego wybrałeś akurat kino i telewizję? – zapytał.

– Przypuszczam, że za każdym wyborem stoi jakaś historia. W moim wypadku... Pamiętam, jak ojciec przyniósł do domu pierwszy telewizor. Byłem jeszcze gówniarzem, przeżywałem akurat trudny okres i spędzałem przed ekranem mnóstwo czasu, oglądając filmy. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy coś w moim otoczeniu zaczyna mnie fascynować... no wiesz, jeden z tych żywych obrazów, które cię hipnotyzują... żałuję, że nie mam kamery, żeby to uwiecznić.

James opowiadał o tym z pasją. Widać było, że jest rozemocjonowany.

– Piękna historia – westchnął Jeff.

– A ty? Dlaczego wybrałeś kino?

– Z powodu kobiet.

James parsknął śmiechem. Studenci leżący na trawniku odwrócili głowy.

– No co? Nie żartuję! Chcę oglądać na castingach te wszystkie gwiazdy.

– Jeżeli któregoś dnia zostanę reżyserem, już wiem, kto będzie prowadził dla mnie przesłuchania.

Jeff zaprowadził Jamesa do akademika, żeby chłopak mógł zostawić walizkę, po czym wybrali się razem na inaugurację roku. Usiedli w pierwszym rzędzie i wyjęli zeszyty i ołówki, żeby notować nazwiska nauczycieli, którzy zmieniali się na katedrze. Każdy z wykładowców przez dziesięć minut omawiał program swojego przedmiotu, po czym opuszczał salę bocznymi drzwiami. Kolejni mówcy defilowali przed ławkami, obserwowani przez zestresowanych studentów.

Większość wykładowców stanowili pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletni mężczyźni o zgaszonych głosach i usianych zmarszczkami twarzach, z których dało się wyczytać, że woleliby być gdzie indziej. Za każdym razem, kiedy przed tablicą stawał kolejny nauczyciel, James i Jeff wymieniali porozumiewawcze spojrzenia: jak tak dalej pójdzie, rok akademicki będzie im się strasznie dłużył.

– O Boże, chyba właśnie widziałem trupa – szepnął James, odwracając się do kolegi.

Z sali wyszedł leciwy wykładowca, który mówił tak zmęczonym głosem, że nie był w stanie dokończyć żadnego zdania. James nie zrozumiał nawet, czego ten typ będzie ich uczył.

Jeff szturchnął go łokciem.

– James.

Salę wypełnił odgłos obcasów. James spojrział na drzwi. W stronę tablicy zmierzała zdecydowanym krokiem kobieta o ciemnych włosach do ramion, ubrana w szarą wąską spódnicę, białą bluzkę i czarne szpilki. Szmer szeptów ucichł, zastąpiony przez grobową ciszę, przerywaną jedynie rytmicznym stukotem obcasów. Studenci patrzyli zahipnotyzowani, jak kobieta pisze na tablicy:

Historia kina amerykańskiego

P. Hicks

Odwróciła się, odłożyła kredę i zapytała poważnym tonem:

– Jakież pytania?

Studenci spojrzeli po sobie zdziwieni. Inni wykładowcy po prostu wchodzili do sali, przedstawiali się i rozwodzili nad tym, czego będą uczyć i jak ważny jest ich przedmiot. Ale nie ona. Kiedy zobaczyła, że nikt nie ma odwagi zadać pytania, ruszyła w stronę drzwi, stukając obcasami. Już wychodziła, gdy z pierwszych rzędów dobiegł głos Jamesa:

– Nie powinna nas pani zapoznać z programem?

P. Hicks odwróciła się, spojrziała mu w oczy i odpowiedziała z kamienną twarzą:

– Jak się pan nazywa?

– James Black.

Milcząc, zachęcała go wzrokiem, żeby kontynuował, ale James najwyraźniej nie zrozumiał jej sygnałów.

– Potrafi pan czytać, panie Black?

– Tak, oczywiście – odpowiedział James. – W przeciwnym razie by mnie tu nie było. Przyszły reżyser raczej powinien umieć czytać.

– Jasne. Ma pan rację. Za dobrym filmem stoi dużo tekstu. Powiedziałabym wręcz, że gdyby nie słowa, nie mielibyśmy wielkich filmów.

– Jest jeszcze kino nieme – pozwolił sobie zaripostować James.

– Cwaniak z pana, ale proszę mi wierzyć, że cwaniacy rzadko zostają dobrymi reżyserami.

Na twarzy Jamesa pojawił się uśmiech.

– Ja tylko powiedziałem, że kino nieme obywatelo się bez słów. Film może wiele przekazać samymi obrazami.

Po sali rozszedł się szmer, który rozzuchwiał Jamesa.

– Czy to znaczy, że na pani zajęciach nie będziemy się uczyć reżyserowania?

– Mógłby pan przeczytać, co napisałam na tablicy?

– Historia kina amerykańskiego. P. Hicks.

– I jak pan myśli, o czym będę mówiła na zajęciach?

– O historii, o projektorach, o braciach Lumiere, o *Podróży na Księżyc*, o Chaplinie i tak dalej. Nie wiem, spodziewałem się zajęć z reżyserii, ale nie prowadzi ich żaden z wykładowców, którzy występowali wcześniej, a pani prezentacja jest, zdaje się, ostatnia. Mam wrażenie, że nie nauczymy się tu reżyserowania.

– Panie Black, niech mi pan powie, dlaczego uważa pan, że na moich zajęciach nie nauczy się pan reżyserować?

– Bo reżyserowanie to nie oglądanie cudzych filmów. Reżyserowanie to umiejętność rejestrowania szczególnych momentów za pomocą kamery. Reżyserowanie to wymyślanie historii od zera i nagrywanie jej na taśmę.

– Będzie pan okropnym reżyserem, jeżeli nie będzie pan oglądał cudzych filmów. Będzie pan najgorszym reżyserem w historii, jeżeli nie przyjrzy się pan pracy innych. Temu, jak ewoluowały techniki, ujęcia, narracja. Pańskim zdaniem pisarze nie czytają cudzych książek? Nie czytają klasyków? Nie badają, jak ewoluowało piarstwo w różnych epokach literackich? Żeby pisać, trzeba czytać książki, a żeby reżyserować, trzeba oglądać filmy. Dużo filmów. Bardzo dużo. To jedyna droga. Nie ma innej. Najsmutniejsze dla reżysera jest to, że nigdy nie zdoła zobaczyć wszystkich filmów, które nakręcono, tak samo jak pisarz...

– ...nigdy nie zdoła przeczytać wszystkich książek, które napisano – dokończył zdumiony James.

Siedział bez ruchu i wpatrywał się w wykładowczynię. Miał ściśnięte gardło, ledwo oddychał.

– Wszystko dobrze? – zapytał szeptem Jeff, próbując wyrwać go z osłupienia.

Profesorka wróciła na katedrę i stanęła przy tablicy.

– Mam dla państwa pierwsze zadanie domowe. Proszę podziękować panu Blackowi.

Po sali rozszedł się pomruk niezadowolenia, kilka osób spojrzało z pretensją na Jamesa, który nadal nie doszedł do siebie. Szepty ucichły, kiedy studenci zobaczyli, co napisała na tablicy pani Hicks: „Jeszcze raz obejrzyć swój ulubiony film”.

ROZDZIAŁ 13

Miranda

Wielka miłość

– Pan Black?! – wykrzyknęłam, łapiąc Ryana za rękę.

Kiedy nasze palce się splotły, poczułam na szyi dreszcz. Ryan oniemiał na widok stojącego w progu reżysera.

– James?! – zawołał Jeff. – Nie... nie...

– Jeff! Kopę lat, przyjacielu!

Jeff pospiesznie podszedł do projektora i zatrzymał film. Na ścianie znieruchomiał obraz kobiety leżącej w zmiętej pościeli.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znów cię widzę – powiedział Black, podchodząc z uśmiechem do Jeffa. – Ile to już lat minęło? Piętnaście, dwadzieścia?

– E... e... – wyjąkał Jeff. – Nie... nie wiem.

Black poklepał go po plecach. Jeff był wyraźnie speszony.

– To... niesamowite. Jaki ten świat jest mały. Kiedy się ostatnio widzieliśmy?

– W... w moim domku... tu na... na kampusie. Po tym, jak...

– No tak, już sobie przypominam. Rzeczywiście. Boże, jak ten czas szybko leci. Widzę, przyjacielu, że jesteś w znacznie lepszej formie. Bardzo się cieszę. Kto by powiedział... po tym, co cię spotkało. To była prawdziwa tragedia.

Jeff przełknął ślinę.

– James...

– Całe szczęście, że obyło się bez poważniejszych następstw. Oczywiście poza tymi, które widać gołym okiem.

– Czu... czuję się do... dobrze.

– Cieszę się, przyjacielu. Naprawdę się cieszę.

Ja i Ryan w milczeniu przysłuchiwaliśmy się rozmowie. Niczego z niej nie rozumieliśmy, ale oboje wyczuliśmy między nimi jakieś trudne do wytłumaczenia napięcie. Jakby sens tego, co mówili, krył się między wierszami, a my nie potrafiliśmy go odgadnąć.

– To niesamowite, że wpadamy na siebie właśnie tutaj! Myślę, że nie ma lepszego miejsca na spotkanie po latach.

– Ja... ja też się cie... cieszę, James.

– W dodatku wyświetlasz mój film! Czyż to nie cudowne?! – wykrzyknął Black z przesadnym entuzjazmem.

– Mo... mo... mogę ci to wytłumaczyć, James – odparł Jeff, wyraźnie wystraszony.

– A co tu tłumaczyć? Chyba że o czymś nie wiem?

– Proszę pana... – wtrącił się do rozmowy Ryan.

– Ryan Huff. Mugol z mojej grupy. Cieszę się, że znów pana widzę.

Ryan uśmiechnął się zadowolony, że Black zapamiętał jego nazwisko.

– Mów mi James, chłopcze.

– Jasne, James. Przepraszam.

– A pani to kto? – zapytał, zwracając się do mnie z przyjaznym uśmiechem.

– Miranda. Miranda Collins. Też jestem w pańskiej grupie.

– Proszę wybaczyć, że pani nie rozpoznałem. Teraz już na pewno nie zapomnę pani imienia.

Przytaknęłam, zawstydzona. Rozmawiałam z wielkim Jamesem Blackiem. Onieśmiała mnie. Gdybym wtedy wiedziała o nim to, co z czasem odkryłam, na pewno zareagowałabym inaczej.

– Powiedziałem Jeffowi – ciągnął Ryan – że muszę obejrzeć *Garsonierę* na pańskie zajęcia. A on przyprowadził nas tutaj. Nie ma to jak film wyświetlony z projektorą. – Zerknął na mnie kątem oka i dodał: – Właśnie skończyliśmy, Jeff zaproponował, że puści nam jeszcze pański film.

Jeff w pośpiechu nawijał taśmę. James Black spojrział na nas i westchnął, po czym usiadł w fotelu za mną.

– Zdradzić wam pewien sekret?

– Prosimy... – odpowiedział z miejsca Ryan.

Zdałam sobie sprawę, że nadal ściska moją dłoń poza zasięgiem wzroku Blacka. Byłam do tego stopnia zestresowana, że tylko skinęłam głową i szepnęłam „tak”, choć nie jestem pewna, czy z moich ust wydobył się jakikolwiek dźwięk.

– *Wspaniałe wczorajsze życie* podobałoby wam się znacznie mniej, gdybyście wiedzieli, że tak naprawdę film nie został skończony – westchnął Black z odrobiną melancholii.

– Jak to? Co ma pan na myśli? Film zaczyna się i kończy. Jest zrozumiały, chociaż historia zatacza krąg - zaprotestowałam.

– To, co słyszeliście. Jest niedokończony. Jeśli zaś chodzi o zataczanie kręgu... Ha! Za każdym razem kiedy to słyszę, chce mi się śmiać. To wymysł krytyków, którzy nie zrozumieli, że w filmie po prostu brakuje kilku scen. W fabule są luki.

Krytycy interpretują je tak, jak chcą. Że niby jest w nich jakaś głębia, że pozostawiam ich wypełnienie wyobraźni widza. Ale prawda jest taka, że film nie został skończony. Musiałem oddać go wytwórni w takiej postaci. Nie miałem wyjścia.

– Ale przecież historia rzeczywiście zatacza krąg. Symbolizuje to obracająca się na początku karuzela. Wszyscy bohaterowie są skazani na zmaganie się z tymi samymi problemami na różnych etapach życia. Nie jest tak? - dociekał Ryan.

Wyraz twarzy Blacka momentalnie się zmienił. Wykrzywił usta, odchylił się na oparcie fotela i zadumał jakby zatonął we wspomnieniach. Ja i Ryan obserwowaliśmy go bez słowa.

– Coś wam powiem – oznajmił wreszcie swoim charakterystycznym zachrypniętym głosem.

– Co takiego? – zapytałam podekscytowana.

– Ta karuzela to tak naprawdę coś w rodzaju hołdu.

– Hołdu? Dla jakiego filmu? – zainteresowałam się.

– Nie chodzi o film, ale o osobę. Osobę, dzięki której pokochałem kino bardziej niż cokolwiek innego. Dlatego dalej kręciłem filmy.

– Naprawdę? Kto to taki? Jeżeli można zapytać – dociekałam zaintrygowana.

– Nie mogę wam powiedzieć... Przyrzekłem sobie, że tego nie zrobię. Jej wspomnienie powinno pozostać wyłącznie w mojej pamięci, zasłużyła na to.

– Jej? To jakaś kobieta? – drążyłam. – Robi pan filmy z powodu kobiety?

– Robię filmy z miłości do kobiety. Miłość to jedyna rzecz, która nas napędza.

Jeff schował już film Blacka do pudełka i teraz stał bez ruchu za projektorem.

– To... to Paula... Paula Hicks – wyjąknął.

– Nie... nie waż się wymawiać jej nazwiska! – odparł James ze złością, odwracając się w stronę Jeffa.

– Paula Hicks? – zapytałam.

Black wstał z fotela i zdecydowanym krokiem podszedł do Jeffa, który przywierał plecami do ściany, przyciskając do piersi puszkę z filmem. Wyglądał na przestraszonego. Myślałam, że Black go uderzy, ale on nagle skamieniał.

– To niemożliwe – powiedział, spoglądając z niedowierzaniem na czarne pudełko.

– Mo... mogę ci to wy... wyjaśnić, James.

– Naprawdę im to pokazałeś?

Black przesunął palcami po naklejce z napisem:

Wspaniałe wczorajsze życie.

Scenariusz i reżyseria: James Black. 1976

Z miejsca, w którym siedzieliśmy, nie widzieliśmy wyraźnie twarzy Blacka, ale domyślałam się, że jest poruszony.

– Panie Black, wszystko w porządku? – zapytał Ryan. – Co się dzieje?

Wydawało się, że Black za chwilę się rozpłacze: ciężko oddychał, drżały mu ręce, kiedy ostrożnie brał od Jeffa pudełko z taśmą. Kilka razy pogładził nalepkę z tytułem, mamrocząc coś, czego nie zrozumieliśmy. Kiedy myśleliśmy, że zupełnie się rozklei, przełknął ślinę i wziął się w garść.

– Gdzie są pozostałe dwie taśmy? – zwrócił się do Jeffa podniesionym głosem.

– W... w środku. James, ja...

– Widzieli go w całości?

Jeff bez słowa pokręcił głową.

Black westchnął i spojrzał na niego z politowaniem.

– Nie... nie powinieneś być tego robić, stary.

Jeff nie odpowiedział, ale dostrzegłam, że do jego ciemnych oczu napływają łzy.

– Wiem, że... ja... Prze... przepraszam, James. Na... naprawdę przepraszam.

Zamiast mu odpowiedzieć, Black odwrócił się w naszą stronę.

– Przyznajcie się: widzieliście go w całości? – znowu podniósł głos.

– Wszyscy widzieli *Wspaniałe wczorajsze życie* – odpowiedziałam.

– Mam na myśli tę wersję.

– Dopiero zaczęliśmy. Widzieliśmy tylko początek. Scenę z karuzelą – wyjaśnił Ryan.

– Dobrze. Bardzo dobrze – stwierdził, kiwając głową. Przemierzał salę z wyraźnym zdenerwowaniem.

– Ale z chęcią obejrzelibyśmy cały film – dodałam. – Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli zobaczyć różnice między pierwszą wersją a tą, która ostatecznie weszła do kin na całym świecie.

Black uśmiechnął się z drugiego końca sali i odpowiedział:

– Nie ma mowy.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Bo ta wersja to śmieć. Nakręciłem ją sam, jeszcze podczas studiów. Nie nadawała się do tego, żeby ją pokazać. Później dużo z niej usunąłem, sporo ujęć trzeba było nagrać od nowa. Nie chcę, żeby ktokolwiek oglądał moje błędy. Rozumiecie?

– Ale... – Targały mną sprzeczne uczucia: chciałam zobaczyć tę wersję, jednak zachowanie Blacka zbiło mnie z tropu i nie wiedziałam, jak go przekonać.

– Nikt nie powinien tego oglądać.

– Ale... właściwie dlaczego? – Ryan rzucił pytanie, którego ja nie miałam

odwagi zadać.

James zmierzył Jeffa wściekłym spojrzeniem i ruszył w stronę składziku. Kiedy wszedł do środka, zerknęłam na Jeffa. Na jego twarzy malowała się rozpacz, zniknęła szczerą radość, którą widzieliśmy, kiedy wcześniej z nami rozmawiał. Black wyniósł z magazynu drugą i trzecią taśmę.

– To koniec. Nie było tematu – powiedział. – Film trafi tam, gdzie od początku powinien trafić.

Potaknęliśmy z Ryanem, rozczarowani, że nie możemy zobaczyć pierwszych kroków Blacka jako reżysera. Ta wersja musiała zawierać wątki poprzedzające fabułę filmu, który trafił do kin, pewnie grali w niej inni aktorzy. Żałowaliśmy, że ominęła nas możliwość zobaczenia narodzin kultowego filmu. W głowie kołatało mi się jeszcze jedno pytanie, które musiałam zadać:

– Proszę nam przynajmniej powiedzieć, kim jest Paula Hicks.

Black spojrział ze smutkiem na Jeffa, westchnął i wyznał:

– Paula Hicks była miłością mojego życia.

ROZDZIAŁ 14

Ryan

Tylko nie to

25 września 2015

Widok nagiego Blacka, klęczącego na podłodze i zanoszącego się płaczem, stanowił ostry kontrast z obrazem mężczyzny w ciemnym garniturze i okrągłych okularkach, którego poznałem pierwszego dnia zajęć. Tamten obraz do tego stopnia wrył mi się w pamięć, że dopiero teraz, kiedy zobaczyłem dawnego wykładowcę w takich okolicznościach, zdałem sobie sprawę, jak bardzo się postarzał. Pomarszczona szyja i ramiona, starcze plamy na plecach i zmierzwione siwe włosy podkreślały jego wiek. Wcześniej nie dostrzegłem tych szczegółów. Jego dłonie, ściskające blaszany pojemnik, drżały. Nie zauważył mojej obecności aż do momentu, gdy pochyliłem się nad nim ze ściśniętym gardłem i spróbowałem wyrwać go ze stuporu.

– James... przyjacielu...

Wydawało się, że mnie nie słyszy: patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby przeżywał jakieś wydarzenie z przeszłości. Mandy także zeszła na dół i w milczeniu stała na schodach.

– James... to ja... Ryan – szepnąłem.

– Ryan? – powtórzył, nie odwracając wzroku.

Opierał się plecami o regał, przed nim leżało kilka rozwiniętych taśm. Nadal przyciskał do piersi okrągłe blaszane pudełko.

– Co się stało? Jakiś zły sen?

Zanim odpowiedział, wziął głęboki oddech, próbując wyciszyć targające nim emocje.

– Gorzej... znacznie gorzej, Ryane.

– Posłuchaj mnie. Będzie dobrze. Okej? Już po wszystkim. Cokolwiek ci się przydarzyło, już minęło. Jesteś w domu.

Nie odważyłem się go dotknąć. Pokazałem Mandy na migi, żeby przyniosła coś do przykrycia; natychmiast wbiegła po schodach. Cierpiałem, widząc go w takim stanie. Był nie tylko najlepszym mentorem, jakiego mogłem sobie wymarzyć – po

tylu latach rozmów stał się też przyjacielem, do którego mogłem się zwrócić z każdym problemem. Ile to razy nabijaliśmy się z wyprodukowanych w ostatnich latach filmów czy z szalonych pomysłów reżyserów, którzy uciekali się do efektów specjalnych, żeby podrasować bezbarwną historię. Odkąd się poznaliśmy, był w moim życiu, kierował moimi krokami i naprawiał moje błędy. Kiedy tylko nie układało mi się z Mirandą, zasięgałem u niego rady, a on zawsze znajdował odpowiednie słowa. Sam był za to znacznie bardziej zamknięty, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy sercowe. Nawet kiedy zdobywałem się na odwagę, żeby zapytać go o plotki o jego kolejnych romansach z aktorkami czy innymi kobietami z branży, uśmiechał się od ucha do ucha i za każdym razem odpowiadał mi tym samym zdaniem:

– RYANIE, zlituj się... W tym momencie ostatnią rzeczą, której potrzebuję, jest ktoś, kto od rana suszyłby mi głowę.

Odkąd go poznałem, z nikim się nie spotykał. Był samotnikiem, do szczęścia wystarczało mu kino, nie interesowały go związki. Pamiętam, że kilka dni po rozpoczęciu zajęć przyłapał mnie z Mirandą w podziemiach wydziału na oglądaniu jego filmu i zdradził nam w tajemnicy, że *Wspaniałe wczorajsze życie* było hołdem złożonym jego dawnej miłości, niejakiej Pauli Hicks. Rzadko o niej mówił, ale wywnioskowałem, że musiała być dla niego bardzo ważna.

– Opowiesz mi kiedyś o tej miłości twojego życia, Pauli Hicks? – zapytałem za którymś razem, po tym jak wyznałem mu, że między mną a Mirandą nie układa się najlepiej.

– Nie ma nic do opowiedzenia, RYANIE. Paula była jedną z tych osób, które pojawiają się w twoim życiu, zmieniają je na lepsze i nagle znikają – zwierzył mi się z nostalgią. – Poznałem ją na studiach. Dodała mi skrzydeł. Dzięki niej pokochałem kino. Sprawiała, że stałem się tym, kim jestem. A potem po prostu odeszła.

– Jak to odeszła?

– Nie wiem, czy zrobiłem coś nie tak, czy po prostu najpierw jej potrzebowałem, a kiedy już nadała mojemu życiu sens i odnalazłem swoją drogę, odsunąłem ją od siebie. Nie mam pewności, która z tych teorii jest słuszna.

– Dlaczego nie odnowisz z nią kontaktu? Skoro to miłość twojego życia, może spróbuj ją odszukać?

– Po co?

– Nigdy nic nie wiadomo. Może nadal cię wspomina i wciąż jest w tobie zakochana.

– RYANIE... jestem już stary. Minęło dużo czasu. Ani ja nie wyglądam tak jak

czterdzieści lat temu, ani ona. Wolę zapamiętać ją taką, jaka była wtedy. Niektóre wspomnienia powinny pozostać bez skazy, nie można pozwolić, by zniszczyła je rzeczywistość.

– Proszę cię! Co za bzdura. Nie chcesz nawet wiedzieć, co u niej słycać?

– Daj spokój, Rynie. Nie mam ochoty o tym rozmawiać – uciał, a ja nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć.

Już więcej nie rozmawialiśmy o Pauli. Jej odejście najwyraźniej bardzo nim wstrząsnęło, nie chciałem rozdrapywać starych ran.

Przez pierwsze lata moich studiów nasza przyjaźń stopniowo się zacieśniała: do zajęć ze scenopisarstwa doszły indywidualne konsultacje, a potem długie rozmowy, które zaczynały się przy obiedzie w Steak Yorku, a kończyły przy piwie wypijanym u niego na ganku. Z czasem Black zajął ważne miejsce w moim życiu, ja zaś zmniejszyłem jego samotność. Uważałem go za jeden z filarów mojej egzystencji, obok Mirandy i rodziców. Jakimś zrzędzeniem losu moim jedynym przyjacielem był najlepszy reżyser w historii kina. Niewielu filmowców dopieszczało fabułę do tego stopnia co on – żeby na pozór nieistotne szczegóły z początku filmu odgrywały decydującą rolę w jego zakończeniu.

– To już koniec, Rynie. Koniec – wybełkotał Black, zanosząc się szlochem.

– O czym ty mówisz, James? Żaden koniec. Rozumiesz? Po prostu miałeś zły sen.

– Nie ma jej. Zniknęła.

Wytrzeszczyłem oczy, przerażony. Wiedział o Mirandzie? Uznałem, że to niemożliwe. Nie poinformowałem jeszcze o całej sprawie nawet jej braci i ojca. Miałem zadzwonić do nich z samego rana, jeżeli się nie pojawi. Wciąż istniała możliwość, że nic się nie stało, że po prostu z kimś wyjechała. Nie wspominałem o niczym nawet swojemu ojcu, chociaż codziennie rozmawialiśmy przez telefon.

– Co zniknęło? – pytając, modliłem się, żeby wiedział coś o Mirandzie.

– Wyparowała... To straszne.

– O czym ty mówisz?

– O mojej taśmie. Nie ma jej.

– Jakiej taśmie? Co ty bredzisz?

– Dorosłeś, Rynie. Nie jesteś już dzieckiem, nie masz nic wspólnego z tamtym chłopakiem, który zapytał mnie o Harry'ego Pottera. Wiele się zmieniło. – Zaniósł się spazmatycznym szlochem. – Zmieniło na gorsze.

– Wiem, przyjacielu. Czas płynie nieubłaganie dla nas obu. – Roześmiałem się w nadziei, że poprawię mu humor i nakłonię go, by powiedział mi w końcu, co się stało.

Spojrzał na mnie zapłakany i szepnął słabym, łamiącym się głosem:

– Musisz powiedzieć mi prawdę. Wiesz, co mam na myśli. Widziałeś ją wtedy.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, James. Powiedz mi wreszcie, o co ci chodzi.

– O moją pierwszą wersję. Tę, którą nakręciłem jeszcze na studiach.

– O *Wspaniałe wczorajsze życie*?

– Schowałem ją tutaj. Dziś koniecznie musiałem ją zobaczyć. Musiałem, rozumiesz?

– Wersję z siedemdziesiątego szóstego?

Pamiętałem, że w końcu jej nie obejrzelśmy. Z jakiegoś powodu Black wstydził się tego, jak została nakręcona, i nie pozwolił nam jej zobaczyć, chociaż scena z obracającą się karuzelą puszczona od tyłu była mistrzowska i moim zdaniem nie różniła się niczym od wersji, która ostatecznie trafiła do kin.

– Już jej nie ma... Była tutaj. Od kiedy ją odzyskałem, zawsze tu była... a teraz jej nie ma.

Za moimi plecami rozległy się kroki Mandy. Przyniosła szary koc. W jej spojrzeniu nadal malował się niepokój.

– Poszukamy jej razem. Obiecuję. – Próbowałem go pocieszyć. – Musi być gdzieś w domu. Na pewno.

Oparł głowę na moim ramieniu. Usłyszałem jego przyspieszony oddech, znowu się rozszlochał. Uspokoił się, kiedy Mandy przykryła go kocem: podniósł wzrok i posłał jej uśmiech. Jakby ktoś wreszcie go utulił, jakby przez całe życie za tym tęsknił. Przestał płakać i zamknął oczy. Milczał, oparty o moje ramię, jego oddech stopniowo zwalniał.

– Chodźmy na górę – powiedziałem po upływie kilku minut, kiedy uznałem, że już doszedł do siebie. – Musisz się przespać. Zaprowadzę cię do łóżka, a jutro znajdziemy to, czego szukasz.

Sam miałem nadzieję na taki finał. Miranda. Miranda. Mój umysł omal nie eksplodował od ciągłego powtarzania jej imienia. Razem z Mandy podnieśliśmy Blacka z podłogi, z trudem wprowadziliśmy go po schodach i położyliśmy do łóżka. Kiedy Mandy otulała go szczelniej kocem, zacząłem po cichu wycofywać się z pokoju. Nie chciałem go alarmować. Myślałem, że zasnął, ale on nagle otworzył oczy i czule szepnął do swojej asystentki:

– Zawsze jesteś blisko, Mandy. Dlaczego okazujesz mi tyle serca?

– Bo straszna z pana niedojda. – Uśmiechnęła się. – Jutro porozmawiamy o podwyżce.

– Masz ją jak w banku... – odpowiedział Black, zamykając oczy.

Mandy darzyła Jamesa szczerym podziwem. Nasze historie były podobne. Odkąd dziesięć czy jedenaście lat temu zaczęła pracować jako jego asystentka, łącząca ich więź stale się zacieśniała. Stworzyli jednak inny rodzaj relacji: przypominali małżeństwo z ponad czterdziestoletnim stażem. Mandy narzekała w obecności Blacka, jak ciężko być jego sekretarką, a James ciągle skarżył się na nią. Mimo to widać było, że są ze sobą bardzo życzliwi. Ona uprzedzała jego życzenia, on zaś wielokrotnie udowodnił, że się o nią troszczy.

Teraz zgasła lampkę nocną i zesłiśmy na dół.

– Może powinnaś zostać z nim na noc – powiedziałem. – Nie wiadomo, w jakim będzie stanie, kiedy się obudzi.

– Nie martw się, taki miałam zamiar.

– Dzięki, że tak się nim zajmujesz.

– Robię to, bo go kocham.

– Wiem.

Wyszedłem, Mandy została w progu. Już miałem odejść, kiedy zorientowałem się, że coś jest z nią nie tak. Może ten incydent z Blackiem poruszył ją bardziej, niż sądziłem. Wyglądała na wystraszoną.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Posłuchaj... – Urwała, nie wiedząc, czy powinna kontynuować. – Wiem, że to nie jest odpowiedni moment, ale już dłużej nie wytrzymam.

– Co się dzieje? Chodzi o Jamesa? Jest coś, o czym nie wiem?

– Nie. Nie chodzi o Jamesa. To nie ma z nim nic wspólnego.

– Co...?

– Jestem w ciąży.

– Och... ale... nie... – Nie wiedziałem, jak mam zareagować. Przeszedł mnie dreszcz. Spojrzałem na ulicę, pustą, mroczną, oświetloną jedynie słabym blaskiem latarni.

– Powiedz mi, że to nieprawda – wyszeptałem.

– Wiem. Kurwa, wiem, że to był tylko ten jeden raz. – Podniosła dłoń do twarzy, zakrywając oczy.

– Nie rób mi tego, Mandy. Błagam, tylko nie to.

– To twoje dziecko. Nie było nikogo innego.

ROZDZIAŁ 15

James Black

Liczy się każde ujęcie

1975

Po inauguracji wrócił do akademika. Od kilku godzin gapił się w sufit, leżąc na łóżku. Jeff zaproponował mu spacer po kampusie, żeby poznać miejsce, w którym przyjdzie im spędzić najbliższe lata, ale on wykręcił się zmęczeniem. Nie dawały mu spokoju słowa wykładowczyni. „Najsmutniejsze dla reżysera jest to, że nigdy nie zdoła zobaczyć wszystkich filmów, które nakręcono”, powtórzył w myślach. Od dłuższego czasu zastanawiał się nad tym zdaniem. Wstał, wyjrzał przez okno wychodzące na pas zieleni i głęboko wciągnął powietrze. Czuł w piersiach dziwny ucisk. Niepokoił się. Nie wiedział dlaczego. Przypomniał sobie, że miał zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że bezpiecznie dotarł na miejsce. Wyruszył na poszukiwanie budki telefonicznej.

– Już się zadomowiłeś, synu? – odezwał się po drugiej stronie linii Jay Black.

– Mam pokój i kolegę z grupy, z którym dobrze mi się rozmawia. To chyba nieźle jak na początek.

– Kolegę, powiadasz? Błagam, powiedz, że nie jest czarny. Twoja matka byłaby niepokieszona.

– A co to za różnica?

– Mówi, że mógłby cię zarazić.

– Zarazić czym?

– Jakąś chorobą czarnych. Znasz matkę. Gdzieś to wyczytała i od twojego wyjazdu w kółko powtarza, że umrzesz, bo zarazisz się od jakiegoś czarnego. Że w Los Angeles jest ich pełno. Nie to co w Rutland. Czarni nie lubią zimna. Dlatego mamy ich tu tak mało.

– Tato, nie słuchaj mamy. Na miłość boską, przecież to normalni ludzie. Nie mają żadnych własnych chorób. Nie różnią się niczym od ciebie.

– Nie gadaj głupot. Widzę, że już nabili ci głowę tymi swoimi postępowymi ideami.

– Zadzwoniłem, żeby zapytać, co u was, ale widzę, że bez zmian. Dalej tkwicie

w ubiegłym wieku.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

– Twój syn zakolegował się z czarnym – powiedział Jay Black, odsuwając się od telefonu. Jego żona Samantha stała obok i przysłuchiwała się rozmowie.

– On nie jest czarny! – wykrzyknął James. – Zresztą nawet gdyby był, to bez różnicy.

– A tak poza tym wszystko w porządku? Podbiłeś już serce jakiejś dziewczyny?

– Tato, nie żartuj. Dopiero przyjechałem.

– Ale masz geny swojego ojca. Nic na to nie poradzisz. Płynie w tobie krew uwodziciela. Wystarczyło pięć minut, żeby twoja matka wpadła w moje sidła.

– Kalifornijskie dziewczyny bardzo różnią się od tych z Rutland.

Z oddali dobiegł głos matki:

– Tamtejsze dziewczyny to lafiryndy. Zwykle lafiryndy.

Tym razem westchnął James.

– Powiedz mamie, żeby się nie odzywała. Wszystko słyszałem.

– Synu – rzucił ojciec poważnym tonem.

– Co?

– Nie bierz narkotyków. Obiecuj mi to. Widziałem w telewizji, że tam wszyscy biorą narkotyki.

– Tato, błagam. Wystarczy.

– No dobrze, możesz spróbować, ale tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość. Ja sam wypaliłem w wojsku kilka papierosów z opium.

– Radzisz naszemu synowi, żeby się narkotyzował? – zapytała z oddali matka, wyraźnie zdeglustowana.

– Nie. Radzę mu spróbować. Nie pamiętasz już, jak się upaliłaś w domu twojej kuzynki Molly?

– To nie to samo!

Zaczęli się kłócić. James postanowił się pożegnać.

– Muszę kończyć. Teraz już wiecie, że u mnie wszystko w porządku. Od czasu do czasu będę się do was odzywał.

– Kochamy cię.

– Ja was też.

Zrezygnowany, odwiesił słuchawkę. Jego rodzice zachowywali się tak, jakby przyszli na świat dwieście lat temu. Ruszył w kierunku stołówki. Od rana nie miał nic w ustach i nawet nie zdążył zrobić zakupów. Nagle usłyszał za plecami stukot obcasów. Chciał się odwrócić, ale kroki przyspieszyły i zamieniły się w pachnący lawendą powiew, w falę ciemnych włosów zasłaniających profil. James stanął jak

wryty i wpatrywał się w postać zmierzającą w kierunku, w którym on sam już nie podążał. Natychmiast ją rozpoznał. Od tej pory rozpoznawał ją także po perfumach. Paula Hicks minęła Jamesa, nie odwracając głowy, jakby go nie zauważyła.

W pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować, ale w końcu pobiegł za nią.

– Proszę pani! – zawołał, próbując ją dogonić.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

– Pan Black.

„Pamięta, jak się nazywam”, zdziwił się James.

– Bo widzi pani... ja długo... – zawahał się – długo zastanawiałem się nad tym, co pani powiedziała.

– A dokładnie nad czym? Zwykle mówię dużo rzeczy.

– Nad tym, że trzeba oglądać filmy. I że nie da się obejrzeć wszystkich.

– I co w związku z tym?

– A gdyby tak jakiś film zawarł w sobie wszystkie fabuły?

– Co ma pan na myśli?

– Co gdyby tak ktoś nakręcił film, który zawierałby w sobie wszystkie możliwe fabuły?

– Ile musiałby trwać taki film? Kilka lat? To kompletna bzdura, panie Black.

– Nie... nie o to mi chodzi. Rzecz w tym... Co, gdyby ktoś był w stanie stworzyć fabułę łączącą w sobie wszystkie możliwe rodzaje fabuł?

Paula Hicks odpowiedziała uśmiechem.

– Jest pan ambitny. Ambitny i naiwny.

James nie wiedział, co odrzec.

– Ale to dobrze. Trzeba być ambitnym i naiwnym, żeby tworzyć nowe rzeczy.

– Czyli myśli pani, że to możliwe?

– Ależ skąd. W całej swojej karierze nie słyszałam większej bzdury. To nie tylko niemożliwe, ale i pretensjonalne. Absurdalne.

– Ale...

– Brak panu pokory, panie Black. Tego, co pan proponuje, mogliby się podjąć tylko najlepsi. Nie sądzi pan? - Uśmiechnęła się lekko, po czym dodała: – Wykładałam tu od sześciu lat i proszę mi wierzyć, miałam do czynienia z wieloma studentami takimi jak pan. Nieco aroganckimi, nieco zarozumiałymi, uważającymi się za następców Orsona Wellesa. I niech pan zgadnie, co? Nie pamiętam nazwiska żadnego z nich. Co wyróżnia pana spośród innych? Jeżeli mi pan powie, może pan liczyć na moje wsparcie – zakończyła z uśmiechem.

James najpierw aż skurczył się w sobie, ale nagle odpowiedział:

– To, że sprawię, by nie zapomniiała pani mojego nazwiska.

Profesorka skinęła głową.

– Idzie pan dobrym tropem. Proszę mi powiedzieć: jaki jest pana ulubiony film?

– Nie mam jednego ulubionego filmu. To byłoby nie fair wobec tylu innych...

– Bardzo dobrze – odpowiedziała zmienionym tonem. – Zrobimy tak: dziś punkt siódma będę czekać na pana w północnym rogu kampusu, przy Melnitz Hall. Pasuje panu?

– Ale... – James nie wiedział, co o tym myśleć. – Czy ja zrobiłem coś nie tak?

– Bynajmniej, panie Black. Właśnie o to chodzi. Jeszcze nie zrobił pan nic nie tak. Niech się pan lepiej nie spóźni.

– Do... dobrze.

Paula Hicks odwróciła się na pięcie i odeszła. James stał nieruchomo i patrzył, jak oddala się ścieżką wyłożoną szarymi płytkami. Nie rozumiał, co się przed chwilą stało, po co chce się z nim spotkać. Jej biodra opięte wąską spódnicą zmysłowo kołysały się przy chodzeniu, ciemne włosy tańczyły na plecach na wysokości prześwitującego przez bluzkę stanika. Przystanęła, żeby porozmawiać z innym wykładowcą, podczas gdy spięty James przyglądał jej się z daleka. Nadal czuł lawendowy zapach jej perfum. Chwilę później ruszyła dalej i zniknęła w mrocznym wnętrzu jednego z budynków. Chłopak jeszcze przez jakiś czas wpatrywał się w drzwi, licząc na to, że może wykładowczyni zaraz wyjdzie. W końcu wrócił do swojego pokoju.

Dla zabicia czasu postanowił schować do szafy nieliczne ubrania, które przywiózł z domu. Bez przerwy rozmyślał nad swoją rozmową z Paulą Hicks. Rozważał nawet, czy nie zadzwonić do ojca, ale ostatnią rzeczą, jaką chciał usłyszeć, była rada, żeby zdał się na urok Blacków. Czy to miała być randka? Nic na to nie wskazywało, choć odtworzył w myślach całą rozmowę w nadziei, że wyczyta coś między wierszami. Uznał, że kobieta chce pewnie pogłębić temat filmu obejmującego wszystkie możliwe fabuły. Spróbować go przekonać, że to ślepa uliczka, albo wskazać mu błędy, które popełnili studenci z poprzednich roczników. Miał w głowie kompletny mętlik. Wahał się, czy iść na to spotkanie, pomyślał nawet, że mógłby zaczać się w pobliżu Melnitz Hall i sprawdzić, czy przyjdzie i jak zareaguje, widząc, że go nie ma.

Skończyło się na tym, że za dziesięć siódma nerwowo rozglądał się na wszystkie strony, czekając na nią w umówionym miejscu. Oblał się perfumami, założył białą koszulę i dżinsy i spędził pół godziny przed lustrem na próbach ułożenia na właściwym miejscu każdego kosmyka swoich kasztanowych włosów. Czas strasznie mu się dłużył. Kiedy już uznał, że lepiej zrobi, wracając do akademika, wpadł na jednego z leciwych wykładowców, którego widział na inauguracji.

Przywitał go skinieniem głowy. W tym momencie z ulicy dobiegł dźwięk klaksonu.

– Jedziemy? – zapytała Paula Hicks z małego czerwonego kabrioletu marki Triumph.

James uśmiechnął się, zaskoczony.

– Dokąd? – odpowiedział, otwierając drzwi od strony pasażera.

– Na film.

ROZDZIAŁ 16

Miranda

Potwór?

James Black uciął rozmowę. Opuścił salkę, zabierając ze sobą trzy pudełka ze swoim filmem. Jeff usiadł w jednym z foteli w głębi pomieszczenia i szepnął:

- Czy... mo... moglibyście zo... zostawić mnie samego?
- Co się dzieje? – zapytał Ryan, podchodząc do mężczyzny.

Wyglądało na to, że całe to spotkanie bardzo wstrząsnęło Jeffem. Domyślałam się, że w przeszłości coś zaszło między nim a Blackiem, ale nie miałam odwagi o to zapytać.

- Zo... zostawcie mnie samego, pro... proszę.
- Ale Jeff... Wszystko w porządku? Black na pewno znajdzie sposób, żeby zdobyć dla ciebie kopię *Wspaniałego wczorajszego życia*.
- Nic mi... mi nie jest. Nie przejdź... przejmujcie się mną.

Ryan złapał mnie za rękę. Wróciło łaskotanie w żołądku i zdałam sobie sprawę, że tego szukałam w mężczyznach. Eh... od tamtej pory tyle się zmieniło! Gdyby pozostała we mnie choć odrobina tamtej energii, nie dopuściłabym, żeby wszystko aż tak się popsulo.

Ryan szepnął, żebyśmy wyszli: porozmawiamy z Jeffem, kiedy będzie w lepszym stanie. Prowadził mnie za rękę korytarzami piwnicy z powrotem do Melnitz Hall. Kiedy weszliśmy na górę, okazało się, że zapadł już zmierzch.

- Idziemy?
- Gdzie?
- Do mnie.

Trzeba przyznać, że nie tracił czasu. Dlaczego musiał się aż tak bardzo zmienić? Chociaż mi się podobał, uznałam, że każę mu trochę zaczekać. Pociągał mnie, chciałam jednak, żeby bardziej zaangażował się w nasz związek, pragnęłam owinać go sobie wokół palca, zanim dam mu to, co – jak z czasem odkryłam – było jedyną rzeczą, na której mu zależało. Jeżeli chcesz, żeby koleś jadł ci z ręki, złap go przez spodnie za jaja.

Mieliśmy się spotkać nazajutrz, na zajęciach. Nigdy nie zapomnę, jak się ze mną

pożegnał: przyłożył mi kciuk do ust, a potem go pocałował. Jego wargi były tak blisko, pragnęłam poczuć ich dotyk. Potem żegnaliśmy się tak za każdym razem, kiedy z powodu pracy czekała nas kilkudniowa rozłąka. Szłam do pokoju przekonana, że właśnie przeżyłam coś wyjątkowego. Serce biło mi jak oszalałe, wargi piekły mnie od zarostu Ryana, a dusza skakała z radości. Ależ byłam naiwna!

Kiedy obudziłam się następnego ranka, moja współlokatorka Janet krzyknęła do mnie od biurka:

- No i co, nic mi nie opowiesz?!
- Nie ma co opowiadać – skłamałam.
- Jak to nie? Widziałam cię wczoraj z Ryanem.
- Ryanem?

– Daj spokój, nie udawaj głupiej!

Siedziała na obrotowym krześle i zniecierpliwiona rzuciła we mnie poduszką.

– Nie ma co opowiadać! Ale...

– Ale co?

– Chyba... mi się podoba. Bardzo mi się podoba.

– No co ty? Nic nie mówiłaś. A co z Larrym? Jak on, kurna, miał na nazwisko?

– Larry to już przeszłość. Ryan jest... inny.

– I co...? Zrobiliście to?

Uśmiechnęłam się.

– Mirando! – Janet parsknęła śmiechem. – Masz mi wszystko opowiedzieć.

– Nie ma mowy! Jesteś okropną plotkarą. A ja nie chcę niczego zepsuć. Mam wrażenie, że to ten jedyny.

Janet bywała namolna, ale tym razem okazała zrozumienie. Ubrałam się i poszłam na zajęcia. Ryan czekał na mnie przed drzwiami do sali. Przywitałam się z nim skrzepowana, a on spojrzał na mnie z poważną miną.

– Co jest?

– Nie ma go. Nie przyszedł.

– Kto?

– Jeff. Zajrzałem do niego przed zajęciami. Przypomniałem sobie, że przywiozłem z domu *Wspaniałe wczorajsze życie* na kasecie. Wiem, że to nie to samo, ale chciałem go jakoś pocieszyć. Po tym, jak Black zabrał taśmy, był taki przygnębiony... Postanowiłem oddać mu swoją kopię, nie jest mi potrzebna, widziałem ten film mnóstwo razy.

– Pewnie jest gdzieś na kampusie – próbowałam go uspokoić.

– Nie ma go. Zniknął.

– Jak to zniknął?

– Szukałem go na całym wydziale, zszedłem do magazynu, zajrzałem do archiwum, sprawdziłem wszystkie miejsca, gdzie zazwyczaj go spotykałem. Nigdzie go nie ma.

Wyglądał na naprawdę przejętego.

– Pewnie miał coś do załatwienia i nie przyszedł dziś do pracy.

– Nie. On zawsze tu jest. Mieszka na kampusie. W domku za budynkiem administracji.

– Może właśnie tam jest.

– To jedyne miejsce, którego nie sprawdziłem.

– Zaraz zaczynamy. Poszukamy go po zajęciach?

Ryan skinął głową.

Weszliśmy do sali i usiedliśmy obok siebie. Przez cały dzień bujałam w obłokach. Zajęcia mijały szybko, na katedrze zmieniali się kolejni wykładowcy. Ryan działał na mnie tak, że wszystko inne przestawało się liczyć. Od czasu do czasu żartował szeptem z tego, co akurat powiedział któryś z nauczycieli. Odpowiadałam mu uśmiechem i powtarzałam w myślach jego słowa, doszukując się w nich potwierdzenia tego, że ja podobam mu się tak samo jak on mnie. Ku naszemu zdziwieniu Black nie pojawił się na zajęciach. Jego asystentka, brunetka mniej więcej w naszym wieku, wyjaśniła, że nasz wykładowca jest dziś niedysponowany.

Wybuchło spore zamieszanie, jako że większość grupy została na zajęciach wyłącznie dla wykładu z Blackiem. Ja i Ryan skojarzyliśmy jego nieobecność ze zniknięciem Jeffa. Wyszliśmy za sekretarką.

– Co z panem Blackiem? – zapytałam głośno, żeby ją zatrzymać.

– Nie czuje się dziś najlepiej – odpowiedziała wymijająco. Widać było, że jej się spieszy.

– Coś mu się stało?

– Zadzwoił do mnie i poprosił, żebym odwołała jego zajęcia. Nic więcej nie wiem.

– I niczego nie wyjaśnił?

– Jego słowa brzmiały dokładnie tak: „Mandy, odwołaj zajęcia. Dziś mnie nie będzie” – powiedziała z ironią w głosie. – Wydaje mi się, że postawił sprawę dość jasno.

Odwróciła się i pomknęła korytarzem.

– Gdzie ona tak goni? – zapytałam Ryana, który z niedowierzaniem spoglądał za oddalającą się dziewczyną.

– Nie wiem... ale może ma to jakiś związek z Jeffem.

Postanowiliśmy pójść do jego domku, parterowej ceglanej oficyny z płaskim dachem przylegającej do tylnej ściany kilkupiętrowego budynku administracji. Obok drzwi znajdowało się małe okienko, przez które Ryan zajrzał do środka.

Zobaczył tylko pograżoną w mroku, zabałaganioną kuchnię.

– Nikogo tu nie widzę.

Podeszłam do drzwi i zastukałam zardzewiałą kołatką.

– Jeff?! – zawołał zaniepokojony Ryan.

Spróbowałam przekręcić gałkę. Ustąpiła. Przywołałam Ryana ruchem dłoni.

– Co jest? – zapytał.

– Są otwarte – szepnęłam.

– Nie możemy wejść. Groziłoby nam...

Nie dałam mu dokończyć. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

– Zwariowałaś?

– Jeff?! – krzyknęłam. – Jesteś tu?

Ryan czekał w progu. Stałam pośrodku małego saloniku połączonego z kuchnią umeblowaną starymi białymi szafkami. Zwróciłam uwagę na brudne naczynia w zlewie i patelnię z olejem na kuchence turystycznej. Pokój był skromnie urządzone: niewielka brązowa kanapa o wytartej tapicerce, na niej wysłużone poduszki, a na wprost drewniana biała szafka z kilkoma zdjęciami w ramach i porcelanowymi figurkami po obu stronach dwudziestojednocalowego telewizora z kwadratowym ekranem. We wpadających przez okno promieniach słońca wirowały drobinki kurzu.

– Będiesz się tak gapił czy wejdiesz? – zapytałam szeptem. – Musisz to zobaczyć.

– Jesteś szurnięta – powiedział rozpromieniony. – Jak dla mnie nawet za bardzo. I to właśnie mi się w tobie podoba.

Odwzajemniłam jego uśmiech. Wreszcie Ryan podszedł do miejsca, w którym stałam.

– To Jeff? – zapytałam z niedowierzaniem.

Fotografia w kolorze sepii przedstawiała uśmiechniętego dwudziestolatka stojącego przed Melnitz Hall, gdzie mieścił się nasz wydział. Miał na sobie dzwony i białą koszulę z krótkim rękawem. Jego twarz wyglądała zupełnie inaczej niż zryte bliznami oblicze Jeffa. Trudno było rozpoznać go w przystojnym chłopaku ze zdjęcia, o gładkich kasztanowych włosach i prostych plecach.

– Pewnie tak. Niesamowite, jak bardzo się zmienił.

– Musiało go spotkać coś strasznego. Blizny zniekształciły mu twarz.

Ryan podszedł do szafki, na której stał telewizor, i oglądał pozostałe zdjęcia.

– A to nie jest młody Black? – zapytał, wskazując jedną z fotografii.

– Tak. To on.

Przyjrzałam się lepiej zdjęciu. Dwudziestoletni James Black ubrany w dżinsy i białą koszulkę polo obejmował ramieniem Jeffa. Obaj się śmiali.

– To zdjęcie musiało zostać zrobione w latach siedemdziesiątych, kiedy Black był studentem. Wygląda na to, że obaj uczyli się na naszym wydziale.

– No jasne! Stąd się znają! – wykrzyknął Ryan.

Moją uwagę zwróciła inna fotografia. Twarz Jeffa przecinały już blizny. Był nieco starszy niż na pozostałych zdjęciach: siedział na trawie w jakimś parku, odwrócony w stronę roześmianej ośmio- czy dziewięcioletniej dziewczynki. Oboje wyglądali na szczęśliwych, z uśmiechem spoglądali na małego chłopczyka, którego Jeff podnosił do góry na rękach.

– To Jeff? On ma dzieci? – zdziwił się Ryan.

– Nie mam pojęcia... Na to wygląda.

– Nigdy mi o nich nie wspominał. Ale... kiedy zostało zrobione to zdjęcie? Jeżeli też w latach siedemdziesiątych, to by znaczyło, że jego dzieci są teraz starsze od nas.

Ryan obchodził dom, szukając jakiejś wskazówki, która pomogłaby nam w znalezieniu Jeffa. Ja zostałam w salonie i zastanawiałam się nad jego losem. Co sprawiło, że tak teraz wygląda? Przystojny, wysportowany, roześmiany chłopak z pierwszego zdjęcia w niczym nie przypominał zgarbionego mężczyzny o twarzy i szyi pokrytych bliznami. Pomyślałam, że jego jąkanie to pewnie wynik braku pewności siebie.

– Boże święty... co mu się stało? Był... normalny. Zupełnie normalny – powiedziałam na głos. – A teraz wygląda jak...

W tym momencie za moimi plecami rozległ się kobiecy głos:

– Potwór? To chciałaś powiedzieć?

ROZDZIAŁ 17

Ryan

Plastikowy worek

25 września 2015

Wróciłem do siebie, kiedy słońce wynurzało się zza horyzontu. Po wejściu do domu od razu zwałem się na kanapę. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, już od dobrych dwóch godzin rozmyślałem o ciąży Mandy i zniknięciu Mirandy. Jak to możliwe, że moje życie posypało się w ciągu zaledwie jednej nocy?

To z Mandy wydarzyło się jakieś dwa miesiące wcześniej, podczas imprezy z okazji premiery nowego filmu głównego producenta Jamesa. Black uważał, że powinienem poszerzyć sieć kontaktów – może udałoby mi się zainteresować kogoś moim scenariuszem? Doskonale wiedział, jak działa ten biznes. Na przyjęciu miało być mnóstwo producentów, reżyserów i aktorek. A także zwykli śmiertelnicy, tacy jak ja. Miranda postanowiła mi towarzyszyć. Miała na sobie długą żółtą suknię odsłaniającą plecy, przez cały wieczór rozdawała uśmiechy, zachwalała nieznanym moje scenariusze i rozplęwała się nad moimi dialogami, słowem nawet nie wspominając o własnych pomysłach.

– Musisz przeczytać ostatni tekst Ryana. Jest elektryzujący – przekonywała ze śmiechem jednego z producentów. – Ryan stworzył prawdziwe dzieło sztuki, które warto wyprodukować – doradzała innemu, wznosząc toast szampanem.

Zaczynałem czuć się nieswojo. Jak nieudacznik. Patrzyłem na Mirandę: wyglądała przepięknie w swojej żółtej sukni, tryskała energią, rozpromieniona zabawiała rozmową reżyserów, próbując wskrzesić moją karierę, ja tymczasem nie miałem nawet siły, żeby wesprzeć ją w tym, co przecież właśnie mnie dotyczyło. Ostatnie porażki obniżyły moje poczucie własnej wartości, więc na widok żony, która sprzedawała moje nieliczne sukcesy, jakby była moją matką, poczułem się jak śmieć. Kiwałem głową, słuchając jej pochwał, ale sam nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Idę po drinka – powiedziałem, kiedy po raz enty wysłuchałem streszczenia absurdalnej, nietrzymającej się kupy fabuły jednego z moich nowszych scenariuszy.

Miranda była dobra. Wyjątkowa. Ja zaś uchodziłem za pomyleńca. Czy w ogóle zasługiwałem na to, żeby z nią być? Przewracając się na kanapie, pomyślałem, że może zapracowałem sobie na to, co mnie spotkało, że jej zniknięcie to kara. Potem wróciłem wspomnieniami do tamtej imprezy...

Stałem przy ladzie zastawionej odwróconymi kieliszkami, popijając whisky. Dostrzegłem Blacka: ubrany w białą koszulę i nienaganny czarny garnitur zabawiał rozmową dwie dwudziestoparoletnie aktorki. Spojrzał w moją stronę i posłał mi uśmiech – odpowiedziałem na jego pozdrowienie uniesieniem szklanki.

– Jeżeli jeszcze raz ktoś zapyta, czy jestem żoną Jamesa Blacka, palnę sobie w łeb – usłyszałem kobiecy głos.

To była Mandy. Wyglądała prześlicznie w ciemnozielonej sukience odsłaniającej ramiona, na które spływały rozpuszczone włosy. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że jest taka atrakcyjna.

– Ja też, jeżeli moja żona dalej będzie mnie zachwalać, jakby była moją matką.

– *Touché* – odpowiedziała, stukając w moją szklankę kieliszkiem z szampanem.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zdradzić Mirandę. Tamtej nocy marzyłem jedynie o tym, żeby wreszcie sobie poszła. Zazwyczaj podczas takich imprez w milczeniu przyglądała się, jak wykładam karty. Poczucie wyższości, z jakim teraz analizowała moje scenariusze przy obcych ludziach, wyprowadziło mnie z równowagi. Za to Mandy była urocza. Zresztą jak zawsze. Tamtego wieczoru potrzebowałem kogoś takiego jak ona, kto by mnie podbudował, wysłuchał tego, co mam do powiedzenia. Zamiast tego miałem Mirandę, która brylowała wśród gości w swojej pięknej sukni, bez przerwy mnie poprawiała i ośmieszała, co sprawiało, że czułem się jak nieudacznik.

Przyjęcie odbywało się w ogrodzie. Zapytałem Mandy, czy nie chciałyby wejść do środka i usiąść w jednym z salonów. Potem zaproponowałem, żebyśmy pomyszkowali po pokojach i poszukali czegoś śmiesznego (jak portret właściciela nad kominkiem, kompromitująca bielizna czy piesek w aksamitnym ubranku); kiedyś graliśmy w coś takiego z Mirandą. Chociaż nie znaleźliśmy nic godnego uwagi, nagle odkryłem, że świetnie się bawię. Mandy śmiała się z moich żartów, absurdalne dowcipy, które sto razy opowiadałem Mirandzie, doprowadzały ją do łez. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, kiedy zorientowałem się, że całuję ją na końcu korytarza, pod repliką *Saturna pożerającego własne dzieci*.

Od razu przeszliśmy do rzeczy. Było identycznie jak na początku z Mirandą: namiętnie i spontanicznie. Poczulem, że żyję. Potem jednak dotarło do mnie, że na zewnątrz jest moja żona i że zbyt dużo ryzykuję. Wpadłem na nią po wyjściu z gabinetu, w którym zamknęliśmy się z Mandy. Spoglądała na mnie w milczeniu,

z kamienną twarzą.

– Kochanie? – zapytałem.

Nie odpowiedziała. Stała nieporuszona, jedynie lekko westchnęła.

– Szukałem łazienki – dodałem.

Modliłem się, żeby z gabinetu nie wyszła Mandy.

– Wszystko w porządku? – Podszedłem do Mirandy i objąłem ją w talii.

– Na zewnątrz... – zawiesiła głos – jest reżyser, którego zainteresował twój scenariusz. Chodź... Chce cię poznać.

Wyszliśmy razem do ogrodu, zabawa trwała w najlepsze. Miałem ściśnięte gardło. Zanim zbliżyliśmy się do grupki, w której stał reżyser, Miranda wyswobodziła się z uścisku i spojrzała mi w oczy.

– Zachowuj się jak facet – szepnęła, poprawiając mi krawat – i sprzedaj wreszcie któryś z tych swoich pieprzonych filmów.

Przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy z reżyserem: zachwalając scenariusz, rozwodząc się nad tym, jaki jest wspaniały i jak tanim kosztem można by go zrealizować. Miranda obiecała, że w poniedziałek rano będzie miał go na biurku.

Im dłużej zastanawiam się nad tym, jak zachowywała się tamtego wieczoru Miranda, tym gorzej się czuję z powodu tego, co zrobiłem. Nie chodzi o to, że przestała mnie pociągać – nie podobało mi się to, kim stawałem się u jej boku. Może to jeden z objawów dogorywania miłości.

Stukanie do drzwi wyrwało mnie z tych rozmyślań. Poszedłem otworzyć. Inspektor Sallinger przyniosła mi wiadomość najgorszą z możliwych: znaleźli ciało Mirandy, zakopane płytko przy leśnej ścieżce w pobliżu Hidden Springs.

Policjantka mówiła dalej: ojciec z synem zauważyli wystającą z ziemi stopę, odsłoniętą przez deszcz. Tymczasem ja nadal stałem bez ruchu, odwrócony plecami do drzwi. Próbowałem powstrzymać łzy.

Płakałem przez dłuższą chwilę. Nie mogłem nie płakać. Chociaż nasze małżeństwo przechodziło kryzys, kochałem swoją żonę. Naprawdę ją kochałem. Lubiłem naszą dwuosobową drużynę. Lubiłem z nią spać, lubiłem oglądać ją nago.

Inspektor Sallinger zaczęła, aż się pozbieram. Uzgodniliśmy, że pojedę zidentyfikować zwłoki. Musiałem usiąść, żeby zebrać siły do zrobienia tego, co odwlekałem od kilku godzin. Wziąłem komórkę i wybrałem numer.

– Ryan? – odezwał się Zack Collins, brat Mirandy. – Wszystko okej?

– Zack... – głos odmówił mi posłuszeństwa i zaniósłem się szlochem. – Miranda... – Za nic nie mogłem dokończyć tego zdania.

– Rynie, co z tobą? Wszystko w porządku?

– Miranda nie żyje...

– O czym ty mówisz? O czym ty, kurwa, mówisz?

Nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Podałem telefon inspektor Sallinger. Ściśnięte gardło blokowało mi dopływ powietrza. Policjantka streściła Zackowi, co się stało, i umówiła się z nim w kostnicy, gdzie zwłoki Mirandy miały zostać poddane sekcji w celu ustalenia przyczyny zgonu. Ja w jednej chwili zmieniłem się we wrak człowieka. Bezwolnie poszedłem za policjantką do samochodu i zobaczyłem, że na fotelu pasażera czeka inspektor Sachs. Hannah Parks musiała zobaczyć radiowóz, bo przysłała do naszego ogrodu. Podbiegła do auta i krzyknęła przez szybę:

– Gdzie jest Miranda? Co jej zrobiłeś?! Co jej zrobiłeś?!

Spojrzałem na nią wystraszony. Co zrobiłem Mirandzie?

Inspektor Sallinger wrzuciła wsteczny bieg. Zostawiliśmy za sobą dom i rozgorączkowaną Hannah Parks. Odwróciłem się i ujrzałem przez tylną szybę, że patrzy za odjeżdżającym samochodem.

Co mogłem zrobić Mirandzie? Nigdy nie podniósłbym na nią ręki.

– Proszę się nie przejmować, panie Huff – odezwała się inspektor Sallinger. – Sąsiedzi często tak reagują. Kiedy się sprowadzasz, witają cię ciastem domowej roboty, a kiedy odkryją coś, co im się nie podoba, obrzucają cię błotem. Nikt nie lubi ludzi, którzy mają idealne życie, zwłaszcza sąsiedzi.

Przez całą drogę nie odezwałem się ani słowem. W kostnicy czekałem przez kilka godzin. Siedziałem załamany na niewygodnym plastikowym krześle w korytarzu. Czas włókł mi się niemiłosiernie. Mandy kilkakrotnie próbowała się do mnie dodzwonić, ale nie odbierałem. Kiedy poinformowała mnie o ciąży, powiedziałem jej, że porozmawiamy za kilka dni. Nie chciałem jej mówić o Mirandzie, nie chciałem też podejmować pochopnych decyzji. Może to był błąd, ale chwilowo nie byłem w stanie niczego postanowić. To wszystko mnie przerosło.

W głębi korytarza pojawili się policjanci. Na ich widok zerwałem się z krzesła.

– Miejmy to już z głowy.

– Proszę z nami, panie Huff – powiedział inspektor Sachs, wskazując metalowe drzwi pośrodku korytarza.

Zanim je pchnąłem, zamknąłem oczy. Poczułem na opuszkach palców zimny dotyk metalu, uderzył we mnie lodowaty powiew. Patolog – łysy pięćdziesięcioparolatek z bujnym wąsem – stał przy stole, na którym leżał czarny plastikowy worek ze zwłokami. Wydawało mi się, że zaraz zemdleję, ale wtedy za moimi plecami rozległ się głos policjantki:

– Proszę się nie spieszyć.

Stałem w odległości niespełna metra od zwłok. Lekarz zaczął rozpinać suwak.

Zaczekałem, aż skończy, i małymi kroczkami podszedłem do stołu. Kiedy czerwonymi od płaczu oczami spojrzałem na twarz denatki, odkryłem coś, czego zupełnie się nie spodziewałem.

– To nie jest moja żona – oznajmiłem.

ROZDZIAŁ 18

James Black

Pierwsze zakończenia

1975

Przez całą drogę był tak zestresowany, że nie wiedział, co ma zrobić z rękami. Paula Hicks z uśmiechem prowadziła samochód, wiatr rozwiewał jej włosy, które tańczyły w jaskrawych światłach Los Angeles. Od czasu do czasu odwracała się w stronę chłopaka, który milczał, bo nie miał pojęcia, jak zagaić rozmowę. Ta kobieta bardzo różniła się od dziewczyn, z którymi do tej pory się spotykał. Miała jakieś trzydzieści lat – o dziesięć więcej niż on – i była piekielnie seksowna: pełne usta podkreślone czerwoną szminką, proste, ciemne, błyszczące włosy, smukłe dłonie, kciuki gładzące szew skórzanego pokrowca kierownicy... W radiu leciała piosenka Beatlesów, ale James tak się denerwował, że nie był w stanie przypomnieć sobie jej tytułu.

– Zanim cokolwiek powiesz – przerwała ciszę Paula Hicks – wiedz, że to nie jest randka.

– Oczywiście... oczywiście, że nie – odparł.

– Zwykle zajęcia pozalekcyjne.

– Rozumiem.

– Nie chcę, żebyś snuł jakieś dziwaczne domysły.

– Żadnych dziwacznych domysłów. Jasne – powiedział z uśmiechem.

– Posłuchaj mnie, James. – Przerwała, skręcając kierownicę i wjeżdżając w Sunset Boulevard. – Myślę, że faktycznie różnisz się od pozostałych studentów. Widać, że chcesz się uczyć. Jesteś odważny. Reżyser filmowy musi być odważny. Rzucać wszystko na jedną szalę przy realizacji każdego filmu. Musi też jednak wiedzieć, że są pewne granice.

– Tak, granice – przytaknął James.

– Ale... zapamiętaj sobie, że kiedy już poznasz wszystkie istniejące granice, powinieneś je zignorować. To ty masz je wyznaczać, nikt inny.

– Poznać i zignorować granice – powtórzył spięty James. Pociły mu się dłonie, miał problemy z udzielaniem zdecydowanych odpowiedzi.

– Chcę ci dziś pokazać najwybitniejsze dzieło kinematografii. Nauczyć cię w jeden dzień tego, czego wielu kandydatów na reżyserów uczy się przez całe życie.

James skinął głową.

– Co to za dzieło? Jestem pojętnym uczniem.

Paula Hicks gwałtownie zahamowała i odwróciła się w jego stronę.

– Zamierzasz mnie poganiać?

– Nie. Skądże, proszę pani.

– Nie mów do mnie „proszę pani”. Nie lubię tego.

James przełknął ślinę i już chciał przeprosić, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– Nazywam się Paula Hicks. Mów mi Paula. Na zajęciach per pani, tutaj: Paula. Czy to jasne?

– Jak słońce, proszę pani. To znaczy... Paulo – poprawił się szybko. Paula Hicks posłała mu uśmiech i skierowała wzrok na szosę. Wcisnęła pedał gazu, jej włosy znów zaczęły wirować na wietrze. Wjechali w jasno oświetloną, zatłoczoną ulicę. James nie zdążył jeszcze zwiedzić miasta gwiazd, doświadczyć na własnej skórze tej magii, o której tyle się nasłuchiwał. Oczarowany przyglądał się rzeszom modnie ubranych przechodniów. Zauważył po drodze kilka kin, wyświetlano film o rekinach, o którym ostatnio wszyscy mówili. On nie miał jeszcze okazji go obejrzeć.

– Idziemy na *Szczęki*?

– Na coś lepszego. Na coś znacznie lepszego.

Paula skręciła w boczną ulicę i zaparkowała u wylotu mrocznego zaułka.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, wyłączając silnik i otwierając drzwi.

– To tutaj? Nie mieliśmy iść do kina? – Widząc, że profesorka znika w mroku uliczki, James pospiesznie wysiadł z samochodu.

Na końcu zaułka znajdowały się niebieskie drzwi, nad którymi świeciła lampa. Nie było szyldu, który wskazywałby, co to za miejsce, ale wyglądało na najpodlejszą spelunę w mieście. Paula zatrzymała się przy leżącym na ziemi bezdomnym, który przywitał ją wyciągnięciem ręki. Ukucnęła, wręczyła mu dwudziestodolarowy banknot i szepnęła coś do ucha. Żebrek spojrzął na Jamesa i zamachał w jego stronę. Paula wstała. Chłopak przełknął ślinę i zdenerwowany ruszył za kobietą, która, kołysząc biodrami, zmierzała w stronę drzwi.

– Idziesz? – Odwróciła się z uśmiechem.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał. Był nieźle wystraszony: zaczął wątpić, czy dobrze zrobił, przyjmując jej zaproszenie.

– Sam się przekonaj – odparła i wskazała drzwi.

James zamknął oczy i położył dłoń na klamce. Niezależnie od tego, co kryło się za tymi drzwiami, obecność Pauli Hicks dodawała mu odwagi. Był z nią na randce! W jego żyłach buzowała adrenalina, czuł ją nawet w opuszkach palców, które przekręcały gałkę. Nagle znieruchomiał: uświadomił sobie, że ledwie zna tę kobietę, a mimo to przyjechał z nią w to podejrzone miejsce.

– Śmiało – szepnęła mu przez ramię, zbliżywszy usta do jego ucha.

Nie wahał się ani sekundy dłużej. James Black przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

ROZDZIAŁ 19

Miranda

Zwolniony

Odwróciłam się, zdziwiona: w drzwiach stała ciemnowłosa dziewczyna, o kilka lat starsza od nas.

– Wynoście się stąd, natychmiast – rozkazała zdenerwowana.

– Nie to chciałam powiedzieć. Naprawdę nie... – zaczęłam się tłumaczyć, ale zdałam sobie sprawę, że mleko już się rozlało. – Ja... Przepraszam.

– Wynocho! – krzyknęła dziewczyna.

– Jesteś córką Jeffa, prawda? – zapytał Ryan. – Przyjaźnię się z nim... Po prostu się o niego martwimy.

– Martwicie się o mojego ojca? A to dobre! Bo nikt się o niego nie martwi. Mój ojciec nigdy nikogo nie obchodził.

– A więc Jeff faktycznie ma dzieci. To ty jesteś na tym zdjęciu, tak? – zapytałam, żeby włączyć się do rozmowy.

Dziewczyna podbiegła do szafki, zaczęła zbierać fotografie i wrzucać je do torby, którą ze sobą przyniosła.

– Przyszłam po ostatnie rzeczy i spadamy.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytał Ryan.

– Nie słyszałeś? Spadamy. Wyjeżdżamy. To miejsce przysporzyło nam samych cierpień.

– Chwileczkę, ty też tu mieszkałaś?

– Razem z ojcem i bratem. Zresztą nieważne, wyjeżdżamy z tego zasranego miasta.

– Gnieździliście się we troje w tym małym domku? – dociekał Ryan, szukając odpowiedzi.

– Ojciec pracował tu w zamian za dach nad głową i nasze chesne. Dzieci pracowników dostają duże zniżki na studia. Ale to już bez znaczenia. Od lat wykonywał tę pracę, żebyśmy mogli zdobyć wykształcenie, z którego on sam musiał zrezygnować. Mój ojciec chciał pracować w branży filmowej... ale wszystko się spieprzyło. Spieprzyło się wtedy i spieprzyło się teraz. Całe nasze

życie jest spieprzone.

– O czym ty mówisz? – zapytałam.

– O niczym nie wiecie, prawda? Zwolnili mojego ojca. Wyjeżdżamy. Cała nasza trójka.

– Dlaczego? Dlaczego go zwolnili? – zdziwił się Ryan.

– Zapytajcie waszego ubóstwanego wykładowcę. Nikogo nie obchodzi zwykły cieć.

– To przez Blacka? Niemożliwe. Black nigdy by czegoś takiego nie zrobił – zaprotestował.

– Czyżby? Trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu.

Dziewczyna wróciła do opróżniania szuflad.

– Pójdziecie sobie wreszcie? To nie jest wasz dom. Nasz co prawda też już nie, ale mieszkaliśmy tu przez jakiś czas i to nam chyba daje jakieś prawa.

– Ale... Black... Czy to ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się wczoraj?

– Pozwólcie, że coś wam powiem: tak naprawdę nie znacie Jamesa Blacka. Wiecie cokolwiek o jego życiu? Wszyscy go uwielbiają, podziwiają za ten jego pieprzony film, ale to zwykła farsa. Jest splamiony krwią. Nikt nie kwestionuje tego, co robi i mówi wielki James Black. Wszyscy mu schlebiają, ale to padalec. Opowiedział wam, co zrobił mojemu ojcu, kiedy byli młodzi? Nie, prawda? Nikogo to nie obchodzi. Cień Blacka jest tak ciemny, że wszystko przesłania.

– Co takiego się stało? – zapytałam ze szczerym zaciekawieniem.

– Zapytajcie o to jego. My wyjeżdżamy z tego przeklętego miasta. Ułożymy sobie życie daleko stąd.

– Ale...

– Zostawcie mnie w spokoju – ucięła, poirytowana.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytałam.

Musiałam się dowiedzieć, co zaszło. Ryan był dziwnie spokojny, biorąc pod uwagę, że właśnie wyrzucono z pracy jego przyjaciela. Pierwszy raz zaobserwowałam u niego tę pasywność, ale nie potrafiłam wówczas dostrzec jej konsekwencji. Dopiero z biegiem lat zdałam sobie sprawę, że należy do osób, które nie potrafią stanąć w obronie bliskich.

– Z moim bratem. Nie chcemy mieć więcej nic wspólnego z tym miejscem.

– Może moglibyśmy wam jakoś pomóc...

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Wynocha! – krzyknęła gniewnie.

Ryan wskazał mi na migi, żebyśmy wyszli. Posłuchałam go, choć ta sprawa nie dawała mi spokoju. Czy rzeczywiście to Black stał za zwolnieniem Jeffa? Co takiego między nimi zaszło?

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Nie miałam ochoty na rozmowę, przybita tym, co spotkało Jeffa. Ryan też się nie odzywał – jak mi później powiedział, zastanawiał się, komu powinien uwierzyć. Miałam wrażenie, że to wszystko przez nas, bo pozwoliliśmy, żeby Jeff wyświetlił nam film Blacka. Czyżby było w nim coś, czego nie powinniśmy zobaczyć? Ta ponura myśl – że film kryje jakąś mroczną tajemnicę – zawładnęła moim umysłem i nie dawała mi spokoju przez całe popołudnie.

Poszliśmy na obiad do stołówki uniwersyteckiej. Jedliśmy w milczeniu, żadne z nas nie wspomniało o Jeffie. Ja byłam zbyt przygnębiona, Ryan po prostu chciał zamknąć ten temat. Uznałam, że jest tchórzem: powinien wstawić się za przyjacielem. Kiedy wreszcie zdecydował się odezwać, byłam przekonana, że spróbuje podnieść mnie na duchu, a potem pójdziemy do sekretariatu albo do samego Blacka i będziemy walczyć o to, by uchronić Jeffa przed niesprawiedliwym zwolnieniem. Ale jego słowa tylko jeszcze bardziej mnie przybiły.

– Pewnie Jeff czymś podpadł i dlatego go zwolnili. To nie nasza wina.

– Ale... czy nie sądzisz, że to zwolnienie ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się wczoraj?

– Black to porządny gość. Nie zrobiłby czegoś takiego.

– Czy ty sam siebie słyszysz? Nie uważasz, że obaj dziwnie się zachowywali? Nie wydaje ci się podejrzane to, jak zareagował Black, kiedy zobaczył, co oglądamy?

– Wiesz, co myślę? Słyszałaś o szczodrej darowiznie, która pokryła nasze czesne? Nie sądzisz, że to zbyt duży zbieg okoliczności, że James Black, ten twój czarny charakter, zaczyna prowadzić tu zajęcia i akurat nasz rocznik dostaje gigantyczne stypendium? To on stoi za tą darowizną. Jestem tego pewien. Ktoś taki na pewno nie przyczyniłby się do zwolnienia ciecia, który ani go ziębi, ani grzeje. To porządny gość.

– Ale...

– Co chcesz zrobić? Donieść na Blacka i oskarżyć go o coś, o czym nie mamy zielonego pojęcia? Powiem ci, co się stanie: niczego na niego nie znajdą i skończy się na tym, że Black cofnie nam stypendium na drugi rok.

– Będziesz milczał z powodu pieniędzy?

– Nie mówiłem ci tego wcześniej, ale... bez stypendium nie mógłbym sobie pozwolić na te studia. Nie stać mnie. Moja rodzina wszystko straciła. Jeżeli nie zacznę zarabiać, prawdopodobnie nie będę w stanie opłacić czesnego za kolejne lata.

Dolna warga Ryana zaczęła drżeć. Z czasem odkryłam, że dzieje się tak za

każdym razem, kiedy bardzo się czegoś wstydzi. Zawsze tak miałam. Zwracam uwagę na czyjeś drobne gesty i próbuję odgadnąć, co siedzi tej osobie w głowie. Ryan był... Ryanem, otwartą księgą, w której łatwo się czytało, nieskomplikowaną i przewidywalną. Pewnie dlatego mi się spodobał. Myślałam, że znalazłam kogoś, komu będę mogła zaufać, a przynajmniej kogoś, kto nie zdoła mnie bezczelnie oszukać. Ze względu na wcześniejsze doświadczenia ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, był kolejny kłamliwy drań. Muszę przyznać, że moja ocena przez długi czas się sprawdzała. Kiedy opowiadałam

Ryanowi o problemach mojej rodziny, łąpał się prawą dłonią za lewy łokieć na znak współczucia. Kiedy nie podobało mu się to, co napisał, albo za nic nie mógł wymyślić historii, która sprostaby jego oczekiwaniom, co rusz otwierał lodówkę i, drapiąc się po karku, wyjmował z niej piwo. Jego reakcje były mało skomplikowane i powtarzalne, aż przykro było patrzeć, jak nie jest w stanie ich kontrolować. Wykorzystywałam te proste zachowania, by zgłębiać tajniki jego umysłu. Byłoby idealnie, gdyby nie jego sekrety, które sprawiały mi tyle bólu...

Kilka miesięcy temu poszłam z nim na przyjęcie. Próbowałam zainteresować producentów jego scenariuszami, na które nikt nie chciał wyłożyć ani dolara. Zauważyłam, że drży mu warga, kiedy wyszedł z pokoju, w którym zamknął się z Mandy, wszędobylską asystentką jego wielkiego przyjaciela Jamesa Blacka. Demaskatorska warga. Miał rozczochrane włosy i rozpięty rozporek. Nic nie powiedziałam, nie umiałam. Ale nie to było kroplą, która przelała czarę. Kroplą, która boli. Stało się to jasne dopiero po powrocie do domu. W kółko zadawałam sobie pytanie, dlaczego mi to zrobił po tym, jak bardzo mu pomogłam. Tamta noc na zawsze zmieniła nasze relacje. Tyle się wtedy wydarzyło, wyrządził mi taką krzywdę... Dlaczego, Rynie?

– Ale ja... nie... nie chciałam... To znaczy... nie musiałeś mi tego mówić – wyjąkałam.

– Black nie byłby zdolny do czegoś takiego – zapewnił urażonym tonem. – Na pewno. Człowiek, który finansuje chesne ubogim studentom, nie dąży do tego, żeby ktoś bez powodu wyleciał z pracy.

Tym argumentem zamknął temat. Nie bardzo wiedziałam, co odrzec, zamilkłam więc, zaślepiona jak zakochana dziewczyna, która do tej pory spotykała na swojej drodze samych palantów.

Tamtego dnia pierwszy raz ugryzłam się w język, choć nasz związek miał dopiero jeden dzień. Z czasem rodziło się we mnie coraz więcej wątpliwości, narastał strach, że sprawię Ryanowi przykrość albo powiem coś, co okaże się nie po jego myśli. Początek naszej znajomości byłby idealny, gdyby nie Black, który

pojawił się w tamtej ciemnej salce, gdzie zaczęła się nasza historia. Po tych wszystkich latach stało się dla mnie jasne, że to właśnie wtedy moje życie zaczął spowijać mrok. Gdybym połączyła czerwoną linią wszystkie ciężkie chwile, wszystkie przepłakane noce, wszystkie dni, kiedy moja dusza krzyczała, że powinnam zniknąć bez śladu, doprowadziłaby mnie ona do momentu, kiedy pierwszy raz ukryłam przed Ryanem to, co myślę.

ROZDZIAŁ 20

Ryan Strach

25 września 2015

– Jest pan pewien, że to nie ona? – powtórzyła zdziwiona inspektor Sallinger.

Pytała mnie o to już dziesiąty raz. Kobieta, której zwłoki znaleziono w Hidden Springs, nie była Mirandą. Faktycznie ją przypominała, ale to nie była moja żona.

– Niech pan się dobrze przyjrzy. To ważne. Opis się zgadza. Takie same włosy, zbliżony wiek. Opuchnięta twarz może wprowadzać w błąd.

– Mówię pani, że to nie Miranda. Nie wiem, kim jest ta kobieta.

– Na pewno?

– Na pewno – skłamałem.

Tak naprawdę ją znałem. Znałem ją lepiej, niż powinienem znać kobietę, która nie była moją żoną. Nie mogłem jednak się do tego przyznać.

Policjantka wyglądała na niepokojoną. Rozumiałem ją: skoro to nie Miranda, to gdzie podziała się moja żona? I kim jest ta kobieta? Sprawa zaczęła się komplikować, do zaginięcia Mirandy doszły niezidentyfikowane zwłoki.

– Proszę nas zrozumieć: musimy mieć pewność.

– Tak, oczywiście – odpowiedziałem zdruzgotany.

Byłem w szoku. Nie żebym życzył swojej żonie śmierci, ale jeśli mam być szczery, przemknęło mi przez myśl, że wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby okazało się, że jednak nie żyje.

Martwa kobieta miała na imię Jennifer. Poznałem ją pewnej nocy w jednej ze spelunek Los Angeles. Miałem za sobą jeden z tych dni, kiedy czułem się kompletnie przegrany. Mój producent poinformował mnie przez telefon, że kładzie na mnie krzyżyk i nie będzie więcej promował moich scenariuszy. Znalazł kogoś młodszego, kto podobno miał genialny pomysł na film o rozpadającym się małżeństwie i dziwnym zniknięciu. Zapłacił mu kupę forsy. Jednym pstryknięciem palców zrobił milionera z początkującego scenarzysty, a mnie wdeptał w błoto. Brakowało tylko, żeby dodał, że tamten jest przystojniejszy ode mnie i ma większego kutasa, a mógłbym spokojnie rzucić się z mostu. Cóż za ironia losu!

Poszedłem się napić. Siedziałem przy barze, zamawiałem kolejne piwa. Jennifer uśmiechnęła się do mnie z kąta sali. Jej imię, jej twarz, moje dłonie trzymające ją w talii w damskiej toalecie – tylko to zapamiętałem z tamtej nocy. Kiedy wróciłem do domu, Miranda zrugła mnie, że wyszedłem i że wracam pijany. Patrzyła na mnie z wyższością, wbijając we mnie swoje ciemne oczy.

– Uważasz, że nie jestem wystarczająco męski, żeby pójść do baru i wypić parę piw?! – krzyknąłem.

– Jedzie od ciebie alkoholem i... – Nie dokończyła, ale wiedziałem, co chce powiedzieć.

– Daj mi spokój, malkontentko. – Z hukiem zatrzasnąłem drzwi sypialni i zasnąłem, próbując wymazać z pamięci to, co się stało.

Nazajutrz znalazłem na kuchennym blacie wiadomość o następującej treści:

Czekam na ciebie o 17.40, Wilshire Boulevard 5757.

Doktor Morgan. Terapia małżeńska i rodzinna.

Inspektor Sallinger poprosiła, żebym pojechał z nią i innymi policjantami na komisariat i jeszcze raz opowiedział, co robiłem w godzinach poprzedzających mój przyjazd do Hidden Springs. Mimo wczesnej pory na posterunku roiło się od policjantów. Inspektor Sachs zaprowadził mnie do pustej salki ze stołem i dwoma krzesłami. Przez ubabraną szybę przebijało przyćmione światło. W pierwszej chwili pomyślałem, że jednak mnie aresztowali.

– Powiniennem poszukać sobie adwokata? – zapytałem, siadając przy stole.

– Na Boga, ależ skąd – odparła inspektor Sallinger. Weszła do pokoju z dwoma plastikowymi kubkami z wodą i, marszcząc brwi, zajęła krzesło po drugiej stronie stołu. Sachs zamknął za nią drzwi.

– Na pewno? Nie odczytaliście mi moich praw.

– Pan jest wolnym obywatelem, który stara się odnaleźć żonę. My jej szukamy, na razie jako jedyni. Naprawdę myśli pan, że gramy w przeciwnych drużynach?

– Ja tylko... chcę... odnaleźć żonę. To wszystko jest dla mnie zbyt przytłaczające.

– Znajdziemy ją, zapewniam pana. Ilu spraw nie udało nam się rozwiązać? – zapytała, spoglądając na kolegę.

– Zaledwie dwóch ze stu czterdziestu, jakie prowadziliśmy w ciągu ostatnich sześciu lat.

– Co poszło nie tak z tymi dwiema? – zapytałem.

– Nie pamiętam. Ale spokojnie, znajdziemy ją. Sprawa pańskiej żony nie będzie trzecia – odparł.

Przez dwie godziny szczegółowo odtwarzałem ubiegły poranek: rozmowę z Mirandą, jej dziwne zachowanie. Opowiedziałem o spotkaniu z Jamesem Blackiem i o sprawunkach, które załatwiłem po drodze. Starłem się niczego nie pominąć, musiałem przypomnieć sobie, gdzie dokładnie byłem i o której godzinie. Naprawdę chciałem im pomóc.

– Proszę pozwolić, że o coś pana zapytam – przerwał inspektor Sachs. – Przejrzeliśmy raport sporządzony po tym, jak zgłosił pan zaginięcie, zleciliśmy analizę śladów DNA znalezionych w domku i sprawdziliśmy pańską przeszłość kryminalną. Na pewno wszystko nam pan powiedział?

– Moją przeszłość kryminalną?

Inspektor Sallinger przytaknęła z poważną miną. Najwyraźniej nie miała za złe koledze, że jak gdyby nigdy nic zrzucił taką bombę. Myślałem, że eksploduje mi serce.

– Po to mnie tu przywieźliście? Żeby oskarżyć mnie o to, że skrzywdziłem własną żonę?

– Próbuujemy odkryć, co się wydarzyło, żeby ją odnaleźć. Musimy sprawdzić wszystko, co się da. A nuż natrafimy na ślad czegoś, co doprowadziło do jej zniknięcia – odparła policjantka.

– Tamto... wydarzyło się dawno temu, to był wypadek. Nie ma nic wspólnego z tym, co stało się teraz. Tylko tracicie czas.

– Proszę zrozumieć: nasza praca polega na kojarzeniu faktów. A ten fakt jest bardzo istotny. Niech nam pan opowie, co dokładnie się stało. Wydaje mi się, że dotąd byliśmy wobec pana dość wyrozumiali.

– To był wypadek! Oboje byliśmy pijani, wyszliśmy z imprezy i Miranda przewróciła się przy samochodzie. Zawiozłem ją do szpitala, żeby zszyli jej łuk brwiowy, i to ktoś stamtąd wezwał policję. Sprawa została umorzona.

– Świadkowie twierdzą, że uderzył ją pan drzwiami samochodu.

– To nieprawda. Przewróciła się przy samochodzie. Miranda zaprzeczyła zresztą wersji lekarza, który uznał, że to ja zrobiłem jej krzywdę. Dlatego policja umorzyła śledztwo.

Inspektorzy wymienili spojrzenia, jakby nie uwierzyli w ani jedno moje słowo.

– Wiemy, że policja umorzyła śledztwo na prośbę pańskiej żony. Ale to nie znaczy, że jej pan nie uderzył.

– Nigdy nie podniosłem ręki na żonę! NIGDY! – Zacząłem łąpać ustami powietrze. Nie miałem już wątpliwości, że jestem głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia Mirandy. – Chcę porozmawiać z adwokatem.

– Nie boi się pan, że jeżeli pan to zrobi, zaczniemy pana podejrzewać?

– Przecież już mnie podejrzewacie.

– Panie Huff... Dla nas każdy jest podejrzany. Także pan. Kiedy pana wykluczmy, będziemy mogli pójść dalej. Ale musi nam pan pomóc.

– Nie zamierzam już nic więcej mówić. Jeżeli nic na mnie nie macie, to do widzenia.

– Panie Huff... To niewłaściwe podejście – stwierdziła inspektor Sallinger. – Chcemy panu pomóc.

– Kim jest ta martwa kobieta? Czy te zwłoki to nie znak, że powinniście ścigać kogoś innego?

– Czekamy na wyniki sekcji i sprawdzamy, czy w ostatnich dniach w okolicy nie zgłoszono zaginięcia innych kobiet. Może te informacje naprowadzą nas na jakiś trop. Tymczasem musimy ustalić dwie rzeczy.

– Jakie?

– Kto mógł chcieć skrzywdzić pańską żonę i jak układały się jej relacje z najbliższymi.

– I to pan może udzielić odpowiedzi na oba te pytania – dodał inspektor Sachs.

Poczułem się przytłoczony. W ciągu zaledwie kilku godzin moje życie wywróciło się do góry nogami: Miranda zniknęła, odnalazła się martwa i znowu przepadła, odkryłem, że będę miał dziecko z inną, a mój najlepszy przyjaciel zaczynał zdradzać objawy starczej demencji. Oskarżycielskie spojrzenia policjantów nie pomagały w złagodzeniu napięcia. Już myślałem, że gorzej być nie może, kiedy zza drzwi dobiegły podniesione głosy.

– Co tam się dzieje? – zdziwiła się inspektor Sallinger.

– Mam sprawdzić? – zapytał Sachs.

Krzyki przybierały na sile, po kilku sekundach udało mi się rozróżnić poszczególne słowa.

– Gdzie on jest? Gdzie jest ten skurwiel?

Zamknąłem oczy, kiedy poznałem głos.

Drzwi gwałtownie się otworzyły, uderzając w ścianę. W progu stał Zack, jeden z braci Mirandy, i mierzył mnie wściekłym spojrzeniem.

– To komisariat, nie może pan tu wchodzić! – krzyknęła policjantka.

Zanim zdążyłem zareagować, Zack doskoczył do stołu i wyrznął mnie pięścią w twarz tak mocno, że straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, siedziałem na podłodze pod ścianą. Zack stał obok i wbijał we mnie oskarżycielskie spojrzenie. Unosząc jedno ze swoich gigantycznych ramion, wskazał mnie inspektorom.

– Obudził się – oznajmił.

Byłem pólżywy. Bolała mnie cała twarz, jakby ktoś rozwalił ją młotkiem, pulsowała mi broda. Zack spojrział na mnie z ukosa i powiedział:

– Bez kitu, Ryan, aż tak mocno cię nie walnąłem.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć.

Inspektor Sallinger uważnie nam się przyglądała.

– Zrozumiemy, jeżeli postanowi pan zgłosić napaść.

– Nie... nie ma takiej potrzeby – wyjąkałem z trudem. – Ale powinniście byli go powstrzymać.

– Sorry, Ryan. Pani inspektor powiedziała mi już, że ta znaleziona dziewczyna to nie moja siostra. Zrozum mnie. Myślałem, że ją zabiłeś.

Brat Mirandy był jednym z tych osiłków, co to spędzają więcej czasu na siłowni niż w pracy. Zresztą zdaje się, że jego praca polegała na sprzedaży czy produkcji odżywek białkowych, którymi pewnie sam się faszrował, sądząc po jego napompowanych mięśniach. Ja wyglądałem przy nim jak chuchro, a przecież byłem w całkiem niezłej formie. Miranda powiedziała mi kiedyś, że Zack nabawił się raka jądra przez to, że w młodości zażywał anaboliki. Posłużyło mu to jednak nie za przestrozę, ale za lekcję, żeby zastąpić sterydy odżywkami, które teraz niszczyły mu wątrobę, tak jak kiedyś zastrzyki zniszczyły mu jaja. Chociaż stanowił podręcznikowy przykład prostaka, widać było, że bardzo kocha siostrę. Ale nie mnie.

Westchnąłem. Byłem cały spięty: miałem przed sobą walec, który zapewne mnie zmiażdży, jeżeli powiem coś nie tak.

– Dlaczego twierdził pan, że żona nie utrzymuje kontaktów z bratem? – zapytał inspektor Sachs. – Nie rozumiem, dlaczego nas pan okłamał.

– Tak powiedziałeś? – zapytał Zack, wyraźnie rozzłoszczony. – Naprawdę coś takiego wymyśliłeś?

– Wymyśliłem? Nie! Mówiłem prawdę. Nie macie dobrych relacji. Nie bądź hipokrytą. Kiedy ostatnio ją widziałeś?

– Posłuchaj mnie, Rynie... Jak by ci to wytłumaczyć? Moja siostra cię nie znosiła. Codziennie do mnie dzwoniła, żeby się na ciebie pożalić. Jestem jej bratem, rozumiesz? Kochamy się. A ty na zawsze pozostaniesz gnojem, który zamydlił jej oczy, żeby za niego wyszła.

– Codziennie? Co ty bredzisz?

– Dlatego przyjechałem. Kiedy tylko się dowiedziałem, co się stało. Muszą państwo znać prawdę.

– O czym pan mówi?

Zack wahał się, czy ma odpowiedzieć w mojej obecności, ale w końcu nie

wytrzymał.

– Rozmawialiśmy z Mirandą każdej nocy.

– Rozmawialiście? To nieprawda. Nie wierzę. Nie utrzymywaliście kontaktów.

Inspektor Sallinger spojrzała na swojego kolegę. Wyglądali na lekko skonfundowanych. Skinęli porozumiewawczo głowami, po czym policjant oparł się o stół i zapytał:

– Woli pan nie rozmawiać z nami w obecności szwagra?

– Co to, to nie. To nie ja mam coś do ukrycia.

– O czym ty mówisz?

Zack wyjął komórkę i, kładąc ją na stole, wyeksponował swoje grube paluchy, którymi z łatwością mógłby mnie udusić.

– Przejrzyj listę połączeń. Tam jest wszystko.

To nie mogła być prawda. Moja żona od lat nie odzywała się do braci. Nie spodobało jej się, że postanowili umieścić ojca w domu opieki, i od tamtej pory ich stosunki stopniowo ulegały oziębieniu, aż w końcu przestali ze sobą rozmawiać. Miranda widywała się z ojcem, ale zerwała kontakt z rodzeństwem. Przynajmniej tak myślałem, dopóki z niedowierzaniem nie sięgnąłem po telefon. Na widok listy połączeń skamieniałem. Imię Mirandy powtarzało się kilkadziesiąt razy. „Czego jeszcze o tobie nie wiem?”.

– O czym rozmawiał pan z siostrą? – zapytał inspektor Sachs.

– O tym, że boi się Ryana – odpowiedział niewzruszenie Zack.

ROZDZIAŁ 21

James Black

Podziemne kino

1975

James otworzył drzwi i zrobił kilka kroków. Gdy przeszedł przez zasłone z koralików przepuszczającą słabe światło, odkrył ze zdumieniem, że stoi na balkonie, z którego roztacza się widok na salę.

Na wprost ściany, na której wyświetlano czarno-biały film, stały stoliki i wyściełane krzesła. Blask olbrzymiego ekranu oświetlał twarze rozproszonych po sali mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Były rozmazane z powodu spowijającego je mroku. Kilka osób odwróciło się w stronę Jamesa, uwagę przyciągały ich czarne oczy o obojętnych spojrzeniach. Po chwili twarze z powrotem zwróciły się w stronę ekranu, co wpędziło chłopaka w osobliwe poczucie winy.

– Co to jest? – wyszeptał. – Podziemne kino?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale... po co w Los Angeles miałyby działać podziemne kino?

– Wyświetlają tu w kółko najlepszy film w historii.

Jamesowi przyszły na myśl takie tytuły, jak *Obywatel Kane*, *To wspaniałe życie*, *Casablanca* i *Przeminęło z wiatrem*. Doszedł jednak do wniosku, że nie może chodzić o żaden z nich, co jakiś czas wyświetlano je bowiem w każdym mieście w ramach festiwali filmowych.

– Czyli który? – zapytał.

Spojrzał na ekran, ale nie rozpoznał rozgrywającej się na nim sceny: jakaś kobieta szła ulicą, niosąc zakupy. Jakość obrazu była kiepska, jakby został zarejestrowany z chodnika po drugiej stronie, a aktorka nie zorientowała się, że gra w filmie.

– Życie.

– Co?

– Chodź... pokażę ci.

Paula chwyciła Jamesa za rękę i sprowadziła go schodami do ciemnej sali. Po drodze przyglądał się jej sylwetce, oświetlanej drgającym blaskiem ekranu. Kobieta

usiadła przy stoliku w głębi, James poszedł w jej ślady. Był zdenerwowany: serce waliło mu jak młotem, w głowie kołatało mu się pytanie, jak znalazł się w tej sytuacji. Podniósł wzrok i spróbował skupić się na filmie.

– Co takiego ma w sobie, że zasłużył na miano filmu wszech czasów? – wyszeptał, nieco zbity z tropu.

– Jeszcze tego nie widzisz, ale wkrótce sam się przekonasz. Uwierz mi.

Kobietę niosącą zakupy zastąpiła para dwudziestokilkulatków całująca się w parku. James nadal niczego nie rozumiał.

– Cudowne, nie sądzisz? – szepnęła Paula.

– Powiesz mi wreszcie, co to za film? Kto jest jego reżyserem?

– Nie ma jednego reżysera. Są ich setki. Wszyscy anonimowi.

– Jak to?

– To nie jest film w tradycyjnym rozumieniu. To coś znacznie ważniejszego.

– Co masz na myśli?

– To normalne sceny z życia normalnych ludzi, ich naturalne, szczerze emocje. Nie wiedzą, że są filmowani, że są częścią tego, co widzisz. Ich pocałunki, ich pieszczoty, ich samotność, ich radość są autentyczne.

– Naprawdę? – Zdumiony James odwrócił wzrok w stronę ekranu.

– Stąd to podziemne kino. Nigdzie indziej by tego nie wyświetlili.

– Ale to...

– Emocje w czystej postaci – dokończyła Paula. – Na całym świecie nie ma aktora, który mógłby zagrać to, co wyrażają te anonimowe osoby.

James zaniemówił.

– Entuzjazm, z jakim opowiadałeś mi o swoim pomysłe nakręcenia filmu, który łączyłby w sobie wszystkie możliwe fabuły, przypomniał mi, jak sama zareagowałam, kiedy mnie tu przyprowadzono.

– To znaczy, że... od jak dawna puszczają ten film?

– Nie wiem. Ja widziałam go pierwszy raz cztery lata temu, ale kino zaczęło działać wcześniej. Byłam pod ogromnym wrażeniem. Pamiętam, że wyszłam stąd z płaczem. Zdaje się, że to mniej więcej chciałeś zrobić.

Na ekranie pojawiła się teraz kobieta: siedziała na ławce w parku i kołysała w ramionach niemowlę. W jej spojrzeniu malowało się autentyczne szczęście. Kiedy musnęła rączkę dziecka, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Niesamowite... Każdy powinien zobaczyć ten film – szepnął James.

– To niewykonalne. Świat nie zaakceptowałby takiego kina. Pomysł, żeby filmować ludzi bez ich wiedzy, jest zbyt kontrowersyjny. Co byś zrobił, gdybyś odkrył, że jesteś bohaterem jednej ze scen?

Serce Jamesa nagle przyspieszyło: nie był w stanie odpowiedzieć. Kobieta z dzieckiem zniknęła, jej miejsce zajął samotny staruszek, który siedział w kawiarnianym ogródku i obserwował psa uganiającego się za gołębiami.

Trwali niemal bez ruchu, wpatrując się w ekran. James był urzeczony. Rozgrywające się przed nim sceny przedstawiały emocje uosobione przez tych, którzy ich doświadczali. Paula w pewnej chwili przestała śledzić film: uważnie obserwowała chłopaka, który to płakał, to znów zanosił się nerwowym śmiechem, to odczuwał żal, to znów samotność; wiedziała, że nigdy nie zapomni tego doświadczenia. Kiedy zaczął mieć problemy z oddychaniem, ekran zgasł. Sala pogrążyła się w ciemności rozjaśnianej jedynie lampkami zamontowanymi na bocznych ścianach.

Paula wstała i pociągnęła Jamesa w stronę wyjścia. W milczeniu wsiedli do samochodu. Ruszyli w stronę uniwersytetu, zostawiając za sobą światła miasta. W drodze powrotnej żadne z nich nie odezwało się ani słowem, wymienili tylko kilka porozumiewawczych spojrzeń.

Kiedy byli już prawie na miejscu, Paula niespodziewanie zjechała na nieoświetlony plac za akademikami. Wyłączyła silnik. James wziął głęboki oddech. Nadal był zestresowany. Przez cały dzień chodziło mu po głowie, że może wykładowczyni chce od niego czegoś więcej, jednak nie miał pewności. Wiedział tylko, że coraz bardziej jej pragnie. Jedynym źródłem światła były celujące na wprost reflektory samochodu, wewnątrz auta panował mrok, ledwo widzieli zarysy swoich twarzy. Nagle Paula pogładziła Jamesa po policzku. Jego serce zaczęło walić jak oszalałe. Poczuł jej ciepły oddech. Skłonił głowę i zderzyli się czołami.

– Nie powinniśmy, James. Nie...

– Wiem – szepnął.

Odruchowo zamknął oczy, jakby na znak szacunku. Skumulowało się w nim tyle emocji, że aż drżały mu ręce. Rzucił się w przepaść pierwszego pocałunku, przerażony, że na dnie może nie być siatki zabezpieczającej. Kiedy sięgał do jej warg, przez głowę przemknęły mu tysiące myśli. Już zamierzał się pohamować i przeprosić, kiedy poczuł na wargach delikatne muśnięcie ust Pauli, jak gdyby przed upadkiem ocalił go rozłożony w ostatniej chwili spadochron.

– James... nie... – szeptała po każdym pocałunku. Odsuwała go, a za chwilę znowu przyciągała i całowała jeszcze namiętniej.

Nagle spojrzała na niego zaniepokojona i zaczęła karcić samą siebie:

– Na Boga... co ja robię? Co ty najlepszego wyprawiasz, Paulo? – Zakryła usta dłonią, w jej oczach malowało się poczucie winy.

– Ja... przepraszam – powiedział James. – Niepotrzebnie...

– To moja wina... Nie powinnam była... do tego dopuścić.

– Naprawdę przepraszam – powtórzył James. – Przepraszam.

Był zmieszany, jego serce biło mocniej niż kiedykolwiek.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Dokąd idziesz?

– Wrócę na piechotę.

– Ale... James!

– Nie powinniśmy. Masz rację. Nie powinniśmy. Jesteś moją nauczycielką. Co ja sobie wyobrażałem?

Paula włączyła silnik. Jechała obok niego, kiedy zmierzał w stronę skrzyżowania przed bramą kampusu.

– James! – krzyknęła z samochodu.

– Nie. Nie powinniśmy. Ten film... to... Rodzice mnie ostrzegali... Skończy się na tym, że ja wylecę ze studiów, a pani z pracy.

– James... posłuchaj mnie. Nikt znikąd nie wyleci. Nic się nie wydarzyło. Jasne?

Zatrzymał się i spojrzał w jej stronę. Paula wyłączyła silnik, wysiadła z samochodu i zdecydowanym krokiem podeszła do chłopaka.

– Wiesz, dlaczego zabrałam cię do tego kina? – wyszeptała.

– Ja już nic nie wiem. Jestem tylko kandydatem na reżysera, który właśnie wszystko schrzanił.

– Pokazałam ci to kino, bo myślę, że jesteś inny. Bo widzę to w twoich oczach. Bo nie chcę, żebyś tracił czas. Jesteś ambitny. Ambitny i głupi.

– Proszę pani...

– I chcę, żeby przynajmniej jeden z moich studentów osiągnął coś wielkiego. Dostrzegam w tobie potencjał, James.

– Dlaczego pozwoliła mi się pani pocałować?

Paula lekko się uśmiechnęła, z czułością pogłaskała go po twarzy i powiedziała:

– Widzimy się na zajęciach. Nikomu ani słowa o tym, co się stało.

Wsiadła do samochodu. James stał bez ruchu i patrzył, jak odpala silnik.

– Wie pani co?

– Co?! – krzyknęła Paula z fotela kierowcy, trzymając stopę nad pedałem gazu.

– Ja zrobię jeszcze lepszy film. Ma pani moje słowo.

– Wiesz co?

– Co?

– Jeżeli ci się uda, chętnie pójdę na niego do kina.

Rozległ się warkot silnika. James wpatrywał się w tylne światła oddalającego się triumpha, dopóki nie zniknęły u wylotu ulicy.

ROZDZIAŁ 22

Ryan

Na dnie jeziora

25 września 2015

Próbowałem rozbroić bombę zrzuconą przez Zacka: nie byłem żadnym sadystą. Jego oskarżenia sprawiły, że poczułem serce w gardle. Jak to się mnie bała? Ostatnio prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Tak bardzo się od siebie oddaliliśmy, że rzadko zamienialiśmy więcej niż trzy zdania. To, co mówił, było absurdalne.

Policjanci odesłali Zacka do innego pokoju, żeby nie składał zeznań w mojej obecności. Pomyślałem, że jeżeli inspektor Sallinger postanowi mu uwierzyć, wszystko zacznie przemawiać na moją niekorzyść. Dziwne zniknięcie Mirandy, fakt, że właśnie ja zgłosiłem jej zaginięcie, bezczynne czekanie na przyjazd policji, to, że zdradziłem ją z Mandy... Kurwa, już prawie zapomniałem o Mandy. Westchnąłem: miałem przejebane.

– Proszę mu nie wierzyć. Ubóstwiałem Mirandę.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Pierwszy odezwał się inspektor Sachs:

– Niech pan posłucha, panie Huff. W tym momencie podejrzania koncentrują się na panu. To normalne. Jest pan jej mężem. Do nas należy przesianie oskarżeń i wyłowienie wiarygodnych informacji. Ale zapewniam pana: jeżeli jest pan niewinny, nie ma powodu do niepokoju. Prawda zawsze wychodzi na jaw.

Jego słowa bynajmniej mnie nie uspokoiły. Ciągle czytało się o niewinnych ludziach czekających na wykonanie wyroku śmierci. Ludziach niesprawiedliwie skazanych, którzy spędzili w celi kilkadziesiąt lat, ze świadomością, że w każdej chwili mogą zostać straceni za coś, czego nie zrobili. Ja też miałem stać się bohaterem takiej historii? Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, wszystko wokół zaczęło wirować. Zwymiotowałem na podłogę. Co się, do cholery, dzieje? Gdzie jesteś, Mirando?

– Ufff... – obruszył się inspektor Sachs. – Poproszę, żeby to posprzątali.

Oparłem się o stół. Teraz mówiła policjantka:

– Wie pan co? Myślę, że nie zrobił pan krzywdy żonie.

– Naprawdę tak pani sądzi?

– Owszem. Tak właśnie sędzę.

Odetchnąłem z ulgą. Znów zebrało mi się na wymioty, ale słowa inspektor Sallinger uspokoiły mój żołądek.

– Nawet pani nie wie, jak mnie to cieszy – odparłem.

– Myślę, że niezły z pana skurwiel, ale nie na tyle popapwany, żeby zamordować żonę.

Nie odpowiedziałem. Muszę przyznać, że chociaż ubodło mnie to wyzwisko, jednocześnie sprawiło mi pewną przyjemność.

– Może pan być spokojny. Widzę, że ta sprawa naprawdę pana poruszyła. Nie jest pan aresztowany. Śledztwa zawsze zaczynają się w ten sposób. Najpierw skupiają się na najbliższej rodzinie, potem rozciągają się na przyjaciół, a wreszcie na każdego, kto mógł mieć styczność z ofiarą. To rutynowa procedura.

Z ulgą zamknąłem oczy.

– Dziękuję. Naprawdę doceniam to, co robicie.

Policjantka uśmiechnęła się i powiedziała:

– Przejrzeliśmy billingi żony. Operator przesłał nam wykaz połączeń z kilkugodzinnym opóźnieniem, ale już go mamy.

– I znaleźliście coś, co pomogłoby trafić na jej ślad?

– No cóż, jest kilka tropów, którymi możemy podążać.

– To dobra wiadomość – odpowiedziałem z wahaniem, przekonany, że czeka mnie jeszcze jakaś niespodzianka.

– Z rejestru połączeń wynika, że żona dzwoniła ze swojej komórki do budki telefonicznej na stacji benzynowej przy szosie numer dwa, na odcinku pomiędzy Los Angeles a Hidden Springs. Sprawdzamy, czy mają monitoring, może da się zobaczyć, kto się przy niej zatrzymał. Połączenie zostało wykonane o dwudziestej pierwszej trzydzięści cztery i trwało trzydzięści jeden sekund. Przyzna pan, że to trochę dziwne: dzwonić do budki telefonicznej na pustkowiu.

Odjęło mi mowę. Z kim mogła rozmawiać?

– Może prosiła o pomoc? Może przydarzyło jej się coś złego?

– Gdyby był pan na jej miejscu, nie wybrałby pan raczej numeru alarmowego?

Westchnąłem. Miała rację. Ten telefon był bez sensu.

– A co z wiadomością, którą mi wysłała?

– Jeszcze nic nie wiemy. Poprosiliśmy o ustalenie, gdzie znajdował się telefon pańskiej żony w momencie, kiedy do pana napisała. To trochę potrwa, ale jak pan widzi, pracujemy nad tym. Proszę się nie martwić. Pańska żona się znajdzie. Zapewniam pana.

Ruchem dłoni zachęciła mnie do opuszczenia pokoju. Zorientowałem się, że na komisariacie zostało zaledwie kilku funkcjonariuszy. Spojrzałem na zegarek: była prawie północ. Czas posuwał się naprzód niczym walec, miażdżył moje nadzieje i szarpał mi nerwy. Wciąż nie miałem żadnych wiadomości o Mirandzie. Byłem wykończony.

– Jeszcze jedno – powiedziała inspektor Sallinger, prowadząc mnie między biurkami. Nie zwolniłem kroku, odwróciłem tylko głowę. – Zna pan niejakiego Jeremiego Morgana?

– Jeremiego Morgana? – udałem zdziwienie.

– Sprawdziliśmy także pańskie billingi. Dzwonił pan do niego niedługo po zgłoszeniu zaginięcia żony. A w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kontaktowaliście się ponad dwadzieścia razy.

– Ach, Jerry! No tak. To mój przyjaciel – skłamałem kolejny raz.

Nie mogłem dopuścić do tego, by wyszło na jaw, że moje małżeństwo przechodzi kryzys. Nie po tym, co powiedział Zack. Jeremie Morgan wcale nie był moim przyjacielem. To był doktor Morgan, nasz terapeuta, pomysłodawca wspólnego weekendu w lesie. Wiedziałem, że policja szybko sprawdzi, kim jest, ale zawsze mogłem powiedzieć, że traktuję go jak przyjaciela. Gdybym zdradził, że to doradca, który pomaga nam poskładać nasze małżeństwo, inspektor Sallinger na bank powiązałaby zeznanie Zacka z naszymi problemami i czerwona kropka celownika wylądowałaby na moim czole.

– Zadzwoń do niego, żeby zapytać, czy wie, gdzie może być Miranda. To jedna z niewielu osób, którym mogę o wszystkim opowiedzieć.

– W porządku – przytaknęła z uśmiechem policjantka. – Zakładam, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli z nim porozmawiamy. Może naprawdę będzie coś wiedział.

– Oczywiście. Nie ma problemu.

Szliśmy dalej w stronę wyjścia, kiedy z jednego z bocznych pokoi wypadł inspektor Sachs.

– Co się stało?! – zawołała zaskoczona policjantka.

– Samantho, chyba coś mamy.

– Coś istotnego? – zapytała.

Inspektor wskazał mnie głową. Nie chciał, żebym usłyszał to, co miał do powiedzenia.

– Może lepiej nie teraz... on nie powinien...

– Co się dzieje? Nie, nie! Proszę... – zwróciłem się błagalnym tonem do policjantki. – Moja żona zniknęła. Muszę wiedzieć, co jest grane.

Inspektor Sallinger zmierzyła mnie wzrokiem, po czym odwróciła się do swojego kolegi.

– No dobrze – ustąpił Sachs. Policjantka skinęła głową. – Możliwe, że to nie ma żadnego związku z tą sprawą, ale nie wygląda dobrze.

– O co chodzi? – dopytywałem.

– Nurkowie wyciągnęli samochód z jeziora na południe od Hidden Springs. Niedaleko domku, z którego zniknęła Miranda.

– Samochód? Co to ma do rzeczy?

– To triumph z lat siedemdziesiątych.

– Triumph? – powtórzyła z wahaniem policjantka.

– No wiesz, jeden z tych filmowych kabrioletów.

– Aha, faktycznie. I co z tego?

– W środku... były ludzkie szczątki. – Zamknąłem oczy, ale zanim zdążyłem się rozpłakać, policjant dodał: - Spokojnie, panie Huff. To na pewno nie Miranda. W aucie znaleziono kości. Ludzkie kości. To nie Miranda. Policja sprawdziła tablicę rejestracyjną. Zniknięcie samochodu i jego właścicielki zgłoszono ponad trzydzieści lat temu.

– Trzydzieści?

– Prawie czterdzieści. W siedemdziesiątym szóstym.

– Trafiliśmy na samochód przy okazji poszukiwań pańskiej żony. I tyle. Rodzina tej kobiety na pewno będzie panu wdzięczna. Czy tego chcemy, czy nie, tragedie często prowadzą do czegoś dobrego.

Trzęsły mi się ręce. Kolejne zwłoki znalezione niedaleko miejsca, w którym zniknęła moja żona, wcale nie rozwiewały moich najgorszych obaw.

– Można wiedzieć, do kogo należał ten samochód? – zapytała inspektor Sallinger.

– Do niejakiej Pauli Hicks.

ROZDZIAŁ 23

Miranda

Ojciec i syn

Kilka tygodni po zejściu z Jeffem i Blackiem ja i Ryan staliśmy się oficjalnie parą. Siadaliśmy obok siebie na zajęciach, chodziliśmy do barów i spędzaliśmy tam długie godziny na rozmowach. Łączyło nas zamiłowanie do kina, zwłaszcza do oryginalnych filmów. Oboje marzyliśmy o tym, że któregoś dnia uda nam się napisać coś na tyle dobrego, że będziemy mogli zacząć zarabiać na życie jako scenarzyści.

Uświadomiłam sobie, że Ryan to dobry chłopak, z którym mogłabym spędzić resztę swoich dni. Tak bardzo różnił się od dupków, z którymi wcześniej się umawiałam – troszczył się o mnie, liczył się z moim zdaniem, kochał się ze mną namiętnie w swoim pokoju – że nieufność, jaką wzbudził we mnie przy okazji tamtej sprawy z Jeffem, wyparowała. Po prostu wymazałam z pamięci całe zajście.

Mniej więcej w tamtym okresie zaczął spędzać coraz więcej czasu z Jamesem Blackiem. Coś między nimi zaiskrzyło i stali się nierozłączni. Na zajęciach przerzucali się docinkami ku uciesze całej grupy.

– No i? Co państwo myślą o scenariuszu *Tego wspaniałego życia*? – zapytał Black, omówiwszy jedną z kluczowych scen filmu.

Niektórzy studenci zaczęli rozpływać się w zachwytach – prawdziwe arcydzieło, przepiękne nawiązanie do *Opowieści wigilijnej* Dickensa – kiedy Ryan wstał i zabrał głos:

– Powiedzieć panu, co myślę?

– Śmiało.

– Scena z księżycem jest absurdalna. Czterdziestolatek w roli osiemnastolatka? To nonsens. Mogę jeszcze przełknąć obecność Anioła Stróża, który, próbując uchronić go przed samobójstwem, pokazuje mu, jak by wszystko wyglądało, gdyby się nie urodził, ale nikt mnie nie przekona, że dziewczyna uwierzyła, że ten gość świętuje zdanie matury. Ile razy powtarzał klasę? Dwadzieścia?

W sali rozległ się rechot, nawet ja się uśmiechnęłam. Ryan potrafił być naprawdę zabawny.

– Poza tym to straszny nudziarz. Dziś żadna dziewczyna nie nabrałaby się na gadkę o połykaniu księżyca. Bohaterka udaje delikatną panienkę, ale kobiety takie nie są. Ktoś zna jakąś delikatną kobietę? – pytał, wodząc wzrokiem po sali. – Kobiety są silne. W mojej rodzinie to matka nosi spodnie. Słyszałem to zdanie już tyle razy, że... – odwrócił się i puścił do mnie oko – zacząłem się rozglądać za spódnicami w moim rozmiarze.

Cała grupa wybuchnęła śmiechem.

Myślę, że Blackowi spodobało się właśnie to, że Ryan wszystko krytykował, że we wszystkim potrafił znaleźć słabe strony. Ponieważ trzymaliśmy się razem, stopniowo wciągał mnie w cień swojego mistrza i w końcu ja także znalazłam się pod jego wpływem. Black był urzekający. Chodząca encyklopedia kina. Można z nim było porozmawiać praktycznie o każdym filmie – istniało duże prawdopodobieństwo, że rozłożył go już na czynniki pierwsze, szczegółowo przeanalizował i wyłowił cechy, które czyniły go wyjątkowym. To samo robił z ludźmi. Widział tylko jasną stronę Ryana. Nie winię go za to, sama też dostrzegałam wyłącznie jego pozytywne cechy, tyle że ja na czas przejrzałam na oczy.

Rok akademicki dobiegł końca i rozdzieliło nas lato. Z jakiegoś powodu sądziłam, że nasz związek nie przetrwa wakacji – ja wróciłam do San Francisco, Ryan do Lawrence. Zawsze bałam się rozłąki. Ale z Ryanem było inaczej. Co wieczór rozmawialiśmy przez telefon. Któregoś dnia wpadł na okropny pomysł, żeby przekazać słuchawkę matce i przedstawić mnie na odległość swoim rodzicom.

– A więc to ty jesteś tą przyjaciółką Ryana – usłyszałam.

Sophia Huff miała niezwykle ciepły głos. Każde jej słowo ociekało gorącą czekoladą.

– Nazywam się Miranda... Bardzo mi miło, pani Huff – odpowiedziałam zdenerwowana.

– Pamiętaj, dziecko, że tu jest twój dom – dodała serdecznym tonem. – Że masz w Lawrence rodzinę. Musisz być dobrą dziewczyną, w przeciwnym razie mój Ryan by się z tobą nie związał. Cieszę się, że znalazł sobie kogoś takiego jak ty. Kogoś z miasta, kto nauczy go, jak funkcjonuje świat.

– Mamo... – w tle rozległ się głos Ryana. – Nie strasz jej.

– Słyszałam, że straciłaś matkę – wypaliła nieoczekiwanie Sophia Huff. – Możesz być pewna, że masz tu drugą.

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Pomyślałam, że to wspaniała osoba. A jej słowa wskazywały na to, że Ryan rozmawia o mnie z rodzicami.

– Ryan mówił mi o pani dużo dobrego, pani Huff – skłamałam.

Tak naprawdę nic o nich nie wiedziałam. Przez cały ten czas, który który spędziliśmy razem, rzadko wspominał o rodzicach. Wyznał tylko, że nie są zamożni, wymienił ich imiona – Henry i Sophia – i opowiedział kilka historyjek, które dziwnym trafem stawiały go w korzystnym świetle: o tym, jak to przez lata co weekend pomagał ojcu przy naprawie starego auta, czy o tym, jak to w wieku pięciu lat zadzwonił na pogotowie i uratował matkę, gdy ta miała zawał. Dysponował gotową anegdotką na każdą okazję: wystarczyło wybrać cechę, którą powinien się odznaczać twój ideał mężczyzny, a on z miejsca dopasowywał do niej odpowiednią historię z dzieciństwa. Oprócz tego nie wiedziałam nic o jego rodzinie. Było mi nawet przykro, że nie chce mnie włączyć do kręgu swoich bliskich. Dlatego tak się zdziwiłam, kiedy pod koniec wakacji przysłał mi pocztą bilet lotniczy do Kansas.

Ryan nie zdradził się z tym, że przez całe lato pisał scenariusze krótkometrażówek, wykorzystując przy tym wszystkie pomysły, jakie przychodziły mu do głowy – absurdalne i proste, jak on sam. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu jeden z nich zainteresował któregoś z dzianych znajomków Blacka. Ryan dostał od niego kwotę odwrotnie proporcjonalną do jakości tekstu. Podejrzywałam, że Black maczał w tym palce, ale nie chciałam mówić tego głośno. Było oczywiste, że wykładowca w tajemnicy pomaga mojemu chłopakowi. Za zarobione w ten sposób pieniądze Ryan kupił mi bilet na samolot, żebym spędziła kilka dni w domu jego rodziców w Lawrence.

Podobno kobieta może się dowiedzieć, jak będzie ją traktował mężczyzna, obserwując jego zachowanie wobec matki. Byłam podekscytowana podróżą, ale też zestresowana. To był ważny krok: miałam poznać jego rodziców, spędzić z nimi kilka dni, przekonać się, czy mnie polubią... W przeddzień wylotu Ryan zadzwonił jednak z szokującą wiadomością.

- Nie... nie żyje – powiedział, gdy tylko podniosłam słuchawkę.
- Co takiego? O czym ty mówisz? – zapytałam.
- Mama... odeszła.

Okazało się, że jego matka dostała zawału, kiedy wieszala pranie w ogrodzie za domem. Nikt jej nie zauważył, nikt nie mógł jej pomóc.

Poleciałam do Lawrence i prosto z lotniska pojechałam taksówką na cmentarz. Na powitanie Ryan mocno mnie objął. Ten długi uścisk wyrażał cały jego ból. Poznałam swojego przyszłego teścia, Henry'ego Huffa, i innych krewnych, ukrytych pod wykręcanyimi przez wiatr czarnymi parasolami. Miałam wrażenie, że uznali moje pojawienie się przy grobie za niefortunne. Cmentarz nie jest najlepszym miejscem na poznanie rodziny przyszłego męża, chociaż jeśli się

dobrze nad tym zastanowić, lepiej zadebiutować na stypie niż na weselu: przynajmniej oszczędzasz na jednym nakryciu.

Miałam wtedy dziewiętnaście lat, więc dni spędzone w obcym domu w towarzystwie dwóch zrozpaczonych mężczyzn były dla mnie trudną przeprawą. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby nie musieli się niczym martwić i mogli w spokoju odbyć żałobę. Ryan opuszczał swój pokój tylko po to, żeby pójść do kuchni po coś do picia. Nie odzywał się, miał podkrążone oczy. Nie obchodziło go, co ugotowałam dla naszej trójki, nie otwierał, kiedy do niego pukałam i prosiłam, żeby zszedł na obiad. Jego ojciec zachowywał się jak zombie: zażawionymi oczami wpatrywał się w ekran telewizora, oderwany od rzeczywistości, przepełniony bólem. Posiłki, które zostawiałam mu na plastikowym stoliku przy fotelu, godzinami stały nietknięte.

Któręś dnia zadzwonił mój brat Zack, prosił, żebym wróciła do San Francisco i trochę odpoczęła, bo za dwa tygodnie zaczynał się rok akademicki. Nie posłuchałam go. Postanowiłam zostać kilka dni dłużej, dopóki nie będę miała pewności, że Ryan się pozbierał. Chociaż byłam jeszcze bardzo młoda, tak właśnie wyglądało dotychczas moje życie. Kiedy miałam jedenaście lat, matka umarła na raka i od tamtej pory opiekowałam się ojcem i braćmi. Po telefonie od Zacka wydarzyło się coś, co na zawsze mnie zmieniło.

W środku nocy obudził mnie dźwięk telewizora. Wyszłam z pokoju, żeby go wyłączyć, przekonana, że Henry zasnął w swoim fotelu. Od przyjazdu nie spędziłam ani jednej nocy z Ryanem, który zachowywał się tak, jakby mnie nie było. Śmierć matki odebrała mu mowę, snuł się po domu niczym duch. Po wejściu do salonu zobaczyłam twarz Henry'ego oświetloną niebieskawym blaskiem ekranu. Nie spał: płakał rzewnymi łzami, oglądając nagranie ze swoją żoną. Przez moment obserwowałam, jak daje upust swojemu cierpieniu, podczas gdy przed oczami przesuwają mu się szczęśliwe chwile. Nie chciałam mu przerywać. Widać było, że czuje rozpaczliwą potrzebę odreagowania. Po cichu poszłam po szklankę wody i postawiłam ją na plastikowym stoliku, gdzie zostawiałam mu posiłki, których nie jadł. Nagle poczułam, że talie oplata mi czyjeś ramię. Odwróciłam się wystraszona, a wtedy Henry oparł głowę o mój brzuch.

Zanosił się szlochem. Stałam nieruchomo, słuchając, jak płacze. Ścisnął mnie z całych sił, położyłam mu więc rękę na głowie z nadzieją, że ten gest trochę go uspokoi. Ale stało się coś zupełnie innego. Henry zaczął obcałowywać okolice mojego pępka, zadzierać mi koszulkę. Trzymał mnie mocno w talii. Byłam przerażona, próbowałam z nim walczyć. Usiłowałam go odsunąć, ale był ode mnie silniejszy. Rozpłakałam się, wystraszona. Na ekranie wciąż przesuwały się obrazy

z udziałem matki Ryana. Kiedy poczułam, jak starcze palce Henry'ego wspinają się po moich plecach w stronę zapięcia stanika, zaczęłam walić go w głowę.

Płakałam z bezsilności. Żałowałam, że nie posłuchałam brata. W pewnej chwili zobaczyłam Ryana: stał w ciemnym przedpokoju i patrzył na nas w milczeniu. Byłam pewna, że coś zrobi, ale on przyglądał się nieporuszony, jak jego ojciec przesuwa dłońmi po moim ciele, jak unosi ręce i łapie mnie za piersi. Poczułam się tak rozczarowana, tak wykorzystana, tak splugawiona, że miałam ochotę się poddać. W końcu jednak zebrałam się na odwagę i z całej siły odepchnęłam Henry'ego. Udało mi się od niego uwolnić: uderzył plecami o oparcie fotela i wybuchnął szlochem.

Ryan nadal stał w tym samym miejscu i milczał, nie odezwał się nawet wtedy, kiedy go mijałam. Pobiegłam do siebie, po drodze zapinając stanik, poprawiając T-shirt i ocierając łzy. Padłam na łóżko i przez kilka godzin zanosilałam się płaczem w ciemnym pokoju. Kiedy wreszcie udało mi się uspokoić, usłyszałam odgłos otwieranych drzwi.

Ryan.

Udałam, że śpię. Pomyślałam, że chce sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku, ale on podszedł do łóżka i położył się przy mnie. Objął mnie i po raz pierwszy, odkąd przyjechałam, usłyszałam, jak płacze. Płakał wtulony w moje plecy. Płakał mi do ucha.

Po jakimś czasie szloch przeszedł w pocałunki, a pocałunki – w pieszczoty. Dalej poszło już szybko: zamknęłam oczy i zaczekałam, aż dojdzie. Skończył, wstał z łóżka i bez słowa wyszedł z pokoju. Nie zmrużyłam oka przez resztę nocy. Kiedy wreszcie wstał dzień, miałam już spakowaną walizkę.

ROZDZIAŁ 24

James Black

Film wszech czasów

1975

Dzień po spotkaniu z Paulą przyszedł na zajęcia w euforii. Przed wyjściem z akademika długo się szykował. Uczesał się, starannie układając każdy kosmyk kasztanowych włosów. Założył nową koszulę, podarowaną mu przez matkę przed jego wyjazdem do Los Angeles, a do brązowego skórzanego plecaka wrzucił zeszyt, w którym przez całą noc notował swoje uwagi. Randka z wykładowczynią tak go zainspirowała, że kiedy wrócił do akademika, w jego głowie wprost roilo się od pomysłów. Wspominał to, co widział w tamtej sali kinowej, anonimowe twarze osób siedzących na widowni, profil Pauli jadącej przez miasto, jej włosy rozwiewane przez wiatr. Ale jego myśli krążyły przede wszystkim wokół jednego tematu: historii, która opowiadałaby wszystkie historie.

Bez przerwy się nad tym zastanawiał. Gdyby udało mu się wcielić w życie ten pomysł, stałby się najlepszym reżyserem w dziejach kina. Widok publiczności, która z zainteresowaniem śledziła anonimowych ludzi oddających się codziennym czynnościom, pozwolił mu zrozumieć, że w kinie nie liczą się efekty specjalne, drogie auta czy suknie z cekinami, ale coś znacznie prostszego i czystszej: rzeczywistość. Refleksja ta zaprowadziła go do kolejnej, a później do jeszcze innej. Kiedy przed oczami stanęła mu twarz Pauli, odruchowo zapisał w swoim zeszycie: „Rzeczywista jest tylko miłość”.

Długo przyglądał się temu zdaniu. Było mocniejsze i prostsze niż inne myśli, które kiedykolwiek zanotował. Znowu ujrzał twarz Pauli, usłyszał silnik triumpha i poczuł, że umysł wypełnia mu gotowa opowieść, opanowując wszystkie jego zakamarki. Znalazł idealną fabułę.

Przed tablicą zmieniali się kolejni wykładowcy, aż w końcu przyszedł czas na zajęcia z historii kina amerykańskiego. Do sali weszła Paula Hicks. Podobnie jak pierwszego dnia, stukot jej obcasów uciszył szmer rozmów.

– No i jak? Kto mi opowie, jaki film obejrzał? – zapytała.

W sali rozległy się szepty, ale nikt nie odważył się odpowiedzieć.

– Może pan? – Wskazała Jeffa.

– Ja?

– Tak, pan, przystojniaku.

– Nie... nie obejrzałem żadnego. Nie zdążyłem – odparł Jeff.

– Ja też nie – wyrwała się dziewczyna siedząca kilka rzędów dalej.

– Ani ja – dodał chłopak z pierwszej ławki.

Prawie cała grupa powtórzyła wymówkę Jeffa. Paula Hicks kiwała głową, rozczarowana.

James milczał. Nie wiedział, jak się zachować. Miał ochotę wstać i opowiedzieć o obrazach z udziałem anonimowych ludzi, bał się jednak, że może przysporzyć problemów profesorce.

– Nikt z państwa nie obejrzał żadnego filmu? Naprawdę nikt?

Studenci wymieniali spojrzenia, w sali rozległy się śmiechy. Paula zaczęła ostentacyjnie zbierać swoje rzeczy, szykując się do wyjścia. Szmerzy przybrały na sile, niektórzy zaczęli nawet bić brawo, kiedy ruszyła w stronę drzwi. Ku zaskoczeniu kolegów James niespodziewanie zabrał głos:

– Ja obejrzałem film wszech czasów.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Stary, co ty wyprawiasz? – szepnął Jeff.

Paula odwróciła się, zaskoczona. Kiedy rozpoznała jego głos, zacisnęła szczęki, wystraszona, że zdradzi, co wydarzyło się ubiegłej nocy.

– Cóż to za film? – zapytała.

– Jeszcze nie ma tytułu – odpowiedział pewnym tonem chłopak.

– Jak się pan nazywa?

W pierwszej chwili pytanie wykładowczynie zbiło Jamesa z tropu, ale szybko zrozumiał jej intencje.

– Przedstawiałem się już pierwszego dnia. James. James Black.

Paula posłała mu porozumiewawczy uśmiech.

– Proszę mi powiedzieć, panie Black, jak film wszech czasów może nie mieć tytułu.

– Bo jeszcze nie został nakręcony. Nikt go nie nakręcił.

– Jak to? – zapytała zdziwiona.

– Jest w mojej głowie. Mam go tam w środku.

– Ach tak? I o czym opowiada ten film?

– O jedynej rzeczy, o której może opowiadać najlepszy film wszech czasów. O miłości.

– Zdradzi nam pan coś więcej? Słucha pana cała grupa.

– Życiem rządzi miłość. Nie pieniądze, nie władza, nie cierpienie. Miłość przenika wszystko. Miłość panuje nad wszystkim. Najpiękniejsze sceny, jakie kiedykolwiek widziałem, to matka głaszcząca niemowlę po rączce, nastolatki całujący się w parku, para, która leży o świcie w łóżku i patrzy sobie w oczy, spotkanie kochanków rozdzielonych przez wojnę. Zamierzam zrobić film łączący wszystkie możliwe miłości. Wszystkie rodzaje miłości. Już wyświetliłem ten film w swojej głowie. Pozostaje tylko go nakręcić.

Rzecz jasna kiedy skończył, cała grupa wybuchnęła śmiechem. Natomiast Paula Hicks kiwała głową z podziwem, którego zwykle starała się publicznie nie okazywać. Poczowała mrowienie podobne do tego, jakiego doświadcza ktoś, kto po raz pierwszy ogląda pokaz fajerwerków. W tym momencie zyskała pewność, że James Black przejdzie do historii.

– James, co ci odbiło? – szepnął Jeff, kiedy przyjaciel siadał, zawstydzony tym, co właśnie zrobił.

Paula słuchała ze ściśniętym sercem, jak cała grupa nabija się z kolegi. Wreszcie postanowiła zabrać głos:

– Ponieważ tylko jedna osoba była na tyle odważna, żeby się przed nami obnażyć, pozostali zaś okazali się bandą dzieciaków, które nie dojrzały do tego, by studiować na uniwersytecie, wszyscy poza panem Blackiem napiszą na przyszły tydzień dwudziestostronicową pracę o tym, co najbardziej pociąga ich w ulubionych filmach. Fabuła, tło, postacie, ścieżka dźwiękowa, kostiumy, dialogi, zdjęcia, aktorzy i tak dalej. Nie musi to być cały film, wystarczy jedna sekwencja, jedno ujęcie, jeden gest. Cokolwiek.

Grupa zaczęła głośno protestować.

– A teraz... proszę notować. Nie odpuszczę dziś państwu zajęć.

James z uśmiechem sięgnął po długopis. Zapisywał tytuły kolejnych filmów i powody, dla których powinien je zobaczyć. Ani się obejrzał, a zajęcia dobiegły końca. Kiedy podniósł wzrok znad notatek, Paula właśnie opuszczała salę.

– Coś mi się widzi, James, że dasz nam nieźle popalić – oznajmił Jeff. – Co to było? Hicks już wychodziła, a przez ciebie mieliśmy normalne zajęcia. Nie, James. W ten sposób z nikim się nie zakolegujemy, rozumiesz?

– Potem ci wyjaśnię – rzucił na odczepnego, po czym wstał i pobiegł za profesorką.

Kiedy wyszedł z sali, zobaczył, że Paula czeka na niego na korytarzu. Z powagą patrzyła, jak podchodzi. Stał przed nią uśmiechnięty.

– Proszę pani... ja...

– Nic nie mów. Pokiwaj głową na tak, pokręć na nie.

Zamilkł, zaskoczony.

– Dziś o tej samej godzinie. Tylko żeby nikt cię nie widział.

Przełknął ślinę i skinął głową.

ROZDZIAŁ 25

Ryan

Bez śladu

26 września 2015

Wróciłem do domu i wstawiłem samochód do garażu, upewniwszy się, że nikt mnie nie widzi. Nie chciałem, żeby Hannah Parks znów wypytywała mnie o Mirandę. Byłem skonany, marzyłem tylko o tym, żeby zwalić się na łóżko, zasnąć i obudzić się, kiedy będzie już po wszystkim. Może rano Miranda zadzwoni i powie, że musiała gdzieś nagle wyjechać?... Kogo chciałem oszukać? Myśl, że moja żona jak gdyby nigdy nic wróci do domu, już dawno się rozplynęła, teraz widziałem tylko twarz Mirandy, jej nagie ciało i dłonie, zbieleiałe i pobrudzone ziemią.

Położyłem się na łóżku i zasnąłem. Jej twarz wracała do mnie w koszmarach.

Kiedy się obudziłem, był już późny ranek. Wydało mi się, że słyszę odgłos prysznica, że czuję waniliowy zapach perfum, które sprezentowałem żonie. Z wszystkich sił zapragnąłem, żeby to, co się wydarzyło, okazało się tylko złym snem. Zszedłem do kuchni, zrobiłem sobie tosta i zaparzyłem kawę. Mój organizm był mi za to wdzięczny, bo ostatnio żywiłem się wyłącznie złymi informacjami. Włączyłem telewizor, żeby zająć myśli czymś innym, ale na czwórcie leciały akurat wiadomości. Poczujęm się tak, jakby ktoś wyrznął mnie pięścią w twarz. Nad rozległym pomarańczowo-brązowo-żółtym lasem krążył helikopter, chwilę później na ekranie pojawiła się woda. Napis na pasku w dole ekranu zmroził mi krew w żyłach: „Zwłoki dwóch kobiet znalezione w Hidden Springs”. Podgłośniłem, głos prezenterki wypełnił salon:

– Ofiarą jest trzydziestojednoletnia Jennifer Straus, której zaginięcie zgłoszono trzy dni temu. Ostatni raz widziano ją w jednym z barów w centrum Los Angeles. W tym samym czasie, przy okazji poszukiwań innej mieszkanki Los Angeles, która zniknęła w Hidden Springs, znaleziono szczątki Pauli Hicks, trzydziestopięcioletniej zaginionej przed prawie czterdziestu laty. Śledztwo w jej sprawie zostało zamknięte ponad dwadzieścia lat temu. Czekając na wyniki sekcji zwłok, które pozwolą ustalić przyczyny śmierci obu kobiet, wszyscy zadajemy sobie pytanie: czy to

przypadek? Czy te trzy sprawy są ze sobą w jakiś sposób powiązane? Czy zaginiona kobieta, Jennifer Straus i Paula Hicks miały ze sobą coś wspólnego? Czy w okolicy grasuje seryjny morderca?

To ostatnie nazwisko przez chwilę kołatało mi się po głowie, zanim wreszcie je skojarzyłem. Prawda uderzyła we mnie jak grom: Paula Hicks była kobietą, w której zakochał się Black. Tą, która zniknęła bez śladu. Tak, to na pewno ona. Wcale nie odeszła dobrowolnie z jego życia – zginęła tragiczną śmiercią. Wystraszyłem się, jak James zareaguje na wieść o tym, co spotkało jego wielką miłość. Pomyślałem, że może on też oglądał wiadomości i teraz rozpacza, odkrywszy prawdę.

Dzięki Bogu nazwisko Mirandy nie wyciekło jeszcze do prasy. Wiedziałem, że kiedy to się stanie, wpadnę w bezlitosny wir fleszy i będę skończony. Dziennikarze prześledzą moje życie, odkryją nasze problemy, dowiedzą się o kredycie na dom... Wywloką na światło dzienne wszystkie brudy, będą próbowali mnie zdemaskować, zamiast skupić się na poszukiwaniach mojej żony. Tak właśnie działa prasa: grzebie w twoich śmieciach, przekopuje twój ogród i filmuje cię przez szybę, jak chodzisz po salonie w samych bokserkach, podczas gdy zwłoki ofiary gniją na dnie jakiejś rzeki. Kiedy wreszcie je znajdują, przysięgli mają już gotowy werdykt: jesteś winny, wyłącznie dlatego, że zachowywałeś się jak normalny człowiek, zamiast obnosić się ze swoją rozpaczą. Proces jest zwykłą formalnością, nie chodzi o wymierzenie sprawiedliwości. Kiedy prasa ujawni nazwisko Mirandy, będę mógł pożegnać się z życiem. Owca

Ubrałem się w pierwszy ciuch, który wyjąłem z szafy, i zadzwoniłem do Mandy, ale nie odebrała. O tej porze powinna być wolna, liczyłem na to, że dowiem się od niej, czy James doszedł do siebie po nocnym ataku. Ponownie wybrałem jej numer, z tym samym skutkiem.

Postanowiłem odszukać Blacka. W pierwszej kolejności zajrzałem do Steak Yorku, choć nie spodziewałem się, że wpadł tam na śniadanie. Ubiegłej nocy miałem okazję osobiście się przekonać, że coś z nim nie tak. Mimo to postanowiłem się upewnić. Kochaniutka powitała mnie kawą, której nie mogłem odmówić.

– Szukasz Blacka, kochaniutki? Nie ma go. Nie zagląda tu od dwóch dni. Ostatni raz widziałam go z tobą.

– Tak myślałem...

Wypiłem kawę jednym haustem. Zanim ciepły płyn spłynął mi do gardła, Kochaniutka dodała:

– Masz bardzo piękną żonę. Nie znałam jej wcześniej.

– Mojej żony?

– Tak, twojej żony. Jest bardzo piękna. Ładna z was para. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Oddać cesarzowi, co cesarskie. Skoro twoja żona jest piękna, to należy to głośno powiedzieć.

Oniemiałem. Kiedy Kochaniutka widziała moją żonę? Przeleciałem w myślach wszystkie swoje wizyty w Steak Yorku. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek przyszedł tu z Mirandą.

– Była tu? – zapytałem skołowany.

– Oczywiście. Przedwczoraj po południu. Po tym, jak wyszedłeś. Rozmawiała z Blackiem. Jest przemiła. Masz przemiłą żonę.

– Z Blackiem? Rozmawiała z nim?

– Tak, przy jego stoliku.

– Wiesz o czym?

– Kochaniutki, ja nie podsłuchuję rozmów klientów. To jest w końcu Los Angeles. Wszyscy mamy swoje tajemnice. Ale fakt. Była dość poważna. Wobec Blacka. Poważna wobec Blacka, nie wobec mnie. Dla mnie była... przemiła.

– Poważna?

– Może raczej spokojna. Nie żeby to było miejsce, gdzie zwykle wyprawia się harce, ale kiedy rozmawiała z Blackiem, jej twarz... tchnęła spokojem. Takie odniosłam wrażenie. Była taka spokojna... rozmawiała ze mną tak miło... Masz precudowną żonę, kochaniutki. Dbaj o nią. Niewiele jest takich kobiet.

– Tak... wiem – odpowiedziałem. – Nie ma drugiej takiej kobiety jak Miranda.

Jeżeli Kochaniutka mówiła prawdę, najwyraźniej Black był jedną z ostatnich osób, które widziały moją żonę przed jej zniknięciem. Musiałem go odszukać i porozmawiać z nim o Mirandzie. Jeszcze o niczym nie wiedział, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli dowie się ode mnie.

Wyszedłem, nie zapłaciwszy za kawę. Wpadłem na grupę Azjatów, którzy stali przed drzwiami, rozczarowani tym, że nie zastali Blacka. Jeden z nich strzelił fleszem tak blisko mojej twarzy, że na moment mnie oślepił.

– Ty, ty. Kolega Blacka. Kolega Blacka – rzucił inny, podekscytowany. Wyglądał na przewodnika wycieczki.

Powiedział coś po japońsku i nagle cała grupa – dwudziestu, trzydziestu skośnookich turystów wyposażonych w aparaty po kilka tysięcy dolarów każdy – zaczęła robić mi zdjęcia.

Pobiegłem do samochodu i z piskiem opon ruszyłem na północ, w stronę domu Blacka. Przez całą drogę zastanawiałem się, jak przeprowadzić tę rozmowę. Moje rozmyślenia przerwał sygnał komórki. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowałem,

były nieoczekiwane telefony. Spojrzałem na wyświetlacz: dzwonił Black, z domowego numeru. Natychmiast odebrałem.

– James? Jak się czujesz, przyjacielu?

– To koniec... Ryanie. To koniec – odpowiedział z płaczem. – Znaleźli Paulę... Znaleźli ją. – Black był kompletnie rozbity.

Nie wiedziałem, jak go pocieszyć.

– James... miałem właśnie zadzwonić, żeby ci to powiedzieć... Paula Hicks... Twoja Paula...

– Nieważne. Nic nie jest już ważne. To koniec... Rozumiesz? Nie ma już odwrotu.

– O czym ty mówisz?

– Nie... nie mogę. To zbyt... Znaleźli ją. Jestem skończony. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, to będzie mój koniec.

– Prawda? O czym ty, do cholery, mówisz?

Czekałem na jego odpowiedź, ale on zupełnie się załamał. Wybuchnął płaczem.

– Gdzie jesteś? Przyjadę do ciebie i porozmawiamy.

– Nie trzeba, Ryanie. Ty masz swoje życie... a moje jest już skończone.

– Jesteś u siebie?

– Tak... Jestem tutaj.

– Zaczekaj na mnie. Zaraz będę.

Zahamowałem przed domem z piskiem opon i podbiegłem do drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Po wejściu zobaczyłem Jamesa siedzącego na fotelu w głębi salonu przed wyłączonym telewizorem. Wyglądał jak duch Blacka, którego znałem: zmierzwił włosy, pusty wzrok wbity w ekran, niedbały strój. Nie miał na nosie swoich charakterystycznych okularów. Odniosłem wrażenie, że jego umysł się opróżnił, że za jego oczami nikogo nie ma. Chciałem zapytać go o Mirandę, o czym rozmawiali, kiedy w dniu swojego zaginięcia przyszła do Steak Yorku, ale nie wiedziałem, jak poruszyć ten temat. James był w tak kiepskim stanie, że wolałem nie mówić mu o jej zniknięciu. Nie miałem odwagi pogłębiać jego rozpacz.

– James... – zacząłem. – Nie ma Mandy?

– Poszła sobie wczoraj rano. Przeprosiła mnie i powiedziała, że już dłużej nie może. Że to za bardzo odbija się na jej życiu.

– Mandy odeszła?

– Nie chce już dla mnie pracować. Tamtej nocy musiałem ją nieźle wystraszyć. Wcale jej się nie dziwię. Kto chciałby zajmować się obłąkanym starcem?

– Na pewno wróci. Od ilu lat jest twoją asystentką? Po prostu potrzebuje chwili

spokoju, żeby pomyśleć o swoich sprawach – próbowałem go pocieszyć.

– Miałem problem, żeby się z tobą skontaktować. Nie wiedziałem, gdzie mam twój numer. Długo szukałem notesu z telefonami. Zawsze zajmowała się tym Mandy. Już nawet nie potrafię wykonać głupiego połączenia. Do niczego się nie nadaję. Tym właśnie się stałem: statystą we własnym życiu.

– Co ty wygadujesz? Jak możesz mówić takie rzeczy? Jesteś Jamesem Blackiem. Wielkim Jamesem Blackiem! - wykrzyknąłem z entuzjazmem, żeby podnieść go na duchu. – Wszystkie twoje filmy przeszły do historii kina.

– Jestem nikim, Rynie. Moje życie to farsa... Znaleźli ją. Znaleźli Paulę. Dla mnie to koniec. Pamiętasz, mówiłem ci, że zniknęła bez śladu? To nieprawda. To nigdy nie była prawda.

– O czym ty mówisz, James?

– Paula Hicks... Moja Paula... Byłem w niej zakochany. Byłem w niej zakochany do szaleństwa. A ona umarła. A ona, kurwa, umarła. – Zaniósł się płaczem, dyszał tak szybko, że trudno mu było oddychać.

Pochyliłem się, żeby go objąć.

– Nie jesteś niczemu winien. Trzeba żyć dalej. W młodości zakochałeś się w kobiecie i ta kobieta zniknęła. Teraz znów się pojawiła. Wiesz już przynajmniej, dlaczego nie mogłeś jej znaleźć. Spróbuj poszukać w tym pocieszenia. Spróbuj, przyjacielu. Nie będzie łatwo, ale to coś, czego możesz się ucześć. Jaką winę ponosisz za to, co się stało? Na Boga, minęło prawie czterdzieści lat!

– Byłem tchórzem. Cholernym tchórzem – mówiąc to, zanosił się szlochem.

– James... musisz przestać się biczować. Nie jesteś niczemu winien. Tak czy nie?

– Jestem, Rynie. Umarła... – Zawahał się, zanim dodał: – Umarła z mojej winy.

ROZDZIAŁ 26

Miranda

Błąd

Dzień po powrocie do San Francisco zaczęłam źle się czuć. Bolał mnie brzuch, spędziłam kilka dni w łóżku. Zbliżał się początek zajęć, miałam zobaczyć Ryana. Dzwonił do mnie co wieczór, ale nie odbierałam. Nie chciałam go znać po tym, co zrobił jego ojciec i jak on sam potraktował mnie tamtej nocy. Oj, Mirando, gdybyś wtedy była taka odważna jak teraz! Mój brat Morris zaglądał do mnie od czasu do czasu, żeby zapytać, jak się czuję, a Zack zdradził mi w tajemnicy, że ojciec ostatnio dziwnie się zachowuje. Jeszcze tego samego popołudnia przekonałam go, żeby poszedł do lekarza. Ale dopiero dwunastego września, kilka dni przed rozpoczęciem roku akademickiego, neurolog poinformował nas oschłym tonem, że to alzheimer. Na zawsze utkwilo mi w pamięci to, co powiedział ojciec po wyjściu z gabinetu:

– Przynajmniej kiedyś zapomnę, co spotkało twoją matkę.

W drodze powrotnej nie odezwał się ani słowem, natomiast moi bracia kłócili się o to, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji.

– Nie zamierzam być dla nikogo ciężarem. W stosownym momencie wyślecie mnie do domu opieki.

Ja zaprotestowałam, ale moi bracia nie. Ojciec chciał spędzić jeszcze trochę czasu w naszym domu w San Francisco, wymógł na nas jednak obietnicę, że jeżeli któregoś dnia zabłądzi w okolicy, umieścimy go w Ally Hills, skromnym, ale uroczym domu opieki na obrzeżach miasta. Właśnie wtedy, na kilka dni przed rozpoczęciem zajęć, postanowiłam wreszcie odebrać telefon od Ryana. Byłam przytłoczona całą tą sytuacją, musiałam porozmawiać z kimś spoza rodziny. Uznałam, że skoro ciągle wydzwania, to znaczy, że naprawdę się o mnie martwi.

– Czego chcesz? – zapytałam na powitanie.

– Zobaczyć cię – odpowiedział.

– Nic z tego.

– Jestem pod domem.

– Co takiego?

- Wyjrzyj przez okno.
- Naprawdę? – zapytałam zdumiona.

Pobiegłam do kuchni i wyjrzałam przez okno. Nie mogłam w to uwierzyć. Był tam. Ucieszył mnie jego widok. Pokonał kilka tysięcy kilometrów, żeby mnie zobaczyć. Poczulałam się naprawdę szczęśliwa. Też tak masz, że kiedy oglądasz film i widzisz, że bohater naraża się na niebezpieczeństwo, że schodzi w środku nocy do ciemnej piwnicy, gdzie czai się morderca, krzyczysz do ekranu, żeby tego nie robił, że ten błąd będzie go drogo kosztował? To była właśnie jedna z takich scen. Teraz krzyknęłabym do tamtej dziewczyny o dziecięcym uśmiechu, że popełnia największy błąd w całym swoim życiu.

Wybiegłam z domu, padłam mu w ramiona i zaczęliśmy się całować.

Pozwoliłam się kochać.

Gdybym wiedziała, jak to się skończy! Przyznam szczerze, że zawsze byłam ślepa w tego rodzaju sytuacjach. Jedyni przyzwoici mężczyźni, z jakimi miałam kiedykolwiek do czynienia, to mój ojciec i bracia. Mimo patriarchalnej mentalności, z której na dodatek są dumni, wszyscy trzej mają dobre serca. Pozostali goście, którzy przewinęli się przez moje życie, tak mnie gnoili, krzywdzili albo olewali, że poznanie chłopaka, który się o mnie troszczył, było... odświeżające. Tak, to właściwe określenie.

Ryan został w San Francisco przez kilka dni, zatrzymał się w hostelu. Kiedy dzień przed powrotem do Los Angeles siedzieliśmy na brzegu Golden Gate i patrzyliśmy na zachód słońca, zapytał:

– Zamieszkamy razem?

– Mówisz poważnie?

– Jasne. Czemu nie? Znalazłem tanią kawalerkę na obrzeżach miasta. W sam raz dla nas.

– Jak to? Przecież studiujemy.

– No właśnie. Po co dzielić z kimś pokój w akademiku, skoro możemy mieszkać razem w kawalerce?

– Ale... skąd weźmiemy na czynsz?

– Mam trochę pieniędzy ze sprzedaży krótkometrażówki. Wystarczy na jakiś czas. I będę dalej pisał.

– Naprawdę mi to proponujesz? – zapytałam rozemocjonowana.

– Oczywiście!

Pocałowałam go. Raz, drugi. Śmiałam się i krzyczałam z radości.

Za to teraz chce mi się śmiać, gdy pomyślę, jacy byliśmy naiwni. Zwłaszcza ja. Jeszcze przed początkiem roku akademickiego przenieśliśmy się do naszego

nowego mieszkańca na obrzeżach Los Angeles, przy torach kolejowych, po których co piętnaście minut przejeżdżał hałaśliwy pociąg. Kilka dni po przeprowadzce i rozpoczęciu zajęć zaczęłam czuć się coraz gorzej. Byłam zmęczona, apatyczna, płakałam bez powodu. W środku ćwiczeń z dialogu dla zaawansowanych poczułam, że przewraca mi się w żołądku. Jakby ktoś walnął mnie od środka w brzuch, jakby związał mi jelita. Zwymiotowałam na swoje notatki. Po południu Ryan poszedł ze mną do lekarza, który rzucił bombę, nie zważając na straty w ludziach i skutki uboczne.

– Gratuluję, jest pani w ciąży.

Nie mogłam w to uwierzyć. To nie działo się naprawdę. Żadne z nas nie miało tego w planach, zwłaszcza Ryan, o czym przekonałam się zaraz po wyjściu z gabinetu. Złapaliśmy się za ręce i w milczeniu opuściliśmy budynek. Jakaś część mnie była w euforii i chciała krzyczeć ze szczęścia. Dziecko? Naprawdę miałam zostać matką?

– Nie możesz go urodzić – powiedział Ryan, przerywając milczenie i moje rozmyślenia.

– Co?

– Nie możesz. Dziecko rozwaliliby nam życie. Dopiero zaczynamy. Musiałbym znaleźć pracę, rzucić studia. I ty też. Trzeba by było wszystko zostawić. Po co? Dla dziecka? Teraz?

– Ale... to nasze dziecko, Ryanie... Nasze dziecko. Twoje i moje.

Zaniepokojona dotknęłam brzucha. Zrozumiałam, że Ryan wyparł tę ciążę równie szybko, jak ja się z nią pogodziłam.

– Później przyjdzie czas na dzieci. Na miłość boską, Mirando. To nam zniszczy życie. Naprawdę chcesz zmarnować swoją szansę i skończyć jako kelnerka? Ja mam lepszy pomysł na swoją przyszłość. Ty zresztą też. Będziemy pisali scenariusze. Przecież właśnie tego chcemy. Zawsze tego chcieliśmy. Nic nie pokrzyżuje nam planów. Nie, Mirando. Błagam cię.

Nie odpowiedziałam. Tak naprawdę rozumiałam, że może mieć rację. Że to tylko zła wiadomość, która chwilowo skomplikuje nam życie, że decyzja o urodzeniu dziecka byłaby pochopna.

– Powiem ci, co zrobimy – ciągnął z niespotykaną u niego determinacją. – To dopiero pierwsze tygodnie. Jutro pójdziemy do kliniki, żeby przerwać ciążę. Ja zapłacę. Mam pieniądze. Serio. Ty niczym się nie zajmuj. Jeszcze będziemy się kiedyś z tego śmiać. A gdy przyjdzie właściwy moment, postaramy się o dziecko.

Spuściłam głowę, westchnęłam i nie wiedzieć czemu szepnęłam:

– Masz rację.

Nie wiem, dlaczego ustąpiłam. Nie pojmuję, dlaczego się zgodziłam. Od tamtej pory zawsze ze smutkiem dotykam brzucha na wspomnienie tego, jak się wtedy czułam.

Następnego dnia było po wszystkim. Poszliśmy do kliniki, gdzie dali mi dwie tabletki: jedną połknęłam na miejscu, drugą kilka godzin później, w domu. Pamiętam łzy, które płynęły mi po twarzy podczas naszej ostatniej dyskusji na ten temat. „Wszystko będzie dobrze, kocham cię”, powiedział mi Ryan.

Pamiętam też krew. Krew i ból. I to, co było w tym wszystkim najgorsze: obojętne spojrzenie Ryana, kiedy wychodził z mieszkania po tym, jak już połknęłam drugą tabletkę.

ROZDZIAŁ 27

Ktoś

26 września 2015

Nieznane miejsce. Okolice Hidden Springs

Odgłos kroków na żwirze i rozgniatanych suchych liści rozległ się między drzewami niczym krakanie. Tajemnicza postać zostawiła samochód na ścieżce i przez prawie pół godziny szła na przełaj lasem, zanim dotarła do polany, na której stała drewniana chatka. Zapadał zmierzch, ochłodziło się do tego stopnia, że przy każdym oddechu z jej ust buchała para, po czym momentalnie znikwała jak duch, który nie chce, żeby go zobaczono. Z okien padał żółtawy blask, dźwięki płynące z telewizora mieszały się z szumem lodowatego wiatru smagającego jej twarz. Była ubrana w szarą puchową kurtkę i miała na głowie kaptur. Rozejrzała się na boki, żeby sprawdzić, czy nikt za nią nie szedł.

Wbiegła lekko po drewnianych schodkach i delikatnie zapukała do drzwi. Chwilę później rozległy się kroki, za oknem poruszył się czyjś cień.

– Otwórz, bo zaraz zamarznę – odezwał się męski głos.

Mężczyzna usłyszał metaliczny szcęk odskakującej zasuwki, a potem odgłos oddalających się kroków. Kiedy pchnął drzwi, z głębi domku dobiegł głos kobiety:

– Co tak długo? Udało się?

Mężczyzna bez słowa podszedł do kobiety, która ukucnęła z wilgotną ściereczką przy łóżku, na którym spał jakiś starzec.

– Wszystko załatwione, Mirando.

ROZDZIAŁ 28

James Black

Wystawieni

1975

O zmierzchu James czekał na rogu przy Melnitz Hall, gdzie miał się spotkać z Paulą Hicks. Przyszedł trochę wcześniej, co chwila zerkał na zegarek, po czym podnosił wzrok i, rozglądając się, wypatrywał jej samochodu. Wydawało mu się, że wskazówka stanęła na siódmej, że czas zamarzał, a przynajmniej gwałtownie zwolnił bieg, kiedy wybiła godzina, o której byli umówieni. Ucieszył się na widok świateł nadjeżdżającego auta. Jego radość jednak szybko wyparowała: kierowca minął go, nawet nie zwalniając. U wylotu ulicy pojawiały się kolejne samochody, ale żaden się nie zatrzymał. Czas mijał, a James stopniowo tracił nadzieję na to, że wykładowczyni przybędzie na spotkanie.

Nagle za jego plecami rozległy się krzyki:

– James, James, James!

– Co jest...? – sapnął, rozglądając się w poszukiwaniu źródła głosu.

Zobaczył Jeffa zmierzającego w jego stronę szybkim krokiem.

– Wszędzie cię szukam. Gdzie się, do diabła, podziewałeś? Co tu robisz?

– Eee... – James przypomniał sobie, że Paula prosiła go o dyskrecję. – Wyszedłem się przewietrzyć.

– Posłuchaj mnie uważnie. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Dlatego cię szukałem. Nie możesz mi odmówić. Ty, ja i mnóstwo ekstralasek. Zaraz.

– Nie mogę – odparł James, odwracając wzrok: zza rogu ulicy wyjechał jakiś samochód i zbliżał się do miejsca, w którym stali.

– Kurde, nawet nie wysłuchałeś, co to za plan. Już ci mówię. Nie uwierzysz. Dowiedziałem się, że właściciel „Playboya” kupił dom niedaleko kampusu i sprowadza tam superbabki. Może podejdziemy pod ogrodzenie i sprawdzimy, czy coś stamtąd widać?

– Nie... nie mogę, Jeff. Mam... coś do zrobienia.

Już chciał powiedzieć, że ma randkę, ale sam nie był pewien, jaki charakter mają

jego spotkania z Paulą.

– James, posłuchaj. To poważna sprawa. Nasza przyjaźń zależy od takich drobiazgów. Jeśli w ogóle mamy się przyjaźnić. Nie chcę iść tam sam. Nie mogę pójść sam. Wyszedłbym na idiotę. Kolesie z drugiego roku mówili w stołówce, że pozwolili im wejść. James, weszli tam. Weszli! Rozumiesz, co to znaczy?

– A ty im uwierzyłeś?

– Co za różnica, czy to prawda, czy nie? Już na samą myśl, że moglibyśmy wejść, serce wali mi jak młotem. Jak młotem! To jak? Co ty na to? Idziesz ze mną?

– Nie mogę, Jeff. Naprawdę nie mogę.

– No co ty?! Nie rób mi tego, James. Nie rób mi tego. Musimy tam pójść!

James westchnął. Ponownie spojrzął na zegarek: Paula powinna była się pojawić prawie pół godziny temu. Wystawiła go. Nie miał pojęcia, w co z nim pogrywa. Był zły, że tak cieszył się na to spotkanie.

– Okej, okej. Chodźmy. Wygląda na to, że z moich planów nici.

James i Jeff oddalili się w kierunku północnym. W momencie, kiedy skręcali za róg akademika, w oddali rozbłysły światła triumpha. Paula zatrzymała się w tym samym miejscu, z którego poprzedniego dnia zgarnęła Jamesa.

– Cholera – szepnęła, spoglądając na zegarek, po czym uderzyła dłonią w kierownicę.

Westchnęła, rozczarowana. Zagryzła wargi, żeby zapanować nad emocjami. Była sama, mogła więc sobie pozwolić na chwilę zapomnienia. W domu była odważna, silna, surowa i czuła. Na zajęciach – bezwzględna. Tu, wewnątrz triumpha, mogła być sobą. Przynajmniej przez moment. Zamierzała wrócić do domu, ale przypomniała sobie, że ma czas do jedenastej. Zapłaciła z góry opiekunce, żeby została z dziećmi. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przejrzała się w lusterku. Zdziwiło ją to, co ujrzała. Płakała.

– Czy ty oszalałaś? – zapytała na głos. – Naprawdę płaczesz dlatego, że wystawił cię jakiś dzieciak?

Wiedziała, że to nie tak. Umysł zawsze ją okłamywał, żeby poczuła się jeszcze gorzej. Nie płakała z powodu Jamesa, ale dlatego, że w ciągu ostatnich miesięcy wszystko w jej życiu się posypało. To, że chłopak na nią nie czekał, było tą ostatnią kroplą goryczy. Dziewczyna, która miała zostać z dziećmi, spóźniła się, dlatego ona sama nie mogła przyjechać na czas. Sytuacja nagle ją przerosła. Dwa lata wcześniej u lana – jej męża, ojca czteroletniej dziewczynki i dwuletniego chłopca – wykryto raka płuc. Poznali się na uczelni. Oboje wykładali na wydziale filmowym, oboje kochali czarno-białe filmy, a lan był w dodatku miłośnikiem zagranicznych papierosów. Okazało się, że choroba jest w tak zaawansowanym

stadium, że od momentu, w którym lekarz postawił diagnozę, do chwili, kiedy Paula rozsypała prochy męża nad jeziorem na obrzeżach Los Angeles, minęły zaledwie dwa miesiące. Poświęciła się opiece nad synkiem i córeczką. Dzielnie stawiała czoła spojrzeniom wścibskich sąsiadów, którzy obserwowali ją, kiedy przybita wychodziła z domu z dziećmi. Dwoiła się i troiła, żeby dzieciom niczego nie brakowało, spędzała ranki na uczelni, podczas gdy one zostawały z opiekunką, która brała sześć dolarów za godzinę. Ta drastyczna zmiana stylu życia na jakiś czas odsunęła ją od świata. Po upływie kilku miesięcy miłość do dzieci i kina dodała jej jednak sił i pomogła wyjść na prostą. Nadal pamiętała ostatnie zdanie, które wypowiedział Ian w szpitalu, na chwilę przed tym, kiedy zaczął się dusić wskutek obrzęku krtani i musiał się poddać tracheotomii:

– Ty i ja zawsze będziemy rozbieleni.

Po tych słowach stracił głos i pożegnał się z nią niemym „kocham cię”.

Paula obiecała sobie, że od września wróci do prowadzenia zajęć ze studentami pierwszego roku. Chciała, żeby zarazili ją entuzjazmem, z jakim rozpoczęli naukę na wydziale. Ale miłość do kina, której ogień do samego końca tlił się w jej mężu, płonęła tylko w Jamesie Blacku.

Spojrzała na zegarek: zapłaciła opiekunce za trzy godziny, miała aż nadto czasu, żeby posiedzieć w samochodzie i porozmyślać o Ianie, Blacku i o gigantycznym błędzie, który popełniła ubiegłej nocy. Od śmierci męża z nikim się nie całowała. Usta Jamesa – młode, jędrne, nieotoczone kłującym zarostem – smakowały pierwszymi pocałunkami z Ianem. Rozśmieszyły ją te myśli. Rozśmieszyło ją własne zachowanie. Było jej przykro, że na nią nie zaczekał. Jak mógł ją tak wystawić? Wiedziała, że ta przygoda źle się skończy – romanse ze studentami były surowo zabronione, a w dodatku dzieliła ich spora różnica wieku. Mimo to powiedziała sobie:

– Najwyższa pora, żebyś znów zaczęła się uśmiechać, Paulo.

Dwie godziny później po korytarzu akademika rozniósł się śmiech Jeffa.

– Ciiii – syknął James, próbując go uciszyć. – Zamknij się! – dodał, po czym sam parsknął śmiechem.

– Słyszałeś tego grubasa, który pilnował bramy? Że niby mamy spadać. Też coś! Chciał je mieć wszystkie dla siebie. Egoista!

– Mówiłem ci, że nas nie wpuszczą – powiedział James, rechocząc.

– No i co z tego, że nas nie wpuścili? Byliśmy zaledwie kilka metrów od nich. Nieważne, że po drugiej stronie ściany. Nieważne, że dzielił nas mur ogrodzenia. Ale widziałeś przecież, jak jedna z nich machała do nas przez okno. Możemy powiedzieć, że z nimi byliśmy.

James znowu się zaśmiał.

– Chyba w tej samej okolicy, co one.

– Mnie to wystarczy. Mogę spokojnie zasnąć.

– A ja myślę, że przez całą noc nie zmrużysz oka.

– Ale ty mnie znasz, James. Ale ty mnie znasz!

– Do jutra, playboyu – rzucił James, oddalając się w stronę swojego pokoju.

– Śmieję się, zobaczysz, że kiedyś przyjdę na zajęcia w atłasowym szlafroku – odpowiedział Jeff. Zanim James zniknął za rogiem korytarza, jego kolega krzyknął:

– Do jutra, przyjacielu!

Kiedy James stanął przed drzwiami swojego pokoju, na jego twarzy nadal malował się uśmiech. Z przerażeniem odkrył, że drzwi są otwarte. Wsunął dłoń przez szparę, żeby zapalić światło – włącznik znajdował się na wysokości zamka, tuż przy futrynie.

Wtedy ze środka dobiegł kobiecy głos:

– Nie bój się.

ROZDZIAŁ 29

Ryan

Musisz mnie wysłuchać

26 września 2015

James Black zakrył twarz dłońmi.

– Z twojej winy? O czym ty mówisz?

– Paula była... moją wykładowczynią. Prowadziła zajęcia z historii kina amerykańskiego. Nie powinniśmy byli się spotykać... Nigdy nie powinno było do tego dojść.

– Twoją wykładowczynią? Spotykałeś się z wykładowczynią?

– Wiem, Ryane. Kurwa, wiem. Oboje mieliśmy świadomość, że to bez sensu... To było bez sensu, ale się stało. Nie planowaliśmy tego. Przysięgam... I tym samym... tym samym wydałem na nią wyrok śmierci.

– Ale, James... nie... – Nie wiedziałem, co mógłbym mu powiedzieć.

W przeciwieństwie do niego nigdy nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. To James był od udzielania rad, a ja od popełniania błędów, które on starał się naprawić. Teraz, kiedy role się odwróciły, kiedy przyjaciel potrzebował mojej pomocy, nie było ze mnie żadnego pożytku; mogłem najwyżej wypłakać mi się w rękaw.

– Tamtej nocy Paula czekała na mnie w moim pokoju... – Wydawało się, że opowiadanie o przeszłości przynosi mu ulgę, skinąłem więc głową na znak, żeby mówił dalej. – Wróciłem późno, a ona była w środku. Była w pokoju, siedziała na moim łóżku... Uśmiechnęła się, kiedy wszedłem.

Nie chciałem mu przerywać.

– Wtedy, wieczorem, nie przyszła na spotkanie i myślałem, że może niepotrzebnie robiłem sobie nadzieje. Wcześniej umówiliśmy się tylko raz, poprzedniego dnia. Co prawda mnie pocałowała, ale pewnie za dużo sobie wyobrażałem. Tak przynajmniej mi się wydawało. Mimo to jakaś część mnie chciała wierzyć, że może między nami do czegoś dojść. Paula była... kobietą. Prawdziwą kobietą. W jej spojrzeniu płonął żywy ogień, sposób, w jaki mówiła, uskrzydlał, odgłos jej kroków paraliżował. Mogła mieć każdego mężczyznę, ale...

Pomyślałem, że znów się rozplącze, i postanowiłem go nie naciskać.

– Spokojnie, James. Nie musisz mi tego opowiadać.

– Nie. Nie. Chcę ci to opowiedzieć. Chcę, żebyś wiedział, co naprawdę się stało.

Ujrzałem w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej w nich nie widziałem. Miłość. Zdałem sobie sprawę, że zatracił się we wspomnieniach. Nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech, a po jego policzku spłynęła łza. Wydawało się, że patrzy na Paulę. Wtedy znów się odezwał:

– ...ale ona wybrała mnie.

– To znaczy, że byliście parą?

– Kiedy zobaczyłem ją w swoim pokoju, tak się zdziwiłem, że nie wiedziałem, jak mam zareagować. Byłem... byłem jeszcze dzieciakiem.

Przełknąłem ślinę. Nigdy mi o tym nie opowiadał, chociaż przyjaźniliśmy się już od tylu lat. Z jednej strony byłem na niego zły, że wcześniej mi się nie zwierzył, z drugiej miałem świadomość, że ja sam też nie do końca się przed nim otworzyłem. Poczuję się jak skończony dupek: nadal nie powiedziałem mu o zniknięciu Mirandy. Nie mówiłem mu też o wielu innych rzeczach, ważnych i wstydlivych. Nie miałem prawa osądzać go za to, że i on nie był ze mną całkiem szczery.

– Paula wstała z łóżka i... zanim zdążyłem się odezwać... pocałowała mnie. Pchnęła mnie na drzwi, zamknąłem je za plecami. W głowie kłębiło mi się od myśli: „Co ty wyprawiasz? Nie powinienes! To twoja wykładowczyni!”. Różnica wieku była oczywista, ale nie chciałem tego przerywać. Kochaliśmy się w ciemnościach, gładziła mnie po szyi, całowała, gryzła sutki.

Twarz Blacka dosłownie tonęła we łzach.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz, James? Po co?

– Bo wkrótce po mnie przyjdą. Teraz, kiedy odnalazła się Paula, przyjdą po mnie i to będzie koniec. Jestem skończony... Miranda... Miranda powie o wszystkim.

– Miranda?!

Dźwięk jej imienia sprawił, że moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Wróciło wspomnienie pobrudzonej krwią łazienki. Wciąż nie miałem żadnych wiadomości o żonie.

– Co ona ma z tym wspólnego? – zapytałem.

– Mój wizerunek... mój dorobek. Ludzie nie będą już chcieli oglądać moich filmów. Miranda wszystko zniszczy. Musisz coś zrobić. Musisz z nią porozmawiać.

– O czym ty mówisz?

Nic z tego nie rozumiałem. Najpierw znika moja żona, a teraz Black posądza ją o... O co? O to, że opowie wszystkim o jego romansie z jakąś Paulą Hicks?

– James... myślę, że się starzejesz. Miranda nigdy by ci nie zaszkodziła.

– Mylisz się, Ryane. Nie znasz swojej żony.

– Oczywiście, że znam swoją żonę. Ona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Poza tym... wydaje mi się, że... - Przerwałem, wahając się, czy wyznać mu prawdę, ale uznałem, że nie mam wyjścia. Black wpatrywał się we mnie, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi. Wreszcie zdobyłem się na odwagę: – Wydaje mi się, że powinieneś o czymś wiedzieć... James...

– Co się dzieje?

– Miranda zniknęła.

– Co?! Jak to: zniknęła? O czym ty, do diabła, mówisz?

Tym razem to ja wybuchnąłem płaczem. Chociaż powinienem był już pogodzić się z sytuacją, czułem się w tym wszystkim bardzo samotny i przerażało mnie, że Miranda gdzieś tam może potrzebować mojej pomocy.

– Ryane, co to znaczy, że zniknęła? Kurwa, pewnie jest w pracy. Nie wygaduj bzdur.

– Nie rozumiesz. – Przysunąłem się do niego i ze łzami w oczach uściśliłem: – Miranda zniknęła dwa dni temu. Właśnie dlatego do ciebie przyjechałem. Kochaniutka twierdzi, że po moim wyjściu Miranda zajrzała do Steak Yorku. Jesteś ostatnią osobą, która ją widziała.

– To niemożliwe, Ryane. To niemożliwe. – Wydawało się, że nie rozumie, co do niego mówię.

– To prawda, James. Miranda zniknęła. Nigdzie jej nie ma. Jakby zapadła się pod ziemię. I... i jest jeszcze krew... i wisiołek.

Włożyłem rękę do kieszeni spodni i wyjąłem wisiołek Mirandy, który znalazłem w lesie w Hidden Springs.

James wpatrywał się w niego osłupiały.

– To wisiołek Mirandy? Ta dedykacja...

– Tak... Dałem jej go, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Nie rozumiesz? Rozbielenie, przejście montażowe w filmie.

– Wiem, nie w tym rzecz... Po prostu to... przywołuje stare wspomnienia.

Uniósł głowę, jakby przetrząsał pamięć w poszukiwaniu czegoś, co w niej zostawił, ale w końcu dał za wygraną i znów skupił się na mnie.

– To było dwa dni temu... Chciałem ci o wszystkim powiedzieć, ale... – Z emocji zacząłem się jąkać.

– Ryane... co ty bredzisz? – wszedł mi w zdanie. – Posłuchaj mnie. Musisz mnie wysłuchać.

– Dwa dni. Od dwóch dni nie ma od niej żadnych wiadomości... A zwłoki... i...

Nie zwracałem uwagi na Jamesa, dopóki nie odezwał się zmienionym głosem:
– Miranda była tu ubiegłej nocy.

ROZDZIAŁ 30

Łzy

Gabinet doktora Morgana

Dwa miesiące przed zaginięciem

– Druga strona nie może wykorzystywać tego, co zostanie tu powiedziane, poza tym pokojem – oznajmił doktor Morgan pojednawczym tonem. – Jesteście tu po to, żeby się nawzajem zrozumieć. Szczęśliwe małżeństwo to takie, w którym ludzie się wzajemnie tolerują, mimo że ze sobą rozmawiają, mimo że zwierają się sobie z problemów i opowiadają o tym, co lubią, a czego nie lubią we współmałżonku.

Miranda przytaknęła w tym samym momencie, w którym Ryan pokręcił głową. Od jakiegoś czasu próbowali ustalić, dlaczego zwrócili się o pomoc do terapeuty. Ściany gabinetu były pomalowane na beżowo, przed szklanym biurkiem stały dwa krzesła, po drugiej stronie siedział doktor Morgan; miał na nosie okulary bez oprawek. Ścianę za jego plecami zajmowało w całości okno zasłonięte firanką z woalu, pozostałe były obwieszane oprawionymi w ramki dyplomami różnych amerykańskich uczelni.

– Czyli mogę jej powiedzieć, że doprowadza mnie do szału swoim perfekcjonizmem? – zapytał Ryan, wkurzony, że musi tu siedzieć.

Od pół godziny opowiadał o tym, jak zachowanie Mirandy sprawia, że czuje się od niej gorszy, podczas gdy ona spoglądała na niego smutnym, niewidzącym wzrokiem.

– Oczywiście – odparł doktor Morgan. – A pani jak się z tym czuje?

Mirandzie trudno było wykrzesać z siebie entuzjazm.

– Jestem rozczarowana. Głęboko rozczarowana.

– Doskonale. Doskonale. To dobry początek.

Ryan parsknął.

– Nie mogę przy nim mówić. Naprawdę nie mogę.

– Przecież to był twój pomysł, żebyśmy poszli na terapię małżeńską. Jak to nie możesz mówić? To niedorzeczne.

Miranda rzuciła Ryanowi smutne spojrzenie.

– Nie widzisz tego, prawda? Gdybym mówiła ci, co myślę, nasz związek już dawno by się rozpadł.

– No to niech się rozpadnie. Czy i tak nie jest już od jakiegoś czasu martwy?

Miranda zamknęła oczy i spuściła głowę, rozżalona. Nie poznawała własnego męża.

– Panie Huff... proszę nie wydawać takich wartościujących sądów. Niech pan wygłasza swoje opinie bez podważania relacji z żoną. Musi pan ochłonać.

– Łatwo panu mówić. Bierze pan pieniądze za to, żeby popatrzeć, jak się kłócimy.

Doktor Morgan zanotował coś w zeszycie.

– To jakiś absurd. Wie pan co? Ja już chyba sobie pójdę.

– Panie Huff... zadam panu pytanie i chcę, żeby szczerze mi pan na nie odpowiedział.

Ryan westchnął i ponownie usiadł na krześle.

– Słucham.

– Proszę spojrzeć na żonę.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Po co?

– RYanie... proszę... – szepnęła Miranda, która z trudem powstrzymywała łzy.

– No dobrze – zachnął się.

Odwrócił się w stronę żony, ale nie był w stanie podnieść wzroku na jej twarz. Zobaczył, że dłonie Mirandy drżą, i dopiero kiedy zrozumiał dlaczego, spojrzał jej w oczy. Płakała.

– Mirando... nie rób mi tego...

– A teraz niech pan powie szczerze – ciągnął doktor Morgan – kocha pan żonę?

– Jak to czy ją kocham? Co to za pytanie?

– Proszę odpowiedzieć: kocha pan żonę?

Ryan zwlekał. Miranda westchnęła, rozgoryczona.

– Oczywiście, że ją kocham. To jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałem.

Doktor Morgan uśmiechnął się zadowolony.

– A pani, pani Huff? Kocha pani męża?

Pytanie rozbrzmiało echem w jej głowie. „Kocha pani męża?”. Wydało jej się, że znów je słyszy, chociaż doktor Morgan już go nie powtórzył.

Skinęła głową, zaciskając szczęki. W jej oczach malował się smutek.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Widzą państwo? To nie takie trudne. Pierwszy krok już za nami. Skoro się państwo kochają, wystarczy, że włożą w to trochę wysiłku, wszystko pójdzie gładko.

Ryan z uśmiechem ujął dłoń Mirandy. Zdała sobie sprawę, że znowu robi to,

czego tak nie znosiła: zachowywał się, jakby nic się nie stało, udawał, że wszystko jest między nimi w porządku. Złapał ją za rękę, żeby się uspokoiła, ale ona nie miała siły dłużej tego ciągnąć.

– Nie chcę tego robić – powiedziała. – Nie potrafię.

– No dobrze. Mam pewien pomysł – odparł doktor Morgan. – Może spróbujemy czegoś innego?

– Czego? – obruszył się Ryan.

Miranda nie przestawała płakać.

– Widzę, że nie potrafia państwo mówić w obecności współmałżonka. Może w takim razie będziemy rozmawiać na zmianę? Podzielimy godziną sesję na dwie części po trzydzieści minut każda. Będą państwo na siebie czekać w kawiarni naprzeciwko.

– Ale... – szepnął Ryan – czy nie przychodzimy tu po to, żeby ze sobą rozmawiać?

– Chodzi o znalezienie punktów styecznych. Postaram się połączyć te punkty i sprawić, by wszystko znowu było jak dawniej.

Ryan przytaknął. Zgodziłby się na wszystko, byle tylko nie musiał przez godzinę narzekać przy tym gościu na swoje małżeństwo. Trzydzieści minut brzmiało zdecydowanie lepiej.

– Co państwo na to?

– Jeżeli sądzi pan, że w ten sposób oszczędzimy jej cierpień, jestem za.

– Ja tak nie sądzę, ja to wiem.

Miranda otarła łzy i pokiwała głową.

– W takim razie postanowione – stwierdził Ryan. – Kto zaczyna?

– Myślę, że w zaistniałej sytuacji lepiej będzie, jeżeli to pańska żona opowie mi pierwsza o tym, co się z państwem dzieje.

Ryan spojrzał na Mirandę i przytaknął.

– Jasne.

– No dobrze, w takim razie proszę poczekać w kawiarni po drugiej stronie ulicy. Zadzwoń do pana na komórkę, kiedy przyjdzie pańska kolej.

Ryan wstał i pożegnał się, unosząc brwi.

– Ciekawe, co mu naopowiadasz – rzucił do Mirandy.

– Proszę zaufać żonie, panie Huff. Widać, że się państwo kochają. Nie ma się pan czym martwić.

Ryan spojrzał na Mirandę.

– Do zobaczenia potem – powiedział przed wyjściem.

Doktor Morgan wstał zza biurka i podszedł do okna. Odsunął palcem firankę

i wyjrzał na ulicę. Chwilę później na chodniku pojawił się Ryan. Szedł w stronę Starbucks na rogu.

Miranda także podeszła do okna. Z poważną miną śledziła kroki męża, dopóki nie zniknął za przeszklonymi drzwiami kawiarni.

– Myślisz, że uwierzył? – zapytał doktor Morgan, nie odwracając głowy.

– Jestem tego pewna, kochanie – odpowiedziała Miranda.

ROZDZIAŁ 31

Miranda

Cienie

Przez kolejne miesiące nie byłam sobą. Popadłam w apatię, odczuwałam chroniczne zmęczenie. Najbardziej nękało mnie to, że nie powiedziałam o aborcji ojcu ani braciom. Na samą myśl, że dowiedzieliby się prawdy, miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Wmawiałam sobie, że nic się nie stało, że to dziecko faktycznie tylko skomplikowałoby nam życie i pokrzyżowało plany, ale z drugiej strony myślałam, że pozwoliłam, by to Ryan podjął decyzję, do której miałam prawo wyłącznie ja. To moje życie i to moje ciało by się zmieniły. To ja kochałam to dziecko, które już zaczęło rosnąć w moim brzuchu.

Bardzo wtedy cierpiałam. Chciałam porozmawiać z kimś o tym, co przeżywam, ale kiedy wracaliśmy do domu po zajęciach, Ryan bez przerwy mówił o Jamesie Blacku.

O jego genialnych filmach.

O sposobie, w jaki się wysławia.

O tym, ile się od niego nauczymy.

Chciało mi się rzygać.

Ani razu nie zapytał mnie, jak się czuję po aborcji. Wybrał najgorszą postawę, jaką można przyjąć w obliczu bolesnych problemów: udał, że nic się nie stało. Nigdy nie wrócił do tego tematu. Zmiażdżył go, jakby był komarem, który uprzykrza mu życie, ale nie wiedział, że nocami ten komar przylatywał do mnie i budził mnie bzyczeniem przypominającym płacz dziecka.

Z czasem Ryan znów zaczął okazywać mi czułość i starał się odbudować nasz związek, chociaż ciąża pozostała tematem tabu. W weekendy chodziliśmy do kina na premiery, na które zdobywał wejściówki, próbowaliśmy egzotycznych potraw z dziwnych restauracji dowożących jedzenie do domu, wciągnęliśmy się w oglądanie modnych seriali, które nagrywaliśmy na wideo.

Kolejne lata minęły nam w milczeniu, notatki z zajęć spłonęły w ognisku na plaży pod rozgwieżdżonym niebem Los Angeles, na uroczystości wręczenia dyplomów zabrakło naszych rodziców. Czuliśmy, że kilka osób z naszego rocznika

przejdzie kiedyś po czerwonym dywanie. Pytanie brzmiało: kto? Byliśmy utalentowaną grupą. Świadczyły o tym filmy krótkometrażowe, które kręciliśmy, scenariusze, które czytaliśmy na zajęciach. Wszyscy byliśmy gotowi się sprzedać złudnemu światu gwiazd. Kiedy patrzyło się na nasze twarze podczas rozdania dyplomów, wszystkie promieniały szczęściem. Nawet moja. Przy Ryanie nauczyłam się udawać, że jestem szczęśliwa.

Nie umiem podać jednego konkretnego powodu, dla którego od niego nie odeszłam. Jeśli mam być szczerą, w porównaniu z mężczyznami, których poznałam wcześniej, Ryan był niesamowity. Przystojny, zwykle uprzejmy, opiekuńczy. A przede wszystkim zabawny. Śmiałam się z jego żartów, niewykluczone, że pomyliłam dobrą zabawę z miłością. Dziś, kiedy spoglądam wstecz, nie rozumiem, dlaczego trwałam w jego uścisku. Może ból sprawia, że dostrzegasz tylko dobre strony, żeby zupełnie nie zwariować.

Po studiach jeszcze przez jakiś czas mieszkaliśmy w naszej klitce. Ale Ryan zarobił wreszcie trochę pieniędzy i wydał wszystkie nasze oszczędności na ten przeklęty dom. Muszę przyznać, że ta zmiana dobrze nam zrobiła, chociaż nie na długo. Duże zmiany to prowizoryczne zatyczki tamujące wyciek, które wcześniej czy później zaczynają przepuszczać wodę.

Nasz ślub był bardzo romantyczny. Pobraliśmy się spontanicznie, w urzędzie stanu cywilnego, żeby płacić mniejsze podatki. Ryan oczywiście i tym razem się nie spisał. Obiecał, że w przyszłości urządzimy huczne wesele z udziałem rodziny. Zgodziłam się, ale znasz już Ryana na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy do tego nie doszło.

Mieliśmy niewielu przyjaciół, z biegiem lat nasz krąg znajomych coraz bardziej się kurczył i z czasem jedyną osobą, z którą utrzymywaliśmy regularne kontakty, pozostał James Black. Przyjeżdżaliśmy do niego i godzinami pastwiliśmy się nad okropnymi filmami, które ostatnio wchodziły do kin.

Któregoś razu Ryan skierował rozmowę na *Wspaniałe wczorajsze życie*; akurat jedliśmy kolację na ganku. Black wygłosił jedną z tych swoich sentencji, które zostają na zawsze w pamięci:

– Dobry scenariusz filmowy musi ekscytować cię do tego stopnia, że nienapisanie go kosztowałoby cię życie - powiedział, unosząc kieliszek z winem. – Powiem więcej: za napisanie dobrego scenariusza filmowego także powinno się zapłacić życiem. Musisz umrzeć podczas pisania. Nie ma innego sposobu. Chodzi o napisanie filmu, za który byłbyś gotów umrzeć.

Przez całą kolację zastanawiałam się nad jego słowami. Wzniósłam za nie toast, ale nabrały dla mnie sensu dopiero kilka dni później. Tamtej nocy dostrzegłam

w spojrzeniu Blacka coś, co przypomniało mi o Jeffie i jego niespodziewanym odejściu z pracy. O tamtym filmie. Tak naprawdę odkąd poznałam Jamesa, coś mi się w nim nie podobało, ale chyba nauczyłam się z tym żyć. Nauczyłam się uśmiechać na jego widok i udawać radość, kiedy zabierał nas na hollywoodzkie przyjęcia i przedstawiał ludziom, którzy mogli załatwić nam jakieś zlecenie. Bo o to przecież chodziło, prawda? O udawanie. O udawanie, że jest się szczęśliwym i że odniosło się sukces. Filmowy światek roztaczał blask, bo wszyscy pucowaliśmy jego zbutwiałą powierzchnię szmatami utkanymi z naszego nieszczęścia. Podczas rozmów z aktorami, producentami czy reżyserami wystarczyło trochę podrażnić, by odkryć, że każdy z nich siedzi po uszy w gównie. Nawet słynny napis „Hollywood” na zboczu Mount Lee błyszczy tylko z daleka – oglądany z bliska okazuje się kupą brudnego, zardzewiałego żelastwa. Ironiczna metafora tego mrocznego świata.

W drodze powrotnej to ja prowadziłam samochód, jak zawsze, kiedy wracaliśmy od Blacka. Podczas kolacji próbowałam liczyć kieliszki wina, które wypijał Ryan, ale zrezygnowałam po dziesiątym. Plątał mu się język, był coraz bardziej rozochocony, rzucał prostackie komentarze, jego ręce poruszały się w zwolnionym tempie, zamykały mu się oczy.

– Ryane... nie powinieneś tyle pić. Robisz z siebie pośmiewisko – powiedziałam z nadzieją, że może następnym razem wieczór zakończy się inaczej. Jego odpowiedź była niczym bomba i rozsadziła mi serce.

– Dziwka nie będzie mi mówić, ile mam pić.

Tak, użył tego słowa.

Zawsze przykładalam ogromną wagę do słów. My, pisarze, szukamy słów, które najlepiej pasowałyby do określonej sytuacji, a Ryan zwykł dobierać je niezwykle starannie. To była jedyna rzecz, która nadal mi się w nim podobała. Gdzie się podział tamten dowcipny, romantyczny, czuły chłopak z początków naszej znajomości? Z pierwszych dni? Teraz wydaje mi się, że nigdy nie był taki, jak myślałam. Patrzyłam na niego oczami zakochanej dziewczyny. Przez długi czas usuwałam z pola widzenia jego błędy, jego raniące zachowanie. Tak, Ryan użył właśnie tego słowa. Był pijany, ale to żadne usprawiedliwienie. Nie powiedział: „Nie masz prawa mi mówić...” ani „Kobieta nie będzie mi mówić...”. Też poczułabym się urażona, ale nie aż tak bardzo. Powiedział „dziwka”. Nazwał mnie dziwką. Jego żona była dziwką.

Zacisnęłam palce na kierownicy i, żeby choć na moment uciec przed jego towarzystwem, zamknęłam oczy. Samochód pędził autostradą, czułam, jak drży, ślizgając się po asfalcie, słyszałam szum innych aut, przez moje powieki przenikały

pomarańczowe i czerwone błyski falujące w rytm jakiejś majestatycznej melodii. Prywatny koncert świateł, który mógł się w każdej chwili skończyć. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Czasami, kiedy rozpaczliwie chcesz zniknąć, twoje ciało samo znajduje drogę, która wydaje mu się najwłaściwsza. Pragnienie ucieczki przed problemami jest tak silne, że desperackie rozwiązanie jawi się jako jedyne możliwe. Podczas tamtego trwającego kilka sekund lotu, kiedy mój umysł czekał na cios, który wszystko zakończy (zderzenie czołowe, upadek w przepaść albo do morza), odkryłam jednak, że mimo kompletnych ciemności w moim życiu są rzeczy, które jaśnieją.

Ale kiedy otworzyłam oczy, było już za późno.

Spod zderzaka szorującego po barierce sypały się iskry rozświetlające przód samochodu. Gwałtownie skręciłam kierownicę w przeciwną stronę, uderzając w auto jadące sąsiednim pasem. Jechałam zygzakiem, żeby znów nie wyrznąć w barierkę ani w drugi samochód. Wreszcie udało mi się utrzymać prosto kierownicę i zahamować. Ryan, który po tym, jak nazwał mnie dziwką, odchylił się na fotelu i zasnął, krzyknął wystraszony, kiedy uderzyliśmy w niebieskiego forda z rejestracją z Nevady.

Przez godzinę staliśmy na poboczu. Podczas gdy ja wypełniałam dokumenty dla ubezpieczenia, pijany Ryan histeryzował z powodu tego, co się stało. Wyrznął głową w drzwi i rozciął sobie łuk brwiowy. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak pełna życia się czułam, kiedy podskoczyła mi adrenalina. Ryan powoli mnie zabijał, wysysał ze mnie radość i energię. Ta chwila, w której wszystko mogło się skończyć, była dla mnie nowym początkiem.

Po powrocie do domu nadal czułam w rękach wibrowanie kierownicy. Dłoń przeszył mi kłujący ból i zobaczyłam, że mam rozcięty nadgarstek. Krew poplamiała rękaw bluzki, ale wcale mnie to nie zmartwiło: dostałam ją na ostatnie urodziny od Ryana. On już wszedł na piętro i był teraz w sypialni. Od momentu wypadku nawet mnie nie zapytał, czy czegoś sobie nie zrobiłam.

Zostałam na dole, wpatrując się w rozcięty nadgarstek. W domu panowała cisza. Podeszłam do stojącego w salonie gigantycznego lustra, dwa na dwa metry, jedyne w domu, w którym mogłam przejrzeć się cała. Bolało mnie ramię, miałam na brodzie plamkę zaschniętej krwi – pewnie pobrudziłam się, dotykając twarzy – ale spodobałam się sobie, pierwszy raz od dawna. Miałam szczupłe nogi, sylwetkę biegaczki, pełne determinacji spojrzenie. Postanowiłam, że od tej pory wszystko będzie inaczej.

Przebiegam ciemny monumentalny salon. Nie potrzebowaliśmy takiego metrażu. Podeszłam do okna i wyjrzałam na ulicę. Mieszkaliśmy w dzielnicy, która miała

stać się najbardziej ekskluzywną częścią Los Angeles, tyle że wszystkie domy przy naszej ulicy nadal były puste.

I wtedy ją zobaczyłam.

Pod drzewem dwa domy dalej stała nieruchoma postać. Patrzyła w moją stronę. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Już miałam zawołać Ryana, uprzytomniłam sobie jednak, że jest zbyt pijany, by cokolwiek zrobić. Wytężyłam wzrok, ale ciemność rozjaśniał jedynie blask księżyca, nie widziałam nic poza czarną plamą na chodniku. Pomyślałam, że może to wcale nie człowiek, a gra cieni, które ułożyły się w ludzką sylwetkę, ale wtedy postać zrobiła coś, co zmroziło mi krew w żyłach. Uniosła dłoń w geście powitania.

Przez chwilę, stojąc z ręką w górze, czekała na moją reakcję. Nagle usłyszałam głos Ryana, który krzyczał do mnie z sypialni:

– Kurwa, przyjdiesz wreszcie do łóżka?

Westchnęłam, na moment zamykając oczy. Kiedy je otworzyłam, postać zniknęła.

ROZDZIAŁ 32

James Black

Nieprawdopodobny scenariusz

1975

James znieruchomiał w progu na widok Pauli czekającej w jego pokoju.

– Pani Hicks! – zawołał ze zdumieniem. Zreflektował się, że nie powinien tak krzyczeć, wszedł do środka i zamknął drzwi, licząc na to, że nikt go nie słyszał. – To szaleństwo! Jeśli ktoś tu panią zobaczy, wyrzucą panią z pracy!

Paula wstała z łóżka i podeszła do Jamesa. Zastygł w bezruchu, nie wiedząc, co robić.

– Powinieneś być na mnie zaczekać – wyszeptała. – Mężczyzna zawsze powinien czekać tyle, ile potrzeba, na kobietę, z którą się umówił.

James zauważył, że Paula ma zaczerwienione oczy, jakby niedawno płakała.

– Ja... ja przepraszam. Czekałem na panią... przysięgam. Czekałem ponad pół godziny. Myślałem, że pani nie przyjdzie... Przysięgam, że na panią czekałem.

– Nie nazywaj mnie panią. Kiedy tak do mnie mówisz, czuję się... daleka. Czuję się samotna.

– Przepraszam... ja... pani... to znaczy ty... – James przekonał się, że trudno mu spełnić jej prośbę. – Paulo... czego ty ode mnie chcesz?

Kobieta przełknęła ślinę, przeciągając dłonią po włosach. Wiedziała, że jest bliska przekroczenia niebezpiecznej granicy, zza której nie będzie już powrotu. Wiedziała, że będzie po niej, jeżeli znów rzuci się w przepaść, choćby tylko dla rozrywki, dla dreszczyku emocji towarzyszącemu świadomości, że robi coś zakazanego. Wiedziała, że trudno jej będzie powstrzymać się przed tym, co może stać się później, jeżeli pocałuje go tu, w tym pokoju, w którym znaleźli się sam na sam.

I właśnie dlatego to zrobiła.

Przyparła go do drzwi, jej wargi przerwały cienką nić dzielącą problem od błędu. Ku swojemu zdziwieniu zamknęła oczy i pomyślała o mężu, o smaku jego ust, ciepłe jego ciała, wybrzuszeniu między jego nogami.

To był pierwszy raz Jamesa. O niczym nie myślał, pieścił gładką skórę Pauli,

nieśmiało, niezdarnie, drżącymi palcami. Ona czuła się tak jak wtedy, gdy pierwszy raz kochała się ze swoim mężem – pieszczoty chłopaka przypominały jej obcowanie z Ianem. Chwilami wydawało jej się, że on żyje, że jest przy niej.

Mogła ograniczyć się do tego jednego razu.

Mogła zadowolić się tym, że zdołała wskrzesić wspomnienie zmarłego męża.

Mogła zakończyć to w każdej chwili, nie dopuścić, żeby się powtórzyło.

Ale tak się nie stało.

Tamto zbliżenie – zdenerwowanie Jamesa, rozmazany od płaczu makijaż Pauli, jęki, ugryzienia, drżące z podniecenia serca – było pierwszym z wielu. Niewinny pocałunek w samochodzie po wyjściu z ciemnej sali podziemnego kina okazał się zapowiedzią romansu, który rozpoczął się tamtej nocy, kiedy Paula potrzebowała znów poczuć się kochaną, i niczym śmiertcionośny wirus szalał przez kolejne miesiące.

W ciągu tygodnia James był wzorowym studentem, który siadał w pierwszym rzędzie, odpowiadał na wszystkie pytania wykładowców i zaskakiwał kolegów swoją kreatywnością. Paula prowadziła zajęcia w poniedziałki, wtorki i czwartki, w pozostałe dni miała konsultacje. Chłopak często zaglądał do jej gabinetu i rozmawiali o najróżniejszych rzeczach, wciąż jednak miał w pamięci to, co wydarzyło się tamtej nocy. Jej zaś od czasu do czasu przychodziło do głowy, że najrozsądniej byłoby porzucić ten chwilowy kaprys i trzymać się z daleka od Jamesa. Ale ich zażarte dyskusje o kinie i scenariuszach wydawały jej się nieszkodliwe. Z czasem jednak niewinne komentarze przeszły w intymne zwierzenia, a intymne zwierzenia we wzajemną troskę. Człowiek nie ma wpływu na to, kiedy, jak ani w kim się zakochuje.

Paula opowiadała Jamesowi o swoim życiu: o śmierci męża, o dzieciach, o tym, że w którymś momencie zaczęła kwestionować każdą swoją decyzję. Przez dłuższy czas nic się nie działo, żadne z nich nie wspominało o tamtej nocy w pokoju Jamesa. Rozmawiali o błażych sprawach, o kinie, o pomysłach rodzących się w głowie chłopaka. To właśnie podczas jednej z tych rozmów stało się to, co było nieuniknione.

James wpadł podniecony do gabinetu wykładowczyni: miał już pomysł na film przedstawiający różne odcienie miłości. Pracował w tajemnicy nad scenariuszem. Była to historia kobiety, która doświadcza wszystkich rodzajów miłości, a na końcu odkrywa, że mąż zamordował jej dzieci i kochanka, z którym zamierzała uciec. James wręczył Pauli gotowy tekst i w napięciu czekał, aż skończy czytać. Kiedy dwie godziny później odłożyła kartki na biurko, po jej policzku spłynęła łza. James wpatrywał się w nią zniecierpliwiony. Chciał poznać jej zdanie.

– James, ta historia jest... – zawahała się, szukając przymiotnika, który oddałby to, co czuje – ...wspaniała. Ta historia jest wspaniała...

Uszczęśliwiony chłopak zamknął oczy i czekał na dalszy ciąg.

– ...ale nieprawdopodobna. Nigdy by się nie wydarzyła. Jest niewiarygodna. Niemożliwe, żeby ktokolwiek doświadczył tych wszystkich rodzajów miłości. Poza tym wymieszanie ich w filmie rozmyłoby przesłanie. Zmniejszyłoby jego moc. Wyobraź sobie, że czytasz książkę i że ta książka łączy w sobie zagadkę, opowieść o miłości i stracie, o rodzinie, o braku zaufania, o kinie, suspens, strach, element zaskoczenia i co tam jeszcze chcesz. Tyle wątków, że trudno wyłowić z nich jasne przesłanie. Nie da się skompilować takiej liczby elementów. Fascynująca historia, która łączyłaby w sobie wszystkie rodzaje miłości, jest nieprawdopodobna.

James przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Wreszcie odpowiedział z przekonaniem:

– Paulo... ty łączysz w sobie wszystkie rodzaje miłości. Wszystkie te elementy, wszystkie te uczucia. A do tego mnie fascynujesz.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się.

W głębi duszy miała nadzieję, że James nie pójdzie tą drogą, ale zanim zdążyła wycofać się ze swojego pytania, chłopak odpowiedział:

– To, co słyszysz, Paulo. Masz w sobie wszystkie rodzaje miłości. Miłość idealną, którą darzysz swojego męża; miłość bezwarunkową, którą darzysz swoje dzieci; miłość wędnącą, którą darzysz samą siebie; miłość zakazaną, którą darzysz mnie; miłość namiętą, którą darzę cię ja. To nie wszystko, bo jest też suspens: kiedy dojdzie między nami do czegoś więcej, strach, że ktoś zobaczy, jak się całujemy, zagadka, bo tak naprawdę nigdy nie wiem, co czujesz.

Paula wpatrywała się w niego zdumiona. James, który do tej pory hamował buzującą w nim namiętność, objął ją mocno w tali, przycisnął do regału wypełnionego książkami o kinie i pocałował. Kochali się pośród prac napisanych przez studentów, w tym także przez Jamesa. Kiedy skończyli, żadne z nich nie przeprosiło za to, co się stało.

Gabinet Pauli mieścił się na jednym z górnych pięter Melnitz Hall, na końcu rzadko uczęszczanego korytarza. Dogodna lokalizacja sprzyjała ukradkowym spotkaniom, coraz częstszym i coraz bardziej namiętym. Zapomnieli o strachu przed tym, że ktoś ich nakryje, przed konsekwencjami w postaci zwolnienia z pracy czy wyrzucenia ze studiów. Spotykali się już nie tylko na kampusie, ale też w kawiarniach i kinach w centrum miasta. Któregoś popołudnia Paula czekała na Jamesa szczególnie niecierpliwie. Kiedy po wejściu do gabinetu pocałował ją na powitanie, rzuciła:

- Mam coś dla ciebie.
- Jak to? Nie musisz mi robić prezentów.
- Będę szczęśliwa, jeśli komuś się to przyda.
- Ależ Paulo... nie... nie trzeba.
- Jest tutaj – powiedziała, wskazując zieloną plastikową walizkę.

James przysunął się do Pauli, przytulił ją i pocałował.

- Co to takiego? Oszalałaś? Niczego nie potrzebuję.

– Owszem, potrzebujesz jednej rzeczy – odparła z szerokim uśmiechem. – Bez niej będziesz nikim.

James pochylił się i przeciągnął dłonią po kancie walizki. Przeczytał szeptem zdanie wygrawerowane na metalowej plakietce: „Ty i ja zawsze będziemy rozbieleni”.

- Należała do lana, mojego męża.

Na moment wstrzymał oddech, po czym rzucił się do otwierania metalowych zamków. Kiedy podniósł wieko, skamieniał: w środku znajdowała się kamera Arriflex 35. Paula przyglądała mu się z walącym sercem.

– Kupił ją dwa lata przed śmiercią – dodała. – Mówił, że któregoś dnia nakręci film. Nie zdążył. Umarł. Chcę, żebyś ty ją miał. Chcę, żeby James Black został reżyserem. Będziesz świetny.

- Paulo, ja... nie... nie mogę jej przyjąć...

- Mam tylko jeden warunek.

James wstał. Nie wiedział, jak dziękować jej za ten prezent.

- Co tylko zechcesz.
- Zagram w twoim filmie.

ROZDZIAŁ 33

Ryan

Drobne kłamstewka

26 września 2015

– Jak to była tu ubiegłej nocy?! – wykrzyknąłem.

Myślałem, że eksploduje mi serce. Potrzebowałem odpowiedzi. Bo jeżeli to prawda, sprawa wkrótce się wyjaśni. Miranda ma się dobrze, lada moment pojawi się w domu. Ale... czy mogłem polegać na tym, co mówił James? Szwankował mu umysł. Od ubiegłej nocy, kiedy stracił rozum, bo nie mógł znaleźć swojego filmu, miałem wrażenie, że wielki James Black stacza się w otchłań otepienia.

– No tak, wczoraj. Siedziała w tym samym miejscu co teraz ty. Była... – Przez chwilę się zastanawiał. – Była jakaś inna.

– Co ty, do licha, wygadujesz?

Nie wiedziałem, czy powinienem mu wierzyć, ale szczerze mówiąc, brzmiał przekonująco. Zresztą po co by mnie okłamywał? To nie miałyby sensu.

– Zagroziła, że o wszystkim powie. Wie o Pauli. Nie pytaj mnie skąd, ale wie. O jej śmierci... o naszym romansie... Jestem... skończony.

– Wczoraj? Była tu zeszłej nocy?

Jeśli mam być szczerzy, nie obchodziły mnie obawy Blacka o to, że jego wizerunek ucierpi, kiedy do prasy przeciekną informacje o jego romansie z Paulą Hicks. Zresztą wcale nie było powiedziane, że ta sprawa mu zaszkodzi. Mroczna przeszłość i gwałtowna śmierć to elementy biografii wielu największych geniuszy naszej planety.

– Nie... nie wiem. Chyba tak.

– James, przyjacielu, posłuchaj mnie. To ważne. Kiedy ostatni raz widziałeś Mirandę?

– Przyszła wczoraj. Tak, wczoraj. Była bardzo rozgniewana, powiedziała, że ukrywam niektóre sprawy i chronię cię, żeby nie wyszły na jaw twoje. Ja cię przed niczym nie chronię. Ty jesteś czysty jak łąza. Widzę to w twoich oczach. Dobry z ciebie człowiek, Rynie. Niby jakie informacje na twój temat miałbym ukrywać?

Nie umiałbym tego wytłumaczyć, ale coś raziło mnie w jego sposobie mówienia.

– James, jesteś pewien?

– Oczywiście. Miała na sobie żółtą suknię, tę samą co na przyjęciu kilka miesięcy temu. Ależ ona w niej wygląda! Przepięknie.

– Co? Jak to żółtą suknię?

– Wiesz, że zawsze uważałem Mirandę za chodzący ideał, prawda? Inteligentna, niezależna, atrakcyjna. Łączy w sobie trzy cechy, których zawsze szukałem u kobiety.

Jego słowa zmroziły mi krew w żyłach i sprawiły, że brutalnie zderzyłem się z rzeczywistością. Od razu je rozpoznałem. Inteligentna, niezależna, atrakcyjna. To samo powiedział mi dwa dni wcześniej, kiedy przed wyjazdem do Hidden Springs zajrzałem do Steak Yorku. Te słowa w połączeniu ze wzmianką o żółtej sukni Mirandy otworzyły mi oczy. Zrozumiałem, że z głową Blacka rzeczywiście jest coś nie tak: zaczął mieszać wspomnienia. Od kiedy to się działo?

Nieraz myślałem, że James Black na starość staje się dziwakiem, alternatywnym geniuszem, on tymczasem tracił zmysły. Przypomniałem sobie, jak w zeszłym roku Mandy kazała mi przyjechać, bo spacerował nago po osiedlu. Kiedy zaprowadziłem go do domu i zapytałem, co, do diabła, wyprawia, odpowiedział:

– Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza! Ty też powinienes od czasu do czasu tego spróbować.

Kiedy indziej postanowił pozbyć się wszystkich mebli, twierdząc, że przeszkadzają mu w chodzeniu po domu, a dwa dni później kazał Mandy je odkupić. Traktowałem te dziwactwa jak zabawę, przejaw wyrazistej, charyzmatycznej osobowości kryjącej się za okularami w grubych oprawkach, okazało się jednak, że James powoli odpływał i tracił rozum.

Nie mógł widzieć Mirandy w żółtej sukni. Doskonale ją pamiętałem, jak również to, co się z nią stało.

To było po tamtym przyjęciu z producentami, na którym przeleciałem Mandy. Przez całą drogę do domu milczeliśmy. Włączyliśmy radio, jedną z tych stacji puszczających jazz, które wypełniają ciszę i chronią przed krępującą rozmową. Nie wiedziałem, jak ją zagaić i jak odeprzeć nieco rozmazane wspomnienie skóry Mandy, które uporczywie wracało w mojej pamięci.

– Było fajnie – rzuciłem, odkładając klucze na metalową tackę przy wejściu.

Miranda nie odpowiedziała. Minęła mnie jak duch. Podeszła do kanapy, zrzucając buty.

– Coś nie tak? – zapytałem.

Z jednej strony modliłem się, żeby nie wspomniała o Mandy, żeby niczego się nie domyśliła. Z drugiej zaś wychodziła na wierzch moja „paskudna natura”, którą

często wyrzucała mi Miranda podczas naszych kłótni: nadal byłem wściekły, bo dała mi odczuć, że nie jestem nic wart.

Ona jednak znowu mnie olała. Poszła do kuchni, otworzyła chłodziarkę z winami i ku mojemu zdziwieniu wyjęła butelkę chateau latour, rocznik 1984. Znieruchomiałem. Trzymaliśmy je od lat w oczekiwaniu na moment, w którym będziemy mogli uczcić podpisanie jakiegoś dużego projektu. Po wysłaniu scenariusza kolejnemu producentowi podchodziliśmy do lodówki, która utrzymywała je w idealnej temperaturze, spoglądaliśmy na nie z nadzieją i dwukrotnie stukaliśmy obręczkami w szybę. Ten rytuał miał nam przynieść szczęście, wydawało się, że łączy nas wspólny cel. Dlatego przeszedł mnie dreszcz, kiedy zobaczyłem, jak nonszalancko wyciąga butelkę i wbija w nią korkociąg.

– Co robisz?! – krzyknąłem, biegnąc do kuchni. – Zwariowałaś?

Kiedy próbowałem wyrwać jej butelkę, poczułem, że mocno ściska ją lewą dłonią. Nawet na mnie nie spojrzała. Nie widziałem jej twarzy zasłoniętej rudymi włosami, ale domyśliłem się, że płacze.

– Najwyższy czas uczcić nadchodzące zmiany – szepnęła.

Była na mnie zła, ale wątpiłem, żeby się zorientowała, co zaszło między mną i Mandy.

– O co ci chodzi? Odbiło ci? Oddaj mi tę butelkę.

Wtedy niespodziewanie odwróciła się w moją stronę i zobaczyłem jej ciemne oczy, smutne, załzawione. Rozmazał jej się tusz, bezsilnie zaciskała wargi.

– To też chcesz mi odebrać? Nie wystarczy ci, że zabrałeś mi wszystko inne?

– Chyba za dużo wypijaś na przyjęciu – powiedziałem. – Oddaj mi tę butelkę. Jest warta dobrych kilka tysięcy.

Odwróciła się i przekręciła korkociąg.

– Zostaw ją! – krzyknąłem.

Nie wiem, jak to się stało.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Chwilę później ze zdumieniem odkryłem, że Miranda patrzy na mnie wystraszona z podłogi. Z jej wargi ciekła krew, żółta suknia była rozdarta na piersi, odsłaniała miseczkę czarnego stanika.

– Nie... ja... Mirando...

To spojrzenie. Wystarczy, że zamknę oczy, a znów je widzę, jej oczy mówią mi, jakim jestem łajdakiem.

Bez słowa podniosła się z podłogi. Odepchnęła moją dłoń, kiedy chciałem jej dotknąć, żeby ją przeprosić.

– Ani się waż.

Poszła do sypialni. Rano odkryłem w koszu na śmieci żółtą suknię, którą podarłem poprzedniej nocy. Wieczorem sam wrzuciłem worek do kontenera.

James Black wpatrywał się we mnie poruszony, czekając, aż wyjaśnię, dlaczego się myli, dlaczego Miranda nie mogła mieć na sobie żółtej sukni. Chciałem mu powiedzieć, że może czas skorzystać z pomocy specjalisty, żeby spowolnić bezlitosne postępy demencji, ale nie byłem w stanie tego zrobić. Nie umiałem wbić mu noża w plecy w takim momencie. Rozległ się dzwonek mojej komórki, James wskazał mi ruchem dłoni, żebym się nim nie przejmował i odebrał. Kiedy zobaczyłem, kto dzwoni, wstałem i poszedłem do kuchni, żeby nie słyszał mojej rozmowy.

– Pan Huff? Mówi inspektor Sallinger.

– Tak? Czy coś się stało? Są jakieś nowe wiadomości?

– Śledztwo jest w toku. Nie mogę zdradzić panu nic więcej. Dzwonię, żeby powiedzieć, że przekazaliśmy informację o zaginięciu pańskiej żony policji w innych stanach.

– To dobrze?

– Poszerzymy zakres poszukiwań.

– Czyli dobrze, prawda?

– Tak, oczywiście. Chociaż większy zakres poszukiwań oznacza większy rozgłos. Co też jest dobre. W poszukiwania pańskiej żony włączy się mnóstwo ludzi. To zawsze pomaga. Czy nam się to podoba, czy nie, okazuje się, że jest cała rzesza osób o dobrych sercach, z masą wolnego czasu. Żyjemy w społeczeństwie, które angażuje się w takie sprawy, znajdziemy Mirandę, zapewniam pana.

Poczułem dreszcz na myśl, że zdjęcie mojej żony pojawi się w wiadomościach wszystkich stacji. Wyobraziłem sobie jej twarz na słupach telefonicznych i kartonach z mlekiem. Za chwilę oczy Mirandy będą mnie śledzić z każdego miejsca; gdziekolwiek pójdę, natknę się na jej oskarżycielskie spojrzenie mówiące: „To ty”.

– Dziękuję pani.

– Jeszcze jedno, panie Huff.

-Tak?

– Rozmawialiśmy z Jeremim Morganem, pańskim przyjacielem.

Zdębiałem. Nie powiedziałem jej prawdy. Nie myślałem, że tak szybko się z nim skontaktuje i odkryje, że chodzi o naszego terapeutę. Nagle sam poczułem się jak główny podejrzany w sprawie o zniknięcie mojej żony. Małżeństwo w stanie rozpadu, zdrada, monstrualny kredyt nie do spłacenia... Brakowało tylko polisy na życie wykupionej dla Mirandy na dzień przed jej zniknięciem, której byłbym

jedynym beneficjentem.

– Proszę posłuchać... ja... – próbowałem uprzedzić atak. – Pomagał nam, mnie i Mirandzie...

– Bardzo sympatyczny człowiek. Wie pan co? Kiedy skończyliśmy rozmawiać, długo się zastanawiałam, skąd go znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć.

Oślupiałem. Inspektor Sallinger zna doktora Morgana?

– Wreszcie go skojarzyłam. Drobne kłamstewka.

– Drobne kłamstewka?

– Ten serial. *Drobne kłamstewka*. W końcu przypomniałam sobie, skąd znam pańskiego przyjaciela. To barman!

– O czym pani mówi?

– Niech pan nie udaje! Pański przyjaciel gra barmana w *Drobnym kłamstewkach*. Uwielbiam ten serial. Każdy z bohaterów coś ukrywa. Fakt, to drugoplanowa rola, ale facet ma talent. Zajdzie daleko. Na pewno.

– Nie... nie wierzę.

– Może to nie jest najbardziej popularny serial świata, ale ja oglądam każdy odcinek. No nic, do rzeczy. Wszystko w porządku. Jeremie Morgan potwierdził, że się przyjaźnicie i często rozmawiacie przez telefon.

Zacząłem czuć się nieswojo. Doktor Morgan był aktorem? Nie mogłem w to uwierzyć. Musiała zajść jakaś pomyłka. Zajrzałem do salonu: Black nadal siedział w fotelu, bawił się pilotem i szeptał coś do ekranu. To, co mówiła inspektor Sallinger, nie trzymało się kupy. Chodziliśmy do doktora Morgana od jakichś dwóch miesięcy, z czasem zapamiętałem wszystkie tytuły widniejące na dyplomach, które wisiały w jego gabinecie. Chociaż brzmiało to absurdalnie, przemknęło mi przez myśl, że może w wolnym czasie – między jednym pacjentem a drugim – dorabia jako aktor. Ale po co absolwent Harvardu, Cambridge i Uniwersytetu Nowojorskiego, który bierze trzysta dolarów za godzinę terapii, miałby grać drugoplanową rolę w niskobudżetowym serialu? Coś mi tu nie pasowało, ale nie miałem pojęcia co.

Nagle doznałem olśnienia. A co jeżeli doktor Morgan miał związek ze zniknięciem Mirandy? Tak! Na pewno! To on zaproponował, żebyśmy spędzili weekend w lesie, on jako jedyny wiedział, gdzie będziemy. Przypomniałem sobie, że chyba nawet sam polecił nam Hidden Springs. Że niby to ładna okolica, odpowiednio blisko i odpowiednio na odludziu. „To miejsce odpowiednie pod każdym względem”, stwierdził. Jego słowa wryły mi się w pamięć.

– Pani inspektor? – odezwałem się poważnym tonem, jakiego zwykle nie używam.

Szykowałem się do skoku bez spadochronu.

-Tak?

Przez chwilę się wahałem, waliło mi serce.

– Panie Huff?

Zrozumiałem, że kiedy to powiem, wszystko się zmieni, ale doszedłem do momentu, w którym zależało mi już tylko na odnalezieniu Mirandy.

– Nie powiedziałem pani całej prawdy.

ROZDZIAŁ 34

Miranda

Strach i zemsta

Wspomnienie tamtej mrocznej postaci dręczyło mnie jeszcze przez następnych kilka dni, mimo to nie powiedziałam o niczym Ryanowi. Zaczęłam wątpić w nasz związek, w to, czy stworzymy dobraną parę. Byliśmy na siebie skazani z powodu domu, związani kredytem hipotecznym, zresztą jeśli mam być szczerą, bałam się, że popełnię błąd. Co bym bez niego zrobiła? Naprawdę byłam gotowa odejść i wszystko przekreślić? Zastanawiałam się, kiedy przestałam go kochać, ale nie potrafiłam wskazać momentu, w którym nasza młodzieńcza miłość prysła, zamieniła się w partnerską czułość, a z czasem w obojętność. Fakt: spędzaliśmy razem dużo czasu – łączył nas zawód - i bardzo się wspieraliśmy. Ja pisałam scenariusze do reklam, on do krótkometrażówek i filmów, które nigdy nie doczekały się realizacji. Często pracowaliśmy razem, wymienialiśmy się pomysłami. Od czasu do czasu Ryan podrzucał mi jakieś oryginalne zdanie do reklamy proszku do prania czy czegoś tam, co akurat miałam na tapecie.

Przez kolejny tydzień starałam się go unikać. Wychodziłam wcześniej do agencji, podczas gdy on spędzał całe dni na oglądaniu filmów. Twierdził, że pracuje nad scenariuszem jakiegoś absurdalnego serialu, który ma w głowie, ale wiedziałam, że to nieprawda. Wykorzystałam umowę z agencją, żeby się od niego odsunąć i przemyśleć sobie kilka spraw. Nie miałam ustalonych godzin pracy, płacono mi od tekstu, dlatego kiedy kończyłam pisanie, szłam do Starbucksa i czytałam scenariusze filmowe, żeby nie spędzać czasu z Ryanem. W ten sposób zwiększałam dzielący nas dystans.

Któregoś dnia przesiedziałam całe popołudnie nad hiszpańskim scenariuszem *Otwórz oczy*; porównywałam go z jego remakiem – *Vanilla Sky*. Pierwowzór jest zdecydowanie lepszy. Kiedy popijając duże waniliowe latte, podkreślałam dialog, który szczególnie mi się spodobał, do kawiarni weszła dziewczyna o jasnych włosach, niemal tak białych jak mleko. Wyglądała znajomo. Próbowałam sobie przypomnieć, skąd ją kojarzę, gdy ku mojemu zaskoczeniu odwróciła głowę i wbiła we mnie spojrzenie. Podeszła do mojego stolika, jak gdyby nigdy nic usiadła

w zielonym fotelu, po czym odezwała się słodkim głosem:

– Cieszę się, że znowu cię widzę, Mirando.

Czułeś kiedyś coś takiego?

Kojarzysz tę iskrę, która rozbłyska pośród kompletnych ciemności, która zapala ci się w żołądku i, biegnąc po całym ciele, szuka drogi, gubi się w mrocznych zakamarkach, aż w końcu elektryzuje ci opuszki palców?

Tego właśnie doświadczyłam, kiedy się do mnie odezwała.

Była szczupła – mniej więcej tak jak ja. Białe włosy do ramion okalały symetryczną twarz. Jej jasne, żywe oczy spoglądały na mnie tak, jakby broniły fortecy.

– Znam cię? – zapytałam.

Gdzieś już ją widziałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć gdzie.

– Nie tak dobrze jak ja ciebie.

– Kim jesteś?

– Nie pamiętasz, prawda?

– Wybacz, ale w tym momencie nie...

– Jestem Anne.

– Anne?

Jej imię odbiło się echem w mojej głowie. Anne. Cztery litery, w tym trzy różne, dwie samogłoski, nowe życie.

– Wybacz, ale nie...

– Poznałaś mojego ojca.

– Twojego ojca?

– Jeffa Hardy'ego.

– To chyba pomył...

– Dozorcę z UCLA.

Znieruchomiałam. Zatkąło mnie ze zdumienia. To była ona. Wspomnienia połączyły się w mojej głowie niczym kadry filmu sklezione w montażowni: Jeff oprowadzający nas po sali kinowej, zakładający taśmę na projektor, zaniepokojony pojawieniem się Blacka, jego domek, dziewczyna, która przyszła zabrać jego rzeczy i wyrzuciła nas za drzwi. To była ona, na pewno. Anne była córką Jeffa. Wtedy miała ciemne, niemal czarne włosy, a włosy kobiety siedzącej naprzeciwko mnie były jasne, prawie białe. Ale nie miałam wątpliwości, że to ona. Z jej spojrzenia biła ta sama siła. Ta sama bojowość co wtedy, gdy nakryła nas w domku Jeffa.

– Teraz kojarzysz? Jeff to nasz przybrany ojciec. Długa, smutna historia.

W milczeniu skinęłam głową. Anne rozbudziła moją ciekawość, nie wiedziałam,

czego mam się spodziewać.

– Posłuchaj mnie, Mirando – powiedziała. W jej łagodnym, lekko ochrypłym głosie pobrzmiwał smutek. – Czegoś od ciebie chcę. Tylko jednej rzeczy. Wiem, że pewnie trudno ci to zrozumieć, ale potrzebuję twojej pomocy. Jesteś jedyną osobą, która może uczynić zadość sprawiedliwości.

– Sprawiedliwości? Nie... nie wiem, jak miałabym ci pomóc, Anne. To nie jest dla mnie najlepszy moment.

Dlatego szukałam schronienia w tej kawiarni. Spędzałam w niej kilka godzin dziennie na czytaniu scenariuszy, nieodbieraniu telefonu i popijaniu słodkiej kawy. Bardzo słodkiej. Moje życie było wystarczająco gorzkie.

– Mirando. – Anne przechyliła się nad stołem i ujęła moją dłoń. – Chcę, żebyś odzyskała coś, co ma James Black.

– James Black?

– Wiem, że się przyjaźnicie. Widziałam was u niego na ganku. Mam świadomość, że to brzmi niedorzecznie.

– To ty.

– Co?

– To ty w zeszłym tygodniu stałaś w nocy przed moim domem.

Anne skinęła głową.

– Obserwowałam cię z daleka, kiedy jedliście kolację na ganku w domu Blacka. Wyglądałaś na nieszczęśliwą. Jakbyś nie miała ochoty tam być. Dlatego pomyślałam, że może mogłabyś nam pomóc.

– Dlaczego uważasz, że jestem nieszczęśliwa?

– Nie udawaj. Wystarczyło zobaczyć, jak twój mąż wymachuje rękami, jak opróżnia kolejne kieliszki, jak się przy nim zachowujesz... Od razu było widać, że się go boisz. Chciałam się upewnić, że dotarłaś bezpiecznie do domu i że nie zrobił ci po pijaku krzywdy. Nie byłabyś pierwsza.

Odsłoniła przedramię, zobaczyłam bliznę ciągnącą się od nadgarstka aż po łokieć.

– Rana ocalałej. Przerwij to, zanim też się takiej dorobisz.

– Ryan nigdy mnie... – Urwałam w połowie zdania.

Odniosłam wrażenie, że nie chce mnie słuchać. Jakby dobrze wiedziała, co jej powiem. Może dlatego, że sama w podobny sposób wielokrotnie usprawiedliwiała tego, kto zostawił jej tę bliznę.

– Łatwo jest rozpoznać z daleka mężczyzn takich jak Ryan, kiedy miało się okazję poznać z bliska jednego z nich. Ale może się myłę. Chociaż to byłby pierwszy raz.

Przełknęłam ślinę. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy słuchałam tych zarzutów pod adresem Ryana.

– Posłuchaj, Mirando: James Black nie jest geniuszem, za takiego wszyscy go uważają. Wiem, że się przyjaźnicie, ale... – powiedziała ściszym głosem, rozglądając się na boki.

– Ale co?

– Ale nie można kryć mordercy – zawyrokowała szeptem.

– Jakiego mordercy? O czym ty mówisz?

– Mój ojciec zasługuje na to, by sprawcę tego, co spotkało jego i moją matkę, dosięgła sprawiedliwość. On umiera. Jest w kiepskim stanie, dlatego się tu zjawiam.

– Wybacz, Anne, ale najpierw muszę się dowiedzieć, o co chodzi. Nic z tego nie rozumiem. James Black...

Chciałam powiedzieć, że to porządny gość, ale ugryzłam się w język. Ryan tak często powtarzał to zdanie, że w końcu wbił mi je do głowy, ale ja sama już od dawna tak nie myślałam. Dlaczego? Nie wiem. Nie zaprzeczę: James był dla mnie miły. Po prostu nie czułam jego bliskości. Opowiadał o sobie, chowając się za tarczą, a kiedy pytaliśmy go o początki jego filmowej kariery, zbywał nas ogólnikami.

– James Black zabił moją matkę – przerwała moje rozmyślenia. – Zabił moją matkę i zniszczył życie mojemu ojcu.

Powiedziała „zabił”. Właśnie tego słowa użyła. „Zabił”. Nie „zrujnował”, nie „skazał”, nie „zostawił”. Do głębi mną wstrząsnęła. Mogłam jej nie uwierzyć. Mogłam odwołać się do logiki, do wieloletniej przyjaźni z Blackiem, do pomocy, której co rusz nam udzielał. Ale nie potrafiłam. Intensywne spojrzenie Anne i cienka wilgotna powłoka, która stopniowo pokrywała jej jasne oczy, a wreszcie rozprysła się w postaci pojedynczej, smutnej łzy, sprawiły, że jeszcze zanim kropla spłynęła po jej twarzy, runął cały mój świat.

Uwierzyłam. Kiedy łza skapywała na jej dzinsy, postanowiłam uwierzyć Anne; kiedy wsiąknęła w materiał, James Black był już dla mnie mordercą. Nie zaprzeczę, że ta myśl sprawiła mi ból, ale jednocześnie poczułam obrzydzenie, przypomniawszy sobie, ile razy ścisnęłam go na pożegnanie, ile razy śmiałam się z jego żartów, ile razy emocjonowałam się jego filmami. Pomyślałam, że zwymiotuję, kiedy przed oczami stanęła mi jego twarz.

– Mirando, nie prosiłabym cię o to, gdybym nie sądziła, że jesteś jedyną osobą, która może nam pomóc.

– Nam? Ktoś jeszcze o tym wie?

– Ja i mój brat. No i ojciec, który przez całe życie walczy, żeby świat dowiedział się prawdy, ale on już... – Urwała.

Wstała i wskazała ręką okno, przy którym siedziałyśmy.

– Czeka na zewnątrz.

Wyjrzałam przez szybę i znów to poczułam. Iskrę. Pałący ogień, który buchnął w moim żołądku. Dlaczego Ryan ukradł mi to odczucie? Na zewnątrz stał mężczyzna w dżinsach, koszuli i niebieskiej budrysówce; opierał się o maskę samochodu i wbijał we mnie spojrzenie. Miał oczy identyczne jak Anne: tak niebieskie, że chciało się w nich popływać.

Widać było, że są rodzeństwem. Mieli podobne rysy twarzy, nosy, łuki brwiowe, kształt i grubość warg. Oboje byli bardzo atrakcyjni. Kiedy Anne zaczęła machać ręką, mężczyzna podszedł do drzwi kawiarni.

Miał poważny wyraz twarzy. Wyglądał elegancko, a jednocześnie niedbale. Zachowywał się tak, jakby ta w końcu niezwykle delikatna sprawa w ogóle go nie dotyczyła. To pierwsze wrażenie okazało się jednak złudne. On to wszystko wymyślił. Pomysł, by dokonać zemsty na Blacku, zrodził się w jego głowie, chociaż ostateczny plan – plan, który miał wszystko zmienić – powstał w mojej. Mężczyzna wszedł do kawiarni, przysiadł na poręczu fotela, który zajmowała jego siostra, wyciągnął rękę i powiedział:

– Ty musisz być Miranda.

ROZDZIAŁ 35

Mandy

Cios nożem

Dzień po zaginięciu

Mandy wróciła do domu dopiero późnym rankiem. Miała za sobą długą noc spędzoną w fotelu w sypialni Blacka. Kiedy zasnął po epizodzie w piwnicy, czuwała przy nim, od czasu do czasu wstając, żeby poprawić mu koc.

Wynajmowała niewielką kawalerkę niedaleko domu Jamesa; to on opłacał jej czynsz. Na wyposażenie mieszkania składały się: lodówka, szara niewygodna kanapa, łóżko, biały stolik z małym płaskim telewizorem (sama go sobie kupiła) i regał, który z czasem wypełniła książkami. Mandy nie miała wielkich wymagań: nie dokupiła żadnych mebli, chociaż była asystentką Blacka już od wielu lat i przeczuwała, że to będzie jej praca na całe życie. Angażowała się w jego sprawy do tego stopnia, że nie przywiązywała wagi do własnych potrzeb.

Po powrocie do domu poszła prosto do łazienki i przejrzała się w lustrze: jej oczy były czerwone od płaczu. Przemyła je wodą, żeby złagodzić pieczenie.

Westchnęła.

Wysunęła rękę, pociągnęła za uchwyt z boku lustra, otwierając kryjącą się za szkłem szafkę. Obok kubka na szczoteczkę do zębów leżał test ciążowy, po który sięgnęła drżącą dłonią.

Spojrzała na niego z nadzieją, że wynik będzie inny. Nic z tego. Nadal pokazywał dwie kreski. Podobnie jak cztery inne testy, które zrobiła, odkąd się zorientowała, że spóźnia jej się okres. Nie musiała dokonywać obliczeń, żeby wiedzieć, kto jest ojcem. Zaspokajanie potrzeb Blacka pochłaniało jej tyle czasu, że nie pamiętała już, kiedy ostatnio uprawiała seks. Rekompensatą za to bezgraniczne oddanie były przyzwoita pensja, mieszkanie i nowe życie, które pozwoliło uciec jej od tego, które wiodła do tej pory. Przyjęcia, podróże, prezentacje, premiery. Dwa miesiące wcześniej na jednej z takich imprez (miała dopilnować, żeby James wrócił bezpiecznie do domu) popełniła niewybaczalny błąd.

Odkąd odkryła, że jest w ciąży, próbowała skontaktować się z Ryanem, ale nie odbierał od niej telefonu. W końcu zadzwoniła na jego domowy numer,

zdecydowana, żeby o wszystkim mu powiedzieć. Kiedy jednak włączyła się automatyczna sekretarka, ogarnęły ją wątpliwości.

– Ryanie... – zaczęła łamiącym się głosem. – Zadzwoń do mnie... to... to ważne. To... to nie jest sprawa na telefon... Jestem w... Po prostu do mnie zadzwoń, okej? Muszę z tobą porozmawiać.

Ale Ryan nie oddzwonił. Od tamtego telefonu minęły dwa tygodnie. Odezwał się dopiero ubiegłej nocy, kiedy napisała mu, że coś jest nie tak z Blackiem. Przez długi czas starała się nadrabiać miną i ukrywać swoje emocje, pozwalając, by zajął się Jamesem. Czekwała na właściwy moment. Zamierzała od razu zakomunikować mu swoją decyzję: „Jestem w ciąży i postanowiłam ją usunąć”. To było najlepsze rozwiązanie. W jej głowie brzmiało sensownie. Nie potrzebowała dziecka: przeszkadzałoby jej w pracy. Musiałaby się nim zajmować, nie byłaby już taka dyspozycyjna i straciłaby źródło dochodów. Tak naprawdę łatwo przyszło jej podjąć tę decyzję. Tak bardzo przywykła do samotności, do życia wypełnionego pracą, do nocy przespanych spokojnie we własnym łóżku, że nie wyobrażała sobie, że miałyby opiekować się kimś poza Blackiem. Ale kiedy wreszcie postanowiła wyznać prawdę Ryanowi, z jakiegoś powodu zakomunikowała mu tylko pierwszą część wiadomości:

– Jestem w ciąży.

Oczekiwała od niego jedynie odrobiny wsparcia, chciała, żeby zapytał, jak się czuje, i zapewnił ją, że decyzja należy do niej.

– Powiedz mi, że to nieprawda – odparł niemal ze złością.

– Wiem. Kurwa, wiem, że to był tylko ten jeden raz.

– Nie rób mi tego, Mandy. Błagam, tylko nie to.

– To twoje dziecko. Nie było nikogo innego.

Wtedy wybuchnął:

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz go mieć. Ja w każdym razie nie będę brał w tym udziału. Na Boga, Mandy, przecież jest Miranda. Mam żonę.

Mandy zaczęła czuć się winna, jakby wszystko to zaplanowała. Z jej oczu pociekły łzy.

– Wiem, Ryanie... ja... przepraszam.

– Wiesz, kim jesteś? Naciągaczką, jak te wszystkie dziewczyny, które przyjeżdżają do Los Angeles, żeby tańczyć na rurze.

To było jak cios nożem. Poczwała się podle. Ryan nigdy nie rozmawiał z nią w ten sposób; to nie był przyjaciel Blacka, którego znała. Tak ją zaskoczył, że nie wiedziała, jak zareagować. Odwrócił się na pięcie, podszedł do samochodu i odjechał. Mandy z płaczem wróciła do domu. Czwała się rozżalona, niezrozumiana.

Czuwając przy śpiącym Blacku, zastanawiała się, co powinna zrobić. Przez tych kilka godzin, które spędziła przy jego łóżku, rozważyła wszystkie możliwości i kiedy rano wróciła do siebie, była całkowicie pewna swojej decyzji. Była w klinice aborcyjnej, dostała globulki, które miały wywołać poronienie. Poszła do kuchni, gdzie na jednej z półek leżał srebrzysty blister z czterema owalnymi pigułkami. Uświadomiła sobie, że drżą jej ręce. Była roztrzęsiona, czuła w gardle ucisk, który utrudniał jej oddychanie. Wyłuskała globulki i mocno ścisnęła je w dłoni.

– Śmiało, to potrwa tylko sekundę – próbowała dodać sobie odwagi.

Wróciła do łazienki, spuściła spodnie i usiadła na sedesie.

Wzięła głęboki oddech i wsunęła między nogi dłoń z globulkami. Po jej policzkach spływały łzy. Ostatni raz zadała sobie pytanie, czy na pewno tego chce – nigdy nie myślała, że przyjdzie jej zrobić coś takiego.

– No już, Mandy – szepnęła. – Jednorazowe błędy nie powinny mieć trwałych konsekwencji.

W momencie, kiedy podjęła ostateczną decyzję, ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kurwa... nie teraz.

Ponownie rozległ się brzęk dzwonka. Poirytowana wstała z sedesu i podciągnęła spodnie. Była zdziwiona własną reakcją. Postanowiła, że sprawdzi, kto to, a potem wróci do łazienki. Woląca, żeby nikt jej nie przeszkadzał, kiedy już zdecyduje się włożyć globulki do pochwy. W klinice uprzedzono ją, że wkrótce po tym powinna poczuć skurcze. Nie chciała, żeby cokolwiek ją rozpraszało.

Podeszła do drzwi, dzwonek zabrzączał po raz trzeci. Zdenerwowała ją ta namolność. Otworzyła i znieruchomiała: po drugiej stronie stała Miranda i patrzyła na nią zaniepokojona.

– Miranda? Co się stało?

– Nie rób tego – szepnęła żona Ryana.

ROZDZIAŁ 36

James Black

Gwiazdeczka

1976

Życie Jamesa kręciło się teraz wokół dwóch pasji: jego przyszłego filmu i Pauli Hicks. Darzył obie jednakową miłością. Chociaż udało mu się zbliżyć do Pauli, to nadal wydawała mu się nieosiągalna. Z powodu tych dwóch obsesji zaniedbał studia. Koledzy z niepokojem przyglądali się jego metamorfozie: w ciągu zaledwie kilku miesięcy błyskotliwy student stał się mrukliwym dziwakiem.

Do tego po kampusie rozeszła się pogłoska, która mogła wszystko zniszczyć. Mówiono, że ma romans z wykładowczynią – Paulą Hicks. Plotka nie dotarła do uszu nikogo z władz wydziału, James i Paula także nie mieli o niczym pojęcia. Niektórzy twierdzili, że widzieli ich razem w którymś ze sklepów w centrum i że trzymali się za ręce, inni – że całowali się na końcu korytarza. Na szczęście zanim zdążyła wybuchnąć afera, nadeszło upalne lato, a wraz z nim egzaminy końcowe. Zapanowała nerwowa atmosfera, która uciszyła komentarze. Potem zaczęły się wakacje i wszyscy zapomnieli o sprawie, zajęci moczeniem stóp w wodach Pacyfiku. Owa zasłona zapomnienia okazała się zabójczym sprzymierzeńcem tego, co miało się wydarzyć tamtego lata.

James planował nakręcić swój film podczas wakacji. Miał wszystko przygotowane. Scenariusz, plenery, kamerę, nawet kostiumy, na które wydał ostatnie oszczędności. Brakowało mu tylko aktorów. Wiedział jedynie, że Paula Hicks wcieli się w rolę głównej bohaterki, Gabrielle, ale potrzebował jeszcze dwóch mężczyzn i dziewczynki. Nie miał pojęcia, skąd ich wziąć. Próbował przekonać kilku kolegów z roku, rozwiesił ogłoszenia na wydziale, uzbierał nawet pieniądze na gąże. Nikt się nie zgłosił. Pomyślał, że skoro nikt nie chce mu zaufać, to znaczy, że nie jest jeszcze gotowy na nakręcenie filmu. Ci, którym proponował rolę, zbywali go ogólnikami albo żądali w zamian przysługi, jakiej nie mógł im wyświadczyć.

– Amatorski film? A ty zagrałbyś w moim?

Często słyszał taką odpowiedź. W końcu jego koledzy też pracowali przez

ostatni rok nad swoimi scenariuszami i teraz szukali aktorów, chodząc po wydziale. Szybko zdał sobie sprawę, że jeżeli chce nakręcić film, musi się odważyć zrobić to po swojemu.

Miał poważny problem, bo nie mógł już wyeliminować więcej postaci. Pierwotny scenariusz zakładał udział dwunastu aktorów, ale James doszedł do wniosku, że historia, którą chce opowiedzieć, nie potrzebuje aż tylu bohaterów. Wystarczyło czworo. Gabrielle, Mark, Tom i Kimberly. Najtrudniej było znaleźć aktorkę, która zagrałaby Kimberly, czteroletnią córkę Gabrielle, postać niezbędną w jego filmie. Była w pewnym sensie motorem napędzającym całą akcję, gwarancją najlepszego z możliwych zakończeń. To z jej powodu Gabrielle zdecydowała się zostawić Marka i odejść do Toma. Potrzebował dziewczynki, która wcieliłaby się w rolę Kimberly. Przytłoczony, postanowił zwierzyć się ze swoich problemów Pauli.

– Nie znalazłem nikogo, kto zagrałby Marka, ale... Czy ja wiem? To akurat nie jest aż taki problem. W ostateczności sam mogę wziąć tę rolę. Myślę też, że uda mi się namówić Jeffa, żeby przyszedł kilka razy i wystąpił w scenach z Tomem. Mam za to kłopot z dziewczynką, z Kimberly. Nic z tego nie będzie. Zrezygnuję z tego filmu. Cały ten pomysł nie trzyma się kupy, nie mogę czegoś takiego nakręcić.

– Mogłaby ją zagrać moja córka Anne. Mogłaby być twoją Kimberly.

– Ależ Paulo... twoja córka nie...

– Załatwione, koniec tematu. Dzięki temu będziemy miały wspólną pamiątkę.

James spojrzał na nią zaskoczony. Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Mógłbym zmodyfikować scenariusz tak, żeby główna bohaterka miała dwójkę dzieci. To niewielka zmiana, nie miałyby dużego wpływu na historię, a zagrałibyście wszyscy troje. Miałybyś pamiątkę na całe życie. Wspomnienie, które łączyłabyś ze swoimi dziećmi.

– Zrobiłbyś to? Uwzględniłbyś też Jeremiego?

– Oczywiście – odpowiedział James, podekscytowany. – Nie... nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, co robisz. Jesteś dla mnie zbyt wspaniałomyślna.

– Myślę, że to wielka rzecz. Że ten film przejdzie do historii. Jestem tego pewna. Nigdy... nigdy nie czytałam takiego scenariusza. Poza tym to będzie swego rodzaju hołd złożony Ianowi. Rodzinny film nakręcony jego kamerą.

– Wierzę, że temu podołam, Paulo – odparł James.

James zaczął ćwiczyć z kamerą już na kilka miesięcy przed początkiem lata. Czternastego czerwca 1976 roku umówił się z Paulą i Jeffem w parku w centrum Los Angeles. W scenariuszu, który im wręczył, nie było sceny rozgrywającej się w parku. Historia zaczynała się od ujęcia Gabrielle leżącej w pościeli.

– Czyli to prawda – stwierdził Jeff na widok wykładowczyni, która zmierzała w ich stronę z dwójką małych dzieci.

Córeczka Pauli – Anne – szła uczeplona wózka, w którym siedział jej braciszek. Kobieta z trudem pchała go po trawniku. Uśmiechnęła się, dostrzegając z oddali swoich studentów.

– Co jest prawdą?

– Geniusz z ciebie, skurczybyku – odpowiedział Jeff. – Z profesorką! – dodał i zaczął cmokać, zasłaniając usta dłonią, żeby ukryć swoje wygłupy przed Paulą.

– Jeff. To poważny projekt. Bardzo poważny. Najpoważniejszy, jaki kiedykolwiek zrealizuję. Nie wątpię, że staniesz na wysokości zadania.

Chłopak przez chwilę się wahał. Zrozumiał, że przyjaciel traktuje ten film na serio. Pomachał do wykładowczyni.

– Dzień dobry – przywitał się James, kiedy do nich podeszła. – To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że zgodziła się pani wziąć udział w tym projekcie. Jest dla mnie bardzo ważny.

– Wie pan, że dla mnie też.

James pierwszy raz widział dzieci Pauli.

– Ty musisz być Anne. Twoja mama opowiadała mi o tobie same dobre rzeczy.

Czteroletnia dziewczynka schowała się za matką, wystawiając na widok tylko lewą połowę twarzy. W cieniu rzucanym przez Paulę błyszczało jej intensywnie niebieskie oko, przypominające klejnot wydobyty z morskiej otchłani.

– A ty jesteś ten olbrzym Jeremie – ciągnął James, odwracając się do wózka.

Chłopczyk wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, tak samo niebieskimi jak oczy jego siostry.

– Na pewno kojarzy pani Jeffa Hardy’ego.

– Tak, oczywiście. To jeden z dwóch studentów, którzy oblali mój przedmiot. Jak mogłabym go zapomnieć.

Jeff roześmiał się i podrapał po głowie.

– Naprawdę mi przykro – powiedział. – Gubię się w tych wszystkich datach i nazwiskach. Nic na to nie poradzę. Na egzaminie miałem je na końcu języka. Uczyłem się, przysięgam.

James wybuchnął śmiechem.

– Drugim studentem jest pan, panie Black. I w przeciwieństwie do kolegi nie ma pan nic na swoje usprawiedliwienie.

– Wiem, że powinienem był przyjść na egzamin, ale... – Teraz to James podrapał się po głowie.

– Nieważne. Jesteśmy tu po to, żeby kręcić film, tak? Nie po to, żeby rozmawiać

o filmach innych – przerwała mu Paula z uśmiechem.

James i Jeff przytaknęli, zadowoleni. Paulę Hicks otaczała aura niezwykłej pewności siebie, jakby zawsze wiedziała, co robi i dlaczego. A przynajmniej tak postrzegali ją inni.

– Do dzieła, James. Niech no się upewnię: pani Hicks gra Gabrielle, ty Marka, a ja Toma, tak? – zapytał podekscytowany Jeff.

Anne wychyliła się zza nóg matki i podeszła do chłopaka.

– Proszę pana! – zawołała.

Zdezorientowany Jeff spojrzał najpierw na Paulę, potem na Jamesa. Nie rozumiał, czego chce od niego ta dziewczynka. Nie lubił dzieci. Wielokrotnie powtarzał, że kiedy już musisz być w miejscu, gdzie są dzieci, najlepiej nie patrzeć im w oczy, żeby nie odkryły, że się ich boisz. Pochylił się, świadom, że to najgorsza rzecz, jaką może zrobić w tej sytuacji. Że kiedy jego twarz znajdzie się na wysokości twarzy dziewczynki i spojrzy jej w oczy, będzie po nim.

– Ja też będę występować! Mama mówi, że jestem gwiazdą. Gwiazdeczką filmową.

Jeremie, który siedział w wózku, ściskając pluszowy księżyc, powtórzył za siostrą:

– Gwiazdeczka!

– Oczy... oczywiście – odpowiedział z uśmiechem Jeff. – Wy też jesteście aktorami. Najważniejszymi! Prawda, James?

Przyjaciel skinął głową i zawołał:

– Do dzieła!

– Co tutaj robimy? To przecież plac zabaw. W scenariuszu nie ma żadnego placu zabaw.

– Nie ma – odparł James. – Wpadłem na to dziś w nocy. To nowa scena.

– W takim razie jaki jest plan?

– Nakręcimy czołówkę – oznajmił, wskazując zardzewiałą karuzelę stojącą między drzewami.

ROZDZIAŁ 37

Ryan

Logiczne wytłumaczenie

26 września 2015

Kiedy wyznałem inspektor Sallinger, że nie powiedziałem jej całej prawdy, spodziewałem się surowej reprimendy. Uspokoilem się nieco, słysząc jej słowa, z których o dziwo przebijało zrozumienie.

– Chce pan powiedzieć, że przez cały ten czas okłamywał mnie pan w żywe oczy? – zapytała.

– Nie! No, może trochę. Ale nie zrobiłem nic Mirandzie. To akurat jest prawda.

– Słyszał pan o zatajaniu dowodów? To bardzo poważne przestępstwo.

– Proszę posłuchać, jeżeli cokolwiek zataiłem, to dlatego, żeby policja nie traciła na mnie czasu. Liczy się każda minuta.

Policjantka parsknęła do słuchawki, ale wyglądało na to, że przekonały ją moje argumenty.

– Co chce mi pan wyznać?

– Chyba wiem, kto za tym wszystkim stoi.

– Kto?

– Jeremie Morgan.

– Pański przyjaciel? Pański przyjaciel porwał panią Huff? Co pan wygaduje?

– Proszę pozwolić mi wszystko wyjaśnić. Spotkajmy się przy Starbucksie na Wilshire Boulevard. Będę tam na panią czekał.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego. Odkąd znaleźliśmy zwłoki dziewczyny i wydobyliśmy z jeziora ludzkie szczątki, mamy masę roboty. Inspektor Sachs odkurza akta sprawy Pauli Hicks, badamy kilka tropów w związku z zabójstwem Jennifer Straus i zniknięciem pańskiej żony. Nie możemy tracić czasu.

– Zapewniam panią, że to ważne.

– No dobrze, za pięć minut ruszam w drogę.

Rozłączyłem się i wróciłem do salonu. Black wstał i wyszedł mi na spotkanie.

– Wszystko okej? – zapytał, spoglądając na mnie ze zdziwieniem.

Od jakiegoś czasu zacząłem się doszukiwać oznak demencji w każdym jego

zdaniu, w każdym gościu. Znalazłem ich całe mnóstwo.

– Wszystko super. – W ciągu ostatnich dni ściemniałem już tyle razy, że to miłosierne kłamstwo wzbudziło we mnie duży niesmak. – Muszę coś załatwić. Poradzisz sobie?

Westchnął, może po to, by dać mi do zrozumienia, że bez Mandy nie przeżyje w tym domu nawet kilku godzin. Wyjąłem komórkę, poszukałem w Internecie numeru telefonu i zapisałem go czytelnie na marginesie „Los Angeles Daily” sprzed dwóch dni, który leżał na komodzie przy wejściu.

– To numer do Steak Yorku. Zadzwoń i zamów sobie stek. Tobie na pewno dowiozą go do domu.

James spojrział na gazetę i skinął głową, przygryzając wargi.

– Rynie... – zatrzymał mnie, zanim otworzyłem drzwi. – Jeżeli zobaczysz się z Mirandą, powiedz jej, że nie miałem nic wspólnego z tym, co spotkało Paulę. Taka jest prawda.

– Załatwione, przyjacielu. Miranda nie zrobi niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Ona taka nie jest.

Rozzłościło mnie to ostatnie zdanie. Ona taka nie jest? Czy ja w ogóle wiedziałem, jaka jest Miranda? Od kilku miesięcy już nie. Ukrywała się za milczeniem albo za frazesami, które absolutnie nic o niej nie mówiły. „Tak, przyszło kolejne pismo z banku w sprawie raty kredytu”. „Nie, muszę zostać dłużej w pracy”. „Możesz po drodze zajrzeć do supermarketu i kupić groszek?”. Rozmowy o kinie, o nas, naszych marzeniach należały do przeszłości. Jeśli w ogóle kiedykolwiek je prowadziliśmy...

Ruszyłem do kawiarni, w której umówiłem się z inspektorem Sallinger. Po drodze przygotowałem logiczne wytłumaczenie teorii, która powstała w mojej głowie. Wszystko zaczynało nabierać sensu. Doktor Morgan nas oszukał, wcale nie był terapeutą, tylko trzecioplanową aktorką. Otworzył lipny gabinet po to, by nawiązać kontakt z potencjalnymi ofiarami. Ponieważ grał nieznaczącą rolę w serialu, którego nikt nie oglądał, istniało niewielkie ryzyko, że rozpozna go małżeństwo staczające się w przepaść wzajemnego niezrozumienia. Doktor Morgan był psychopata, seryjnym mordercą, na pewno wystarczyło trochę pogrzebać, żeby trafić na ślad innych jego ofiar, których zwłok dotychczas nie odnaleziono. Wszystko układało mi się w spójną całość. Morderca czaił się w pobliżu.

Zaparkowałem przed wejściem do Starbucksa. Kilka razy spojrziałem na okno gabinetu. Wydawało mi się, że za szybą coś błysnęło. Był tam. Jeremie Morgan był w środku.

Wyjąłem komórkę, odszukałem jego nazwisko na liście kontaktów i zadzwoniłem. Liczyłem na to, że mój telefon go wystraszy, że zobaczą przez szybę, jak zdenerwowany chodzi po gabinecie. Moje serce waliło coraz mocniej: wydawało mi się, że każdy kolejny sygnał rozlegający się w słuchawce zwiększa szansę na to, że odbierze po następnym. Ale tak się nie stało.

Jakieś dwadzieścia minut później zjawiła się inspektor Sallinger. Ku mojemu zdziwieniu towarzyszyły jej dwa radiowozy policji z Los Angeles.

– Cieszę się, że ściągnęła pani posiłki. Mogą się przydać.

– Mówił pan, że to ważne. Mam nadzieję, że nie zmarnuje pan naszego czasu.

– Nie zmarnuję, zapewniam panią.

– O co chodzi?

– Tam na górze. Ten mężczyzna. Jeremie Morgan. To on porwał moją żonę.

Inspektor Sallinger spoważniała.

– Jak to? Jeremie Morgan? Pański przyjaciel aktor?

– Właśnie w tym wypadku nie powiedziałem pani całej prawdy. Ja i Miranda... hmm, jak by to ująć... Ja i Miranda mieliśmy problemy i zaczęliśmy chodzić na terapię małżeńską.

Policjantka zmarszczyła czoło, zdziwiona. Czterej funkcjonariusze, z którymi przyjechała, wymienili spojrzenia, jakby sprawdzali, czy któryś cokolwiek z tego rozumie. To jedno zdanie wystarczyło, bym ponownie znalazł się na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Tym razem jednak miałem plan: chciałem skierować uwagę na domniemanego winowajcę.

– Co próbuje mi pan powiedzieć? – zapytała inspektor Sallinger.

– Jeremie Morgan był naszym terapeutą. Okłamałem panią, mówiąc, że się przyjaźnimy. Przychodziliśmy do niego, żeby wyprowadzić na prostą nasze małżeństwo, które tonęło w szambie. Ale... co jeśli wcale nie jest terapeutą? Jeżeli to maskarada, która pozwala mu wysyłać potencjalne ofiary w odległe, odcięte od świata miejsce, w dodatku dobrze mu znane? To on zasugerował nam wynajęcie domku w Hidden Springs. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to niedorzecznie, ale przysięgam, że jest jedyną osobą, która wiedziała, gdzie będzie Miranda tamtej nocy.

Policjantka spoglądała na mnie zaniepokojona.

– Jeremie Morgan jest pańskim terapeutą? To się nie trzyma kupy. Z pańskich zeznań wynika, że także James Black wiedział, gdzie spędzicie weekend. Właśnie odsłuchałam tamtą rozmowę. A pańska żona przed wyjazdem poinformowała waszą sąsiadkę, Hannah Parks, że wybieracie się do Hidden Springs. Wiedza o państwa planach jeszcze nie czyni z nikogo mordercy, panie Huff.

– To prawda. Ale Jeremie Morgan nie jest tym, za kogo się podaje. A to chyba wystarczający powód, żeby wziąć go pod lupę, nie uważa pani?

Inspektor Sallinger przytaknęła. Otaczający ją policjanci szeptali między sobą, zasłaniając przy tym usta.

– W porządku – odparła. – Czyli tutaj przychodziliście z żoną na terapię?

– Tak, o tam – powiedziałem, wskazując wejście do budynku.

– Proszę tu na nas poczekać, za chwilę ktoś do pana przyjdzie.

– Nie ma mowy – zaprotestowałem. – Chcę zobaczyć, jaką minę zrobi na mój widok. Chcę, żeby spojrział mi w oczy i powiedział, że nie skrzywdził mojej żony.

Funkcjonariusze czekali na decyzję inspektor.

– Powoli zaczynam mieć pana dosyć – oznajmiła. – Proszę trzymać się z tyłu i nic nie robić.

Policjanci ruszyli w stronę wejścia. Poszedłem za nimi. Drzwi do budynku były otwarte jak zawsze. Wbiegliśmy na pierwsze piętro. Znajdowały się tam tylko jedne drzwi, drewniane, świeżo pomalowane na biało. Zdziwiło mnie, że na ścianie obok nie ma już metalowej tabliczki, na której wygrawerowano kwasem: „Doktor Morgan. Terapia małżeńska i rodzinna”. Ten szczegół nie wydał mi się jednak na tyle ważny, by wspomnieć o nim policjantce.

Funkcjonariusze ustawili się na wprost drzwi, ja czekałem na ostatnim stopniu schodów. Inspektor Sallinger odwróciła się w moją stronę.

– To tutaj? – zapytała szeptem.

Potraktowałem ten szept jako wyraz zaufania. Myślałem, że eksploduje mi serce. Coś mi mówiło, że za tymi drzwiami znajdę Mirandę. Żywą albo martwą. Oczami wyobraźni ujrzałem pobrudzoną krwią łazienkę w domku w Hidden Springs.

Inspektor Sallinger zapukała, po czym prawą dłonią wyjęła pistolet, który miała przypięty do pasa i którego wcześniej nie zauważyłem. Pozostali policjanci zrobili to samo, gotowi do interwencji. Chociaż stałem z tyłu, odruchowo się schyliłem.

– Są otwarte – szepnęła policjantka.

Wskazała coś na migi funkcjonariuszom, ale nie potrafiłem zinterpretować jej gestu. Pchnęła drzwi: otworzyły się na oścież, ukazując wnętrze, którego widok sprawił, że mój świat rozpadł się na drobne kawałki.

ROZDZIAŁ 38

Miranda

Końcowa sekwencja

– Jeremie – przedstawił się, spoglądając na mnie z powagą. Uścisnęłam mu rękę. – Anne pewnie już ci wszystko wyjaśniła – dodał, nie puszczając mojej dłoni.

Zdziwiłam się, że wyraz jego twarzy tak szybko się zmienił: serdeczność zastąpił smutek. Zorientowałam się, że jest osobą empatyczną, w przeciwieństwie do siostry, która wprost kipiała gniewem.

– W ogólnym zarysie – powiedziała Anne.

– Potrzebuję szczegółów – dodałam. – Chcę poznać całą historię. Chcę wiedzieć, co takiego zrobił James Black.

– Moim zdaniem to uczciwy układ – stwierdził z uśmiechem Jeremie.

– Opowiesz jej, a ja w tym czasie pójdę po kawę? – zapytała Anne. Kiedy chłopak skinął głową, wstała, opierając rękę na jego udzie. Ruszyła w stronę baru i, nie odwracając się, krzyknęła: – To co zawsze?

– Nie rozumiem, dlaczego nadal o to pytasz – odparł.

– Ja też nie – rzuciła, stając przy ladzie.

Jeremie wychylił się w moją stronę i szepnął:

– Wszystko wydarzyło się w siedemdziesiątym szóstym. Anne i ja byliśmy wtedy mali, ona miała cztery lata, ja dwa.

Dokonałam szybkich obliczeń. Teraz byli po czterdziestce, ale oboje wyglądali znacznie młodziej. Anne postarzała się o wiele mniej niż jej brat, chociaż była od niego starsza. Może sprawiała takie wrażenie z powodu modnej fryzury albo młodzieżowego stroju – wąskie dżinsy, obcisła koszulka z nazwą zespołu rockowego podkreślająca jej szczupłą sylwetkę i białe converse'y utrudniały odgadnięcie jej wieku. Ktoś, kto jej dobrze nie znał, dałby jej dwadzieścia pięć, góra trzydzieści lat. Za to Jeremie, ubrany w dżinsy, koszulę i niebieską budrysówkę, wyglądał na starszego ode mnie. Jego twarz była wprawdzie pozbawiona zmarszczek, ale spiczasty podbródek pokrywał zarost, który wydawał się szorstki i dodawał mu lat.

– Mama wykladała historię kina amerykańskiego na Uniwersytecie

Kalifornijskim w Los Angeles. Nasz biologiczny ojciec zmarł jakieś dwa lata wcześniej, wychowywała nas sama.

– A kiedy pojawił się Jeff?

– Później. Daj mi opowiedzieć wszystko po kolei.

Przytaknęłam.

– Mama stawiała na głowie, żeby niczego nam nie zabrakło. Nie pytaj dlaczego, ale w pewnym momencie wdała się w romans z jednym ze swoich studentów. Utrzymywali to w tajemnicy.

– Ze studentem? – zdziwiłam się. Nie wiedziałam, jak zakończy się ta historia, ale zapowiadała się coraz bardziej dramatycznie.

– Tak. Był nim James Black.

– Poważnie? James Black miał na studiach romans z waszą matką?

Anne wróciła z kawą. Zrobiłam miejsce na stoliku. Spojrzałam na swój kubek: był prawie pełny, ale przeszła mi ochota na latte. Stresowała mnie obecność Jeremiego, serce waliło mi tak mocno, że gdybym dopiła kawę, chyba dostałabym zawału.

– Mama nazywała się Paula Hicks. – Wyjął czarno-białe zdjęcie: atrakcyjna brunetka uśmiechała się do aparatu. Patrząc na jej twarz, domyśliłam się, po kim rodzeństwo odziedziczyło urodę.

– Paula Hicks? Skąd znam to nazwisko?

– Znasz je?

– Tak. No jasne. Oczywiście. Black kiedyś nam o niej wspomniał. Dawno temu, jeszcze na początku studiów.

Błyskawicznie przeniosłam się myślą do tamtych czasów. Ujrzałam Ryana, w którym się zakochałam: obejmował mnie ramieniem i zanosił się śmiechem. Kolejny raz zadałam sobie pytanie, w którym momencie mojego życia zniknął tamten chłopak.

– Niech zgadnę, co wam mówił – odezwała się Anne. – Że Paula Hicks była dla niego bardzo ważna i że któregoś dnia niespodziewanie odeszła?

Spoglądałam na nią zdumiona: dokładnie to nam powiedział.

– Tak brzmi jego wersja. Jego ohydne kłamstwo. Opowiada je przez całe życie i sam w nie wierzy. To prawda, że mama zniknęła latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego. Sprawa przeszła niemal bez echa, bo chociaż mieszkaliśmy w Los Angeles, wszystko wydarzyło się w pobliżu Hidden Springs, małej miejsciny na obrzeżach. Wiadomość o zaginięciu ukazała się w lokalnej prasie, ale w „Los Angeles Daily” poświęcono jej zaledwie drobną wzmiankę. Brak rozgłosu sprawił, że poszukiwania przerwano już po kilku dniach. Hidden Springs

to dziura, wtedy było tam góra sto domów, mieszkańcy mieli w nosie śledztwo. Wrócili do codziennych zajęć, gdy tylko policjanci pojechali na komisariat, żeby wypełnić papiery. Zorganizowano zaledwie jedno przeczesanie terenu, kilka dni po jej zniknięciu: zaczęło się rano, a skończyło w porze obiadu. Nasza matka nikogo nie obchodziła.

– Co zrobił James Black? Pewnie poruszył niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć.

– Otóż nie. Nie zrobił nic. Zachowywał się tak, jakby ta sprawa nie miała z nim nic wspólnego. Dowiedzieliśmy się o tym od taty.

– Od Jeffa, tak?

– Tak. Kochamy go tak, jakby naprawdę był naszym ojcem – wyjaśniła Anne.

– Oficjalnie Jamesa Blacka nic nie łączyło z naszą matką – ciągnął Jeremie – poza krążącą po wydziale plotką o ich rzekomym romansie. Na tej podstawie policja go przesłuchała i wiesz, co powiedział?

– Co?

– Że to kłamstwo i że znał ją tylko z wykładów – odparł Jeremie.

– Nie było żadnych dowodów, żadnych śladów, które pomogłyby ją odnaleźć. Z braku podejrzanych i tropów policja postanowiła zamknąć śledztwo – ciągnęła Anne. – Mama i jej samochód zapadli się pod ziemię, nikt więcej o niej nie słyszał. Do tej pory nie wiemy, co się z nią stało. Podejrzewamy, że jej ciało jest gdzieś w pobliżu Hidden Springs, ale to ogromny, górzysty teren. Sami nigdy byśmy jej nie znaleźli.

– Policja szybko odkryła, że mama często zostawiała nas z opiekunką poza godzinami pracy – dodał Jeremie. – Ta wiadomość owszem, zainteresowała prasę, i zamiast informować o zaginięciu kobiety, pisano o matce, która porzuciła dwójkę dzieci. Redaktor naczelny jednej z gazet skojarzył te dwa fakty i wkrótce całe miasto rozprawiało o wyrodnej matce, która odeszła od dzieci, zostawiając je bez opieki.

Zmieniali się podczas opowiadania, jakby uprawiali pływanie synchroniczne. W pewnym momencie złapałam się na tym, że nie wiem, które z nich mówi. Ich głosy mieszały się w mojej głowie, słuchałam ich obojga ze ściśniętym sercem, potakując głową.

– Mama bardzo nas kochała – powiedziała wreszcie Anne. – Dobrze pamiętam, jak nas traktowała, była prawdziwym aniołem. Fakt, dużo pracowała i spędzaliśmy sporo czasu z opiekunką, Alisson, ale to nie znaczy, że nas nie kochała.

– Często przed wyjściem z domu mocno nas ścisnęła i śpiewała nam na dobranoc *You Always Hurt the One You Love* zamiast kołysanki. Myślę, że w ten sposób przepraszała nas za to, że zostawia nas na tak długo samych.

- Ale skąd wiecie, że James Black zamordował waszą matkę?
 - Bo film wszech czasów, którym wszyscy się zachwycają i który wyniósł Blacka na szczyty sławy, kończy się śmiercią naszej matki.
 - O czym ty mówisz?
 - O końcowej sekwencji *Wspaniałego wczorajszego życia*. Pamiętasz ją?
 - Tak... oczywiście. Nie sposób jej zapomnieć. Wszyscy ją znają.
- Przypomniałam sobie sekunda po sekundzie całą scenę. Główna bohaterka, Gabrielle, ginie w tragicznym wypadku: spada w przepaść w trakcie ucieczki z domu...
- To samo spotkało naszą mamę.

ROZDZIAŁ 39

Wspaniałe wczorajsze życie

Ostatnie minuty filmu

Rozwścieczony Mark przychodzi pod dom Gabrielle. Pił, cuchnie alkoholem. W barze wykrzykiwał, że żona go zdradza. Od roku tam właśnie spędza każdą noc – odkąd Gabrielle doszła do wniosku, że jej toksyczny związek z Markiem nie ma przyszłości. W domu palą się światła, w jednym z pokoi na piętrze majaczy czyjś cień. Mark zbliża się chwiejnym krokiem i otwiera drzwi. W tajemnicy przed żoną zachował komplet dorobionych kluczy.

– Gabrielle?! – krzyczy, ale nikt mu nie odpowiada. Idzie do salonu. W kominku żarzy się drewno, na szklanym blacie stołu stoją dwa niedopite kieliszki wina.

– Ożeż ty... – szepcze.

Zaciska mocno pięści, słysząc dobiegający z piętra hałas.

To Tom, nowy partner Gabrielle. Został z dziećmi, bo Gabrielle pojechała do matki, która zadzwoniła kilka minut wcześniej.

Tom nie zorientował się, że ktoś wszedł do domu. Pochyla się nad Adamem – synkiem Gabrielle – i całuje go w czoło. W łóżeczku obok siedzi Kimberly, czeka na swoją kolej.

– Obiecuję, że kiedy wróci wasza mama, poproszę ją, żeby przyszła ucałować was na dobranoc.

– A jeżeli znowu przylecą smoki? – pyta Kimberly, nadal wystraszona z powodu koszmaru, który przyśnił jej się ubiegłej nocy.

Tom z uśmiechem odwraca się w stronę skrzyni z zabawkami stojącej przy kołysce i wyjmuje poduszkę w kształcie anielskich skrzydeł.

– Jeżeli wrócą smoki, polec wyżej niż one – odpowiada, kładąc poduszkę przy głowie dziewczynki.

Pochyla się, i całując ją w czoło, odsłania Marka, który stoi nieruchomo w progu.

Zaczernia się ekran, w ciemnościach słychać głos:

– Tata?

Teraz szybko zmieniają się obrazy: Kimberly z przymocowanymi do pleców anielskimi skrzydłami; uśmiechnięta twarz Gabrielle, która niczego nieświadoma

wraca do domu; zakrwawiony nóż; leżący na podłodze Tom – spod jego pleców rozlewa się ciemna plama.

Ekran znów czernieje. Kilka sekund później pojawia się samochód Gabrielle. Parkuje przed domem. Kamera podąża za kobietą, potem ją wyprzedza i zbliża się do klamki, którą ta ma nacisnąć. Ujęcie na niedomknięte drzwi.

Gabrielle jak gdyby nigdy nic wchodzi do środka. Dziwi się, słysząc dobiegające z salonu dźwięki *Lascia ch'io pianga* Haendla. Muzyka niesie się po całym domu. Ciałem Gabrielle wstrząsa dreszcz. Jej były mąż w kółko słuchał tej arii. Po wejściu do salonu kobieta nieruchomieje, na jej twarzy maluje się przerażenie.

Wpada na Marka. Stoją na wprost siebie, symetryczne ujęcie zestawia dwie kontrastujące ze sobą rzeczywistości: Gabrielle zanosi się rozpaczliwym płaczem, umazany krwią Mark patrzy na nią z uśmiechem.

– Zmusiłaś mnie do tego – mówi Mark. – Ja taki nie jestem. To wszystko twoja wina.

Gabrielle odwraca się zdesperowana i wbiega po schodach. Mark nie rusza się z miejsca, kamera zbliża się do gramofonu, na którym powoli obraca się płyta. Z piętra dobiega rozdzierający krzyk.

Widok obracającej się płyty stopniowo przechodzi w obraz koła pędzącego samochodu. Kamera odjeżdża i celuje w przednią szybę, za którą widać płaczącą Gabrielle. Z trudem łapie oddech, a jej dłonie i twarz pokryte są krwią.

Przed oczami Gabrielle przesuwają się obrazy: śmieje się otoczona bliskimi i przyjaciółmi; jako mała dziewczynka zdmuchuje świece na torcie; tańczy boso przy ognisku na plaży razem ze swoją najlepszą przyjaciółką; płacze, oglądając film, na który poszła sama do kina. Bawi się z Kimberly, przytula Adama. Odtwarza najważniejsze chwile swojego życia, w większości z udziałem swoich dzieci. Pierwszy ząbek, który wypadł Kim, pierwsze „mama” Adama, Kimberly w przebraniu anioła. Gabrielle mocno zaciska dłonie na kierownicy, przez chwilę wydaje się, że nie zamierza dać za wygraną. Uśmiecha się. Śmieje się, wspominając każdy z tych momentów. Ociera oczy. Górską szosa biegnie serpentyną. Nagle Gabrielle poważnieje. Wzdycha. Kamera zjeżdża z jej twarzy i celuje w tylne siedzenie, na którym leżą ciała Adama i Kimberly.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, dzieciaki – mówi szeptem, wyciągając do tyłu rękę, żeby dotknąć nieruchomej stopki Adama.

Szosa gwałtownie skręca w lewo. Gabrielle trzyma prosto kierownicę, triumph przelatuje nad barierką i, koziołkując, spada w przepaść. Kamera oddala się od zakrwawionej kierownicy, wysuwa przez okno i ukazuje zwłoki Gabrielle leżące w czerwonym samochodzie. Ponownie zbliża się do auta, ale tym razem najjeżdża

na przednie koło, które powoli się obraca i niepostrzeżenie przechodzi w widzianą z lotu ptaka karuzelę, do której podchodzi tyłem jakaś dziewczynka. Dziecko zatrzymuje karuzelę. Finałowa scena filmu mistrzowsko łączy się z pierwszą.

Obraz ulega zaczernieniu, na ekranie pojawia się napis: „Scenariusz i reżyseria: James Black”.

ROZDZIAŁ 40

James Black

Dwa pocałunki

1976

Lato nieubłaganie dobiegało końca. Jeff, James i Paula spędzali większość czasu razem: spotykali się z samego rana, wprowadzali poprawki do scenariusza i do późnego wieczora kręcili wyznaczoną na ten dzień sekwencję. Starali się tak rozplanować zdjęcia, żeby zawsze któreś mogło zająć się dziećmi, ale rola opiekuna spadała przeważnie na Jeffa, jako że Paula grała główną bohaterkę. Podczas gdy James i Paula kręcili w kółko te same ujęcia, Jeff bawił się z Anne i Jeremim, zabierał ich do parku albo do jakiegoś nowo otwartego fast foodu. Podczas tych letnich popołudni bardzo zżył się z maluchami. Wcale nie miał takiego zamiaru. Co więcej, już pierwszego dnia zrozumiał, że wpadł w pułapkę zastawioną przez Jamesa, który ściągnął ich wszystkich na plan, chociaż zdjęcia miała mieć tylko Paula. Początkowo Jeff niechętnie zgadzał się na zostawanie z dziećmi, ale nie miał innego wyjścia. Z czasem jednak coraz bardziej się do nich przywiązywał. Bawili się godzinami w parku niedaleko domu Pauli, podczas gdy ona i James do znudzenia powtarzali te same sceny. Kiedy to Jeff miał zdjęcia, przez cały czas myślał o maluchach i tęsknił za wspólnymi zabawami. Perfekcjonizm Jamesa sprawił, że zdjęcia, które miały potrwać niespełna miesiąc, ciągnęły się przez całe lato, dzień w dzień, od wschodu do zachodu słońca. To jeszcze umocniło więź łączącą Jeffa z dziećmi.

Tamtego wieczoru czekali we trójkę na powrót Pauli i Jamesa. Dom wykładowczyni stał się miejscem ich spotkań, odpoczywali w nim między ujęciami, czasami pełnił też funkcję montażowni. Jeff spędził cały dzień w pobliskim parku, uczył Anne puszczać latawca. Jeremie zanosił się śmiechem, patrząc na biegającą siostrę. Wrócili do domu dopiero wieczorem. Jeff był pewien, że James i Paula skończyli już zdjęcia, ale okazało się, że jeszcze ich nie ma. Przekonany, że zaraz wrócą, postanowił pierwszy raz zrobić dzieciom kolację i przygotować je do spania. Ale czas mijał, a Pauli nie było. Czekali na jej powrót, oglądając czarno-biały western. Robiło się coraz później: maluchy siedziały

wtulone w Jeffa i chociaż ziewały ze zmęczenia, wpatrywały się w ekran oczami wielkimi jak spodki, podekscytowane rozlegającymi się co rusz wystrzałami.

Jeff spojrział na Jeremiego, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zasnął. Odkrył, że chłopiec uważnie mu się przygląda, wbijając w niego oczka oświetlone drgającym blaskiem telewizora. Nagle Jeremie powiedział:

– Tata.

Jeff nie był na to przygotowany. Nie wiedział, kiedy przekroczył tę linię. Na dźwięk słowa „tata” padającego z ust chłopczyka poczuł bezbrzeżny smutek. Przypomniał sobie, co mówiła Paula: Jeremie nie poznał swojego ojca. Bardzo nad tym bolała, lan odszedł, kiedy była w ciąży. Jeff westchnął i spróbował jakoś wybrnąć z sytuacji.

– Nie... ja... ja jestem takim przyszywanym wujciem.

Tak naprawdę bardzo go to rozczuliło. Nie spodziewał się, że aż tak go to wzruszy. Nie zamierzał przywiązywać się do tych maluchów. Przecież nie znosił dzieci! Starał się ich za wszelką cenę unikać, a niechący wpadł w sidła tej dwójki. Kiedy patrzył, jak wesoło hasają po parku albo brudzą się jedzeniem, które im kupował, myślał, że sam nigdy nie będzie miał dzieci. Że dzieci czynią człowieka słabym. W tym momencie zrozumiał, że bardzo się mylił.

– Jestem wujcio Jeff.

– Nie tata? – naciskał chłopczyk.

Anne podniosła głowę z jego kolan i czekała na odpowiedź. Temat, który poruszył jej braciszek, najwyraźniej bardzo ją zainteresował.

– Ja... ja nigdy nie pokochałbym was tak mocno jak wasz tata. Nigdy nie byłbym tak dobrym tatą jak on. Dlatego jestem waszym wujciem.

Anne niespodziewanie przytuliła się do Jeffa i cmoknęła go w policzek.

– Dla mnie jesteś dobrym tatą – powiedziała, po czym znów skuliła się na kanapie.

W salonie rozległo się kasznięcie. Jeff zerwał się jak oparzony. W drzwiach stała Paula, spoglądała na niego w milczeniu. Chwilę później pojawił się James, dźwigając zieloną walizkę. Złorzeczył pod nosem, że nic im nie wychodzi.

– Nareszcie! Nie sposób było ich uspić. Długo tu pani stoi?

Paula nie odpowiedziała. Dzieci podbiegły do niej z piskiem.

– Mama!

– Jak było? – zapytał Jeff.

– Źle, bardzo źle – odpowiedział rozdrażniony James. – Jak tak dalej pójdzie, czarno to widzę. Dzisiejszą sekwencję trzeba będzie nagrać od nowa. Do niczego się nie nadaje.

– Nie przejmuj się tak. Na pewno nie jest aż tak źle i da się wykorzystać niektóre ujęcia.

James westchnął.

– Jak ty niczego nie rozumiesz! Gdybym chciał nakręcić jakąś mierność, zadowolilibym się tym, co dziś nagraliśmy. Ale ja chcę czegoś więcej. Chcę, żebyśmy przeszli do historii. Czy naprawdę tylko mnie na tym zależy?

Paula i Jeff wymienili spojrzenia. Podniesiony głos chłopaka wystraszył dzieci.

– Spokojnie, James. Jeśli chcesz, jutro obejrzymy to, co nakręciłeś. Na pewno coś się nada. Na pewno. Pamiętasz tę sekwencję sprzed paru dni? Twierdziłeś, że jest do kitu. A co powiedziałeś, kiedy obejrzeliliśmy ją po zmontowaniu?

– Że to arcydzieło.

– Widzisz? Wyluzuj. Będzie dobrze. Zostały już tylko dwa tygodnie. Dwa tygodnie i film będzie gotowy.

James przygryzł wargi: nadal był wściekły. W dodatku słowa Jeffa przypomniały mu, że kończy im się czas.

– Muszę przygotować jutrzejsze nagranie. – Spojrzał na Paulę i dodał surowym tonem: – Kręcimy z dziećmi. Mam nadzieję, że niczego nie spieprzą.

– James, to są moje dzieci. Cholera, nie przesadzaj. Jeżeli coś spieprzą, to spieprzą – obruszyła się Paula.

Chłopak chciał jej coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Złapał walizkę i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

Paula milczała, zła z powodu tego, co przed chwilą zaszło. Miała ochotę przerwać zdjęcia, rzucić to wszystko w diabły. James bardzo się zmienił od czasu, gdy go poznała, i miała wątpliwości, czy warto to dalej ciągnąć. Nadal uważała go za geniusza, nadal miał w oku ten sam błysk, ale popadł w taką obsesję na punkcie filmu, że to, co zaczęło się jako fajny wspólny projekt upamiętniający jej męża, zamieniło się w prawdziwy koszmar. James kazał jej powtarzać w kółko tę samą scenę, próbował różnych ujęć, wprowadzał dialogi, których nie było w scenariuszu, zmieniał ustawienie aktorów, a nawet dodawał wymyślone na poczekaniu sceny, które jej wydawały się bezsensowne i nie pasowały do reszty historii. Było to frustrujące dla tego, kto znajdował się po drugiej stronie kamery, pomyślała jednak, że do końca zdjęć zostały już tylko dwa tygodnie. Scenariusz był świetny i chociaż dysponowali minimalnymi środkami, sceny miały w sobie magię, jaką odznaczają się tylko filmy najwybitniejszych reżyserów. Widziała w stylu Jamesa wpływy Capry, Hitchcocka i Forda. Nawet kiedy wydawało się, że któraś sekwencja zostanie nakręcona w konwencjonalny sposób, wprowadzał jakieś oryginalne ujęcie, ruch kamery, przejście jednego obrazu w drugi, co sprawiało, że scena

nabierała zupełnie nowego wymiaru. Paula czuła, że film odniesie sukces, dlatego postanowiła wytrwać do końca.

– Proszę nie mieć mu tego za złe – powiedział Jeff, biorąc Jeremiego na rękę. – Jest spięty, bo wydaje mu się, że to kwestia życia i śmierci. Myśli, że stworzy jeden z najlepszych filmów w dziejach kina. Ja... No cóż. Ja po prostu chcę być blisko, na wypadek gdyby mu się to udało. Niektórym wystarczy rola statystów. Rozumie pani, o co mi chodzi? Świadomość, że byliśmy tam, kiedy to się stało.

Paula spoglądała na niego w zamyśleniu.

– Proponuję położyć maluchy. O tej porze powinny być już w łózkach! – dodał.

Jeff wniósł Anne po schodach. Paula ułożyła Jeremiego w łóžeczku, pocałowała dziewczynkę w czoło i zgasiła światło.

– Dobranoc. Magicznych snów – powiedziała, zanim zamknęła drzwi.

– Dobranoc, mamó – zawołały dzieci. – Dobranoc, wujciu Jeffie!

– Dobranoc, maluchy.

Paula zamknęła drzwi i oparła się plecami o ścianę. Padała z nóg. Była wdzięczna Jeffowi.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała szeptem. – Jak udało ci się sprawić, że tak cię pokochały?

– Ja... Przykro mi, że... To znaczy nie chcę, żeby pani pomyślała... – Jeff czuł się skrępowany. Przywiązał się do tych maluchów, ale nigdy nie myślał, że sprawy zajdą aż tak daleko. – Pani dzieci mają już ojca... to znaczy... miały ojca. I... ja... sam nie wiem. Chyba nie powinienem tak się do nich odnosić.

Zorientował się, że Paula płacze.

– Proszę pani... nie... no co pani... – powiedział. Podszedł do kobiety i otarł łzy, które spływały jej po policzkach. – Przykro mi... Przykro mi z powodu tego, co się stało. Naprawdę mi przykro. Ja nie chciałem, żeby one... Ich ojciec...

Paula wyszeptała słowa, których nie zrozumiał. Czuła się przytłoczona. Nie widziała dzieci od rana, każda kolejna minuta z dala od nich wpędzała ją w coraz większe poczucie winy. Przez cały dzień kłóciła się z Jamesem o jedną scenę. Wzruszył ją widok, który ujrzała po powrocie do domu. Nigdy nie widziała, żeby jej dzieci były tak szczęśliwe, żeby zachowywały się tak swobodnie w czyimś towarzystwie. Słyszała, jak Jeremie nazywa Jeffa tatą, widziała, jak Anne całuje go w policzek. Jej szept stał się niemal niesłyszalny. Chłopak przysunął się bliżej, żeby zrozumieć, co mówi.

– Naprawdę mi przykro – powtórzył, odgarniając jej z twarzy kosmyk włosów.

Wargi Pauli nagle zbliżyły się do jego ucha.

– Dziękuję ci, Jeff – powiedziała.

Spojrzał na nią, zdenerwowany. Trzęsły mu się ręce, drżał na całym ciele, nie mógł oddychać. Winne było jego walące serce. Spojrzenia Jeffa i Pauli na chwilę się spotkały. Stali w oświetlonym przedpokoju, przed drzwiami do pokoju dzieci. Dzieliło ich niespełna dziesięć centymetrów. Zanim Jeff zebrał się na odwagę, by zrobić to, czego pragnął, Paula pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ 41

Ryan

Alternatywne zakończenie

26 września 2015

Gabinet doktora Morgana był pusty, nie licząc gigantycznego projektora skierowanego na ścianę, którą jeszcze kilka dni wcześniej pokrywały dyplomy ukończenia studiów, kursów i seminariów. W pokoju nie pozostawiono żadnych mebli, zniknęło nawet krzesło, na którym siadałem, żeby ponarzekać, jak źle układa mi się z Mirandą.

– To... niemożliwe – zaprotestowałem zdumiony.

– Stroi pan sobie z nas żarty, panie Huff? – zapytała inspektor Sallinger, chowając pistolet do kabury.

Pozostali policjanci poszli w jej ślady, upewniwszy się, że nie ma żadnego zagrożenia.

– Był... był tutaj. – Nic więcej nie odważyłem się powiedzieć.

Inspektor Sallinger wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

– Po to traciliśmy czas? Tu rzekomo miała się znajdować pańska żona?

– Był... Nie... Nie wierzę. Był tutaj. Gabinet doktora Morgana był tutaj. Przysięgam.

– Czy przypadkiem nie marnuje pan celowo naszego czasu?

– Nie... oczywiście, że nie. Kurwa!

Podszedłem do projektora. Imponujący model, Victoria 5 Ml. Dawno takiego nie widziałem, ostatni raz chyba na wydziale. Tak, na pewno. W sali kinowej... razem z Mirandą. Ta zbieżność nagle wprawiała mnie w osłupienie. Miałem wrażenie, że to ona stoi za tym wszystkim, że z cienia – czy gdzie tam, kurwa, się ukrywała – mówi mi: „Pamiętasz tamten dzień? Pamiętasz, jak nieładnie się zachowałeś?”. Ale nie to próbowała mi powiedzieć. Chciałbym, żeby chodziło tylko o to.

Zadzwoił telefon inspektor Sallinger. Zachnęła się, zanim odebrała.

– Niech pan niczego nie dotyka – przykazała, podnosząc do ucha komórkę.

Nie posłuchałem jej. Dlaczego z takim trudem przychodziło mi robienie tego, czego ode mnie oczekiwano? Oczekiwano na przykład, że będę dobrym mężem,

a tymczasem byłem najgorszym z możliwych. Gdyby sporządzono ranking amerykańskich mężów – przyznający punkty za właściwe postępowanie, a odejmujący za wpadki – na pewno uplasowałbym się na dole listy. Miranda doprowadziła do tego (bo, nie oszukujmy się, to wszystko była jej wina), że coraz mniej interesowałem się jej życiem, a koniec końców to właśnie spaja związek. Wzajemny podziw. My nie tylko przestaliśmy się nawzajem podziwiać, ale wręcz staliśmy się dla siebie najsurowszymi krytykami. „Ten dialog brzmi zbyt sztucznie”. „W tym miejscu fabuła świeci pustką, tak jak twoje konto”. Jeżeli kiedykolwiek coś w sobie podziwialiśmy, to już dawno zeszło to na drugi plan.

Zauważyłem, że na projektor założona jest taśma 35 milimetrów, wiała się między rolkami. Do bocznej ścianki ktoś przykleił taśmą kartkę z napisem: „Uruchom mnie”. Na podłodze leżały trzy czarne pudełka na filmy. Gdybym w tym momencie skojarzył fakty, gdybym potrafił dostrzec, że wszystko, co wydarzyło się w ostatnich dniach, prowadziło do tego momentu, zczekałbym, aż zostanę sam. Policji i tak nie interesował ten pokój, że nie wspomnę o taśmach. Cała akcja mogła zostać zinterpretowana jako pomyłka świadka, którego przerosła sytuacja. Inspektor Sallinger nie wierzyła nawet, że jeszcze kilka dni temu przyszliśmy tu z Mirandą prać nasze brudy. Niestety wtedy na to nie wpadłem.

Wcisnąłem guzik. Ścianę rozjaśnił snop białego światła. Policjanci podeszli do projektora, zanim się zorientowałem, co to za film. Czerwony triumf jechał górską drogą, pokonując kolejne zakręty. Scenę przerwało zbliżenie: oczy zapłakanej brunetki. Trwało kilka sekund. Na ekranie zaczęły błyskawicznie zmieniać się obrazy, jak przypadkowe maźnięcia pędzlem: dzieci bawiące się w parku, kobieta zanosząca się śmiechem, dziewczynka ze skrzydłami anioła na plecach, poruszająca rękami, jakby chciała odlecieć. Potem wróciła szosa i jadący samochód. Nagle na środku drogi pojawił się nie wiadomo skąd jakiś mężczyzna i wpadł pod koła rozpędzonego auta.

Kamera powoli zbliżała się do zakrwawionego ciała, które turlało się, szorując skórą po rozgrzanym asfalcie. Domyśliłem się, czyj to film, nie tyle po fabule, ile po ruchu kamery, sposobie, w jaki filmowała toczące się po szosie ciało. Nie wierzyłem własnym oczom. Tę scenę nakręcił James Black, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie od razu skojarzyłem ją ze *Wspaniałym wczorajszym życiem*, bo znacznie odbiegała od wersji, którą oglądałem. Stałem z policjantami i w milczeniu wpatrywaliśmy się w ścianę. Nie kojarzyłem tego filmu Blacka. W momencie, kiedy ciało mężczyzny wreszcie przestało się turlać, kamera najechała na samochód, który oddalał się zygzakiem, nieuchronnie zbliżając się do barierki na zakręcie. Kilka sekund później w ciszy zniknął z kadru,

jakby pochłonęła go góra.

Ekran poczerniał, chociaż szpula z filmem nadal się obracała. Wymieniliśmy z inspektorem zdziwione spojrzenia. Zanim któreś z nas zdążyło się odezwać, nastąpiło coś nieoczekiwanego. Coś brzemiennego w skutki, choć w tamtym momencie nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z jego znaczenia.

Wrócił obraz.

Kamera ostrożnie zbliżała się do samochodu, który leżał na brzegu jeziora w głębi przepaści. Można było wyczuć zdenerwowanie operatora. Obraz drżał, w nocnej ciszy słychać było urywany oddech i odgłos kroków na kamkach pokrywających teren. Kamera podniosła się, filmując ponad dwudziestometrową pionową ścianę, z której spadł samochód, po czym znów najechała na auto: miało rozbite szyby i wgnieciony przód. Zajrzała przez okno od strony pasażera. Naszym oczom ukazał się makabryczny widok: kobieta o zakrwawionej twarzy wpatrywała się w obiektyw. Ledwo oddychała, w jej spojrzeniu malowało się przerażenie. Obraz trwał kilka sekund, po czym kamera odjechała i wycelowała w przednie koło samochodu, które nadal się obracało. Dopiero wtedy zorientowałem się, co oglądam. Wszystko było tak autentyczne, tak naturalne, że nie mogło zostać zagrane. Ekran poczerniał, końcowe napisy potwierdziły moje podejrzenia:

Wspaniałe wczorajsze życie

Scenariusz i reżyseria: James Black

Obsada:

Paula Hicks – Gabrielle

Jeff Hardy – Tom

James Black – Mark

Anne Morgan – Kimberly

Jeremie Morgan – Adam

Spojrzałem na czarną puszkę i uświadomiłem sobie, że to film, którego dwa dni temu tak desperacko szukał James. Ten, który przed laty chciał puścić mnie i Mirandzie Jeff.

Inspektor Sallinger nie od razu skojarzyła nazwiska, które pojawiły się na ekranie. Już myślałem, że się nie zorientowała, kiedy podniosła do ucha komórkę.

– Inspektorze Sachs? Proszę wysłać patrol do domu Jamesa Blacka. Chyba już wiemy, co spotkało Paulę Hicks.

Odwróciła się do mnie z zatroskaną miną. Przez całą rozmowę nie spuszczała ze mnie wzroku. Zaniepokoiło mnie, co też takiego opowiada jej inspektor Sachs.

Moje obawy się potwierdziły, kiedy schowała komórkę i powiedziała:

– Panie Huff, pojedzie pan ze mną na komisariat. Musi nam pan wyjaśnić kilka rzeczy.

ROZDZIAŁ 42

Domek z kart

Redakcja „Los Angeles Timesa”

27 września 2015

Jim Alsey, naczelny „Los Angeles Timesa”, codziennie przychodził do redakcji przed innymi dziennikarzami. Jako pierwszy przeglądał tematy do opisanego, żeby potem rozdzielić je między członków zespołu. Dwudziesty siódmy września zapowiadał się spokojnie. Poprzedniego dnia nie wydarzyło się nic ciekawego. Do nowego wydania miały trafić oświadczenia kilku polityków, zaktualizowane informacje dotyczące gazu, który od jakiegoś czasu ulatniał się w Beverly Hills, oraz zawiadomienie o przerwach w kursowaniu metra na dwóch liniach z powodu ograniczeń w dostawach prądu. Strony sportowe miały zostać niemal w całości poświęcone miażdżącemu zwycięstwu Lakersów nad Bullsami. Krótko mówiąc, szykował się kolejny nudny dzień. Jim wiedział, że będzie musiał się nieźle nagłówkować, by przyciągnąć uwagę czytelników wydania online prowokacyjnym artykułem poświęconym jakiejś hollywoodzkiej gwiazdzie.

Pomyślał, że zadzwoni do jednego ze swoich informatorów: a nuż doszło do jakiegoś godnego uwagi skandalu. Może policja zatrzymała kogoś celebrytę za jazdę po pijanemu, za posiadanie narkotyków albo za pobicie żony na oczach świadków. Hollywood to najlepszy ze światów, w którym wszystko błyszczy w świetle fleszy, ale migoczące na niebie gwiazdy szybko spadają na ziemię i rozbijają się o asfalt.

Jim dotarł do budynku redakcji na skrzyżowaniu Pierwszej i South Spring. Dozorca Bob powitał go uśmiechem. Trzymał w dłoniach niewielkie zaklejone pudełko.

- Hej, Bob, widziałeś mecz?
- Przy takim grafiku? Mam szczęście, jeżeli uda mi się zdążyć na ostatnią kwartę.
- Powinieneś poszukać sobie lepszej roboty – zażartował Jim.
- Ty też – odparł wesoło dozorca.
- Ta paczka przyszła na adres redakcji?
- Wczoraj wieczorem przyniosła ją jakaś kobieta, akurat zbierałem się do

wyjścia. Mało kto dostarcza przesyłki osobiście.

Jim spojrzął na pudełko wielkości dwóch, trzech książek. Nie było na nim nazwiska nadawcy, za to na wierzchu ktoś napisał czerwonym flamastrem: „Dla redaktora naczelnego «Los Angeles Timesa»”.

– To była bardzo atrakcyjna kobieta. Jakaś nowa dziewczyna, o której nie wiem?

– Ja i dziewczyna? Żeby mieć dziewczynę, najpierw musiałbym znaleźć normalną pracę.

– Mówiłem ci, że powinieneś poszukać czegoś lepszego.

Jim odpowiedział mu uśmiechem. Wziął paczkę i ruszył w stronę schodów. Usiadł za biurkiem i włączył komputer. Czekając, aż się uruchomi, otworzył pudełko. W środku były płyta CD i napisana odręcznie wiadomość.

Od dawna nie dostawał tego rodzaju przesyłek. Pomyślał, że na płycie muszą być dowody w jakiejś sprawie. Kilka lat wcześniej, kiedy w gazecie pracowali jeszcze dziennikarze śledczy, do redakcji często przychodziły paczki zawierające dokumenty, twarde dyski albo nagrania z monitoringu z jakąś sensacją. Zanim przeczytał liścik, rozważył kilka teorii. Może skarbnik jednej z partii przesłał im wyciągi bankowe świadczące o podwójnym księgowaniu? A może to było niewyraźne nagranie, na którym widać, jak ktoś sławny przekracza dozwoloną prędkość? Dzień zapowiadał się strasznie nudno i Jim ucieszył się na myśl, że może będzie miał z czego zrobić bombę na pierwszą stronę jutrzejszej gazety. Najlepiej, gdyby chodziło o seksaferę z udziałem jakiegoś polityka. Słupki sprzedaży utrzymywałyby się w górze przez cały tydzień. Podekscytowany przeczytał liścik. Osłupiał: to, co w nim było, biło na głowę wszystko, co mógł sobie wymarzyć.

Szanowny Panie Redaktorze,

przesyłam Panu NA WYŁĄCZNOŚĆ kopię oryginalnej wersji filmu Wspaniałe wczorajsze życie w reżyserii Jamesa Blacka. Nakręcona w 1976 roku przez samego Blacka, dokumentuje tragiczną śmierć Pauli Hicks, kobiety, której zwłoki wydobyto niedawno z jeziora w Hidden Springs. Przypuszczam, że ta sprawa zainteresuje Pańską gazetę, i mam nadzieję, że zrobi Pan to, co trzeba, by wreszcie ujrzała ona światło dzienne. Najwyższy czas uczynić zadość sprawiedliwości.

Z poważaniem,

M.H.

Jim Alsey wpadł w euforię. Nie miał pojęcia, kim jest M.H., ale jeżeli nadawca nie kłamał, jeżeli na płycie rzeczywiście było to, co twierdził w liście, trafiła im się sensacja roku: jeden z najlepszych reżyserów w dziejach kina zamieszany w śmierć

kobiety, której zwłoki odnalazły się po prawie czterdziestu latach.

Zaczekał, aż zbierze się cały zespół, i zwołał rutynowe zebranie, żeby zmienić przydział zadań. Zawiesił prace nad niektórymi reportażami i zlecił dziennikarzom, by przeanalizowali film pod różnymi kątami. Trafił mu się klejnot i miał dwadzieścia cztery godziny na to, żeby go oszlifować i puścić w obieg, zanim ktoś go uprzedzi.

Nie wiedział, że podobne przesyłki trafiły do kilkudziesięciu innych redakcji w całym kraju. Dzięki temu w kolejnych dniach sprawa Blacka nabrała ogromnego rozgłosu i rozniosła się po świecie... Był to początek końca sławy reżysera, która niczym domek z kart zaczynała się sypać.

ROZDZIAŁ 43

Miranda

Pięść

Dowiedziałam się, że podczas zdjęć do *Wspaniałego wczorajszego życia* doszło do tragedii: Paula Hicks potrafiła Jeffa, kiedy kręcili jedno z ujęć – stąd jego szpetny wygląd i blizny, które tak mnie zszokowały, kiedy go poznałam. Ona sama straciła kontrolę nad kierownicą i zjechała w przepaść. Gdyby James Black pospieszył na ratunek Jeffowi, gdyby wezwał karetkę do Pauli, można by to uznać za nieszczęśliwy wypadek. On jednak nie tylko tego nie zrobił, ale co gorsza wszystko sfilmował.

Jego spojrzenie było tak wnikliwe, jakby obserwował spektakl przyrody. Świadomie postanowił uwiecznić straszliwe sceny. Potem wystraszył się, że ta historia może położyć się cieniem na jego filmie, i pozbył się samochodu. Triumph zniknął, a wraz z nim Paula. Tak przynajmniej twierdziły jej dzieci.

Zapytałam, skąd to wszystko wiedzą.

– Bo można to zobaczyć w pierwszej wersji *Wspaniałego wczorajszego życia* – wyjaśnił Jeremie. – Nie tej, którą wszyscy znają, ale tej, którą James Black nakręcił z naszą matką, Jeffem i z nami. My też graliśmy w tym filmie.

– Role Kimberly i Adama?

Anne ze smutkiem pokiwała głową.

– Przecież... to bardzo poważna sprawa.

– James Black zmontował film i zamierzał go sprzedać do kin, ale kiedy w prasie ukazała się informacja o zniknięciu naszej matki, musiał zmienić plany. Odczekał kilka lat i nakręcił go od początku, z innymi aktorami. Gdyby wyszło na jaw, że w jego filmie gra zaginiona Paula Hicks, nikt nie pokazałby tej mrocznej historii. Dlatego kiedy udało mu się przekonać do swojego pomysłu jednego z największych producentów, nakręcił nową wersję, niemal identyczną.

– Chwileczkę. Czy ten film był kiedykolwiek w posiadaniu waszego ojca?

– Tak. Skąd wiesz?

– Puścił go nam, mnie i Ryanowi, mojemu mężowi. Zobaczyliśmy tylko początek, pamiętam, że potem przyszedł James Black i zabronił nam go oglądać.

To właśnie wtedy... go zabrał.

– Tata powinien był zgłosić sprawę na policję, dopóki miał taśmy. Nie zrobił tego. Bał się.

– Ale dlaczego? Skoro ten film jest tak ważnym dowodem na to, co spotkało waszą matkę, powinien był go wykorzystać, dopóki go miał. Może tamte taśmy już nie istnieją i wszystkie dowody przepadły.

– Nie zrobił tego ze strachu, że straci prawo do opieki nad mną i nad Anne.

– Ze strachu?

– Po zniknięciu mamy trafiliśmy do ośrodka opiekuńczego, a Jeff był przez ponad sześć miesięcy w śpiączce. Po wybudzeniu nie pamiętał, co się wydarzyło. Nie wiedział, jak znalazł się w szpitalu ani ile czasu tam leży. Stracił mowę, nie potrafił chodzić. Po miesiącach rehabilitacji odzyskał sprawność w nogach, zaczął też jako tako mówić. Tylko bliźny nie zniknęły. One nigdy nie znikają. Bliźny zostają na zawsze, przypominają ci, że przeżyłeś.

– I co było potem?

– Podczas rehabilitacji bez przerwy wypytywał o jakieś dzieci, nawet wtedy, kiedy jeszcze ledwo bełkotał. „Gdzie są dzieci? A moje dzieci?”. On sam nie wiedział, o jakie dzieci mu chodzi. Oprócz nas nie pamiętał nic z tamtego lata. Nie pamiętał naszej matki, nie pamiętał, że kręcił z Blackiem jakiś film. Jego ostatnim wspomnieniem była wizyta w posiadłości „Playboya”. Ale nocami śnił o nas. Widział nasze twarze. Widział, jak bawimy się w parku, jak puszcza latawca, jak śmiejemy się w jakimś obcym domu. Jego dzieci odwiedzały go nocami, w snach. My w tym czasie byliśmy w ośrodku opiekuńczym. Minęło kilka miesięcy, zanim powiedziano nam, że naszej mamy już nie ma. To był straszny cios. Naprawdę straszny. Jeremie nie rozumiał, co się dzieje. Był mały i chociaż od czasu do czasu pytał o mamę i często płakał, wystarczyło go czymś zająć, żeby się uspokoił. Ja przytulałam się do niego nocami i cały czas szlochałam. – Jeremie położył dłoń na kolanie siostry i kontynuował opowieść:

– Pewnego dnia śledztwo w sprawie zniknięcia naszej matki ni stąd, ni zowąd doprowadziło policję do wniosku, że uciekła z kochankiem, zostawiając dzieci z opiekunką. Prasa natychmiast zwietrzyła sensację. Dziennikarze zaczęli obrzucać ją błotem, przypisywali jej wymyślone uzależnienia, wymieniali kraje, w których rzekomo ją widziano. Ale ta lawina pomówień i kłamstw spowodowała coś, co odmieniło nasze życie. Żeby podsycić nienawiść wobec naszej matki, Kanał 4 złamał zasadę etyki dziennikarskiej, która zakazuje pokazywania twarzy nieletnich, i pewnego ranka jak gdyby nigdy nic na ekranach wszystkich telewizorów w kraju pojawiły się nasze zdjęcia opatrzone podpisem: „To te dzieci porzuciła Paula

Hicks”.

– Proszę, powiedzcie, że to dzięki nim Jeff trafił na wasz trop.

Anne skinęła głową z łagodnym uśmiechem.

– Wpadka mediów uratowała nas przed wylądowaniem w niewłaściwej rodzinie – stwierdził Jeremie. – Jeff oglądał program w szpitalu, zobaczył nasze zdjęcia, rozpoznał dzieci ze swoich snów i jeszcze tego samego dnia rozpoczął walkę o to, żeby nas adoptować. Nie wiedział, skąd nas zna, ani jak to możliwe, że tak bardzo kocha obce dzieci, ale uznał, że sprawa jest warta zachodu. Miłość, jaką nas darzył, dodała mu sił. Byliśmy jedynym wspomnieniem, które przetrwało nienaruszone w jego pamięci.

Westchnęłam.

– Tata przyłożył się do rehabilitacji – przejęła pałeczkę Anne – i zaczął desperacko szukać pracy, żeby móc nas adoptować. Zmieniony wygląd i poważne problemy z mówieniem nie ułatwiały mu zadania, ale trafił chciał, że na uniwersytecie zwolniło się miejsce dozorca. Rzucił studia, wydawał całą pensję na formalności związane z adopcją. Nie wyobrażasz sobie, co poczułam, kiedy po miesiącach spędzonych w ośrodku opiekuńczym zobaczyłam znajomą twarz. Jeff przyszedł, żeby nas uratować, żeby nas stamtąd wyciągnąć.

– A jak zdobył film? Skąd miał taśmy z pierwotną wersją? Zakładam, że Black nie chciał, by ktokolwiek ją zobaczył.

– To właśnie jest w tym wszystkim najlepsze: podobno Black sam mu je przyniósł. Kilka lat po wypadku, kiedy już mieszkaliśmy we trójkę, James pojawił się w domku na kampusie. Może czuł się winny, a może chciał się pochwalić dziełem, które zawdzięczał śmierci naszej matki. Miał nierówno pod sufitem. Postąpił bezdusznie. Zawsze taki był. Tamtego dnia po prostu przyszedł i powiedział: „Sztuka stoi ponad śmiercią, przyjacielu. Nie zapominaj o tym”.

– Ale po co to zrobił?

– Żeby przypomnieć Jeffowi, że on także odegrał pewną rolę w tragicznej śmierci naszej matki. Żeby go zastraszyć i na zawsze uciszyć. Gdyby ta wersja ujrzała światło dzienne, wyszłoby na jaw, że tata ma bezpośredni związek ze śmiercią Pauli Hicks. Grał w filmie, nakręcił nawet kilka scen, to czyniło go współnikiem. Odebraliby mu nas, gdyby wyszło na jaw, że nasza mama zginęła podczas kręcenia zdjęć do filmu, w którym brał udział, nawet jeśli był niewinny. Straciłby prawo do opieki, gdyby wyznał, co wie. Sprawa zniknięcia naszej matki od początku budziła wątpliwości. Opieka społeczna na pewno straciłaby do niego zaufanie i odebrała mu to, co najbardziej kochał.

– Ale dlaczego akurat teraz chcecie coś z tym zrobić? Dlaczego zamierzacie

ujawnić, co przytrafiło się waszej matce?

– Bo nasz tata umiera, Mirando. Jego życie wali się od dnia, kiedy postanowił pomóc Blackowi przy jego filmie, za to życie Blacka to pasmo sukcesów. Ten człowiek nie zasługuje na to, co ma. Świat powinien poznać prawdę.

– A co na to wasz ojciec? Jest gotów wszystko ujawnić?

– O niczym nie wie. Jest w ciężkim stanie, bardzo ciężkim. Obrażenia, których doznał w tamtym wypadku, z biegiem czasu coraz bardziej dawały mu się we znaki. Ciało z jednym płucem, fragmentem wątroby i poważnie uszkodzoną trzustką ma małe szanse na to, żeby się normalnie zestarzeć. Chcę, żeby... żeby zanim odejdzie, miał świadomość, że sprawiedliwości stało się zadość. Wszyscy powinni wiedzieć, że James Black jest zwykłym mordercą.

Jej słowa nie dawały mi spokoju. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. Kiedy się z nimi zegnałam, nadal byłam w szoku. Ta historia wydała mi się tak mroczna, tak makabryczna, że nie wiedziałam, co powinnam im odpowiedzieć. Po wyjściu z kawiarni postanowiłam, że wrócę do normalnego życia, chciałam zapomnieć o tym, co się stało. Nie udzieliłam im jednoznacznej odpowiedzi, nie obiecałam, że pomogę im odzyskać film, ale też nie odmówiłam. Anne zapisała mi na serwetce swój numer telefonu. Przed podjęciem decyzji musiałam przetrwać wszystko, czego dowiedziałam się tego popołudnia.

Dotarłam do domu późnym wieczorem, Ryana jeszcze nie było. Minęło kilka godzin. Rzadko kiedy wracał po dziesiątej, tym bardziej w środku tygodnia. Kiedy spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że zbliża się północ, naprawdę zaczęłam się o niego martwić. Martwiłam się jak idiotka. Idiotka, którą byłam od początku naszego związku.

Niedługo potem Ryan zjawił się w domu, pijany. Jechało od niego alkoholem i damskimi perfumami. Pokłóciliśmy się. Kolejny raz pokłóciliśmy się o coś, co w ogóle nie podlegało dyskusji. Nie powinnam była nawet pozwolić mu się tłumaczyć. Wtedy zrobił coś, co wszystko zmieniło: podniósł na mnie pięść.

Trzymał ją w górze, a ja bałam się, że zaraz mnie uderzy. Ręka drżała, pięść zaciskała się tak mocno, że aż pobieleły mu kłykcie. Najgorsze było to, że kiedy znowu spojrzałam mu w oczy, zdałam sobie sprawę, że już go w nich nie ma. Ryan zniknął. Ten Ryan, którego znałam – a przynajmniej tak mi się wydawało – okazał się zjawą, miłość, jaką go darzyłam, rozpułyła się w tym mrocznym, pustym spojrzeniu.

Nie miałam odwagi się odezwać. Kiedy uświadomił sobie, co zamierzał zrobić, odwrócił się i wyszedł, obrzucając mnie wyzwiskami i trzaskając drzwiami, a ja zostałam w kuchni, sparaliżowana strachem.

Na stole leżała serwetka z numerem telefonu Anne. Nie wiedziałam, z kim mogłabym porozmawiać, dlatego do niej zadzwoniłam, chociaż był środek nocy.

– Możemy się teraz zobaczyć? – zapytałam, zanosząc się płaczem.

ROZDZIAŁ 44

Ryan

Winny

26 września 2015

Już drugi raz siedziałem w radiowozie, ale teraz czułem się naprawdę winny. Policjanci wsadzili mnie do samochodu i ponad godzinę czekałem, aż inspektor Sallinger skończy oględziny gabinetu Jeremiego Morgana. Obok radiowozu zaparkował van techników kryminalistyki, widziałem, jak wchodzą do budynku z dwiema metalowymi walizeczkami. W drzwiach minęli się z policjantką, zamienili kilka słów. Zadzwoiłbym do Blacka, ale zabrali mi telefon. Inspektor Sallinger nie chciała, żebym „zainfekował jego zeznania” czy jakoś tak. „James, co ty najlepszego zrobiłeś?”. Czy scena z Paulą Hicks była autentyczna? Czy to rzeczywiście ona? Nie wyglądało to raczej na efekty specjalne. Nie mogłem wymazać z pamięci jej przerażonego spojrzenia, jej urywanego oddechu, jej zakrwawionej twarzy.

Jechałem na tylnym siedzeniu. Przez całą drogę milczałem, nie miałem odwagi się odezwać. Nie odczytali mi moich praw, uznałem więc, że i tym razem nie zostałem zatrzymany. Kiedy dotarliśmy na miejsce, oniemiałem: przed wejściem do komisariatu stało ponad trzydziestu dziennikarzy z kamerami i mikrofonami.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– To pewnie z powodu Jamesa Blacka – stwierdziła inspektor Sallinger. – Musieli się dowiedzieć o jego zatrzymaniu.

– Tak szybko?

– Dziennikarze prowadzą nasłuch policyjnych komunikatów, zdarza się też, że są w kontakcie z kimś od nas, kto dzwoni, kiedy dowie się o jakiejś grubszej sprawie. Nie sposób temu zapobiec. Niektórzy dorabiają tak do pensji. Wszyscy mamy rachunki do zapłacenia.

– To legalne?

– Ja na pewno nie będę wszczynać śledztwa, żeby odkryć, kto przekazał tę wiadomość mediom.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, okazało się, że sytuacja przedstawia się

jeszcze gorzej, niż myślałem.

– Jest! To on! – krzyknął na mój widok jeden z dziennikarzy.

Chwilę później oślepiły mnie błyski fleszy. Reporterzy biegli w moją stronę.

– O co im chodzi? – zapytałem skołowany, odwracając się do inspektora Sallinger.

Niektórzy już mnie dopadli, zaczęli zadawać pytania, zanim zrozumiałem, co się święci.

– To pan jest mężem Mirandy Huff? Jak pan myśli, gdzie jest pańska żona? Kiedy ostatni raz ją pan widział? Mają państwo dzieci? Jak długo jesteście małżeństwem?

Zasypali mnie tyloma pytaniami, że nie wiedziałem już, jak się nazywam.

– Ja... nie... nie wiem.

Zorientowałem się, że otaczają mnie mikrofony, nie miałem jak uciec.

– Czy zabił pan swoją żonę? – rzucił jeden z dziennikarzy. – Mieli państwo ostatnio problemy?

– Proszę nie odpowiadać, idziemy – rozkazała inspektor Sallinger, starając się przekrzyczeć szum kamer i gwar głosów. Pociągnęła mnie w stronę drzwi.

Byłem roztrzęsiony. Drżały mi ręce, nie mogłem mówić. Dopiero kiedy znalazłem się w środku, odetchnąłem z ulgą: dziennikarze ścignęli tu nie z powodu Blacka, ale Mirandy. Ich uwagę musiało zwrócić zawiadomienie o jej zaginięciu, skojarzyli je z informacją o szczątkach w jeziorze i zwłokach dziewczyny, która nie była mi obca, chociaż jeszcze się do tego nie przyznałem. Od zniknięcia Mirandy nie udawało mi się jednak na dłużej odzyskać spokoju, zaraz coś znów go burzyło. Tak było i tym razem.

Czekał już na nas inspektor Sachs. Na jego surowej twarzy malował się niepokój.

– Proszę z nami – powiedział, wskazując salkę, w której poprzednio składałem zeznania.

Pocieszało mnie, że przynajmniej znajdę się w znanym miejscu, nawet jeżeli był to pokój przesłuchań na komisariacie.

– Oczywiście – odparłem. – Wiadomo coś o Mirandzie? Jest jakiś nowy trop? – dociekałem, podążając za policjantem.

Zignorował moje pytania. Kiedy weszliśmy do pokoju, zamknął drzwi za moimi plecami.

– Dlaczego mają państwo takie miny? Co się stało? Chyba mój szwagier nie wrócił, żeby znowu mnie znokautować? – rzuciłem, żeby rozładować atmosferę.

Byli śmiertelnie poważni. Zwłaszcza inspektor Sachs. Do tej pory traktowali

mnie naprawdę życzliwie, ale czułem, że to się wkrótce zmieni.

– Musi nam pan coś wyjaśnić, panie Huff.

Policjant wskazał ścianę, na której wisiał ekran. Obraz był nieruchomy, wyglądało to na zatrzymane nagranie z monitoringu.

– Co takiego?

– Proszę się uważnie przyjrzeć.

Sięgnął po pilota i wycelował nim w odtwarzacz. Obraz ruszył, jacyś ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce. Nic z tego nie rozumiałem.

– Co to jest?

– Nagranie z monitoringu w barze w centrum Los Angeles, do którego przychodziła Jennifer Straus, dziewczyna, którą początkowo wzięliśmy za pańską żonę. Ta, której zwłoki miał pan zidentyfikować.

Poczułem dreszcz na plecach. Rozpoznałem bar: ten sam układ stolików, te same obrazy, w głębi stół bilardowy. Co gorsza rozpoznałem też siebie, upijającego się przy barze.

– Widzi pan tę dziewczynę? Tę, która pije piwo? To właśnie Jennifer Straus.

Skinąłem głową i przełknąłem ślinę. Czekałem, aż sam mi to powie.

– A tego mężczyznę? Poznaje go pan?

– Tak, oczywiście. To ja. – Nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Robimy postępy – odparł inspektor Sachs. – Może mi pan powiedzieć, co dzieje się potem?

– Podchodzę do niej i zaczynamy rozmawiać. Czy to jest konieczne? Bo widzą państwo, ja... byłem...

– Panie Huff, nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji. Mam wrażenie, że gra nam pan na nosie. Powiedział pan, że nie zna tej dziewczyny. Że nie wie, kim jest.

– Ja... Co innego miałem powiedzieć?

– Chwileczkę – przerwał mi. Przewinął nagranie o kilka minut. – Może mi pan wyjaśnić, co robicie teraz?

Spuściłem głowę. Nie mogłem na to patrzeć.

– Całujemy się – odparłem.

– Tylko?

– Całujemy się i idziemy razem do toalety.

Nie musiałem patrzeć, żeby wiedzieć, co dzieje się na nagraniu.

– Dobrze. Wie pan co, panie Huff? Mamy jeszcze trzy takie nagrania. Z tego samego baru. Z różnych dni w ostatnich dwóch miesiącach. Przez dwa miesiące spotykał pan tę dziewczynę w barze, utrzymywaliście kontakty seksualne i mówi

pan, że jej nie zna.

– Chcecie mnie o coś oskarżyć?

– A powinniśmy? – wtrąciła inspektor Sallinger, która dotąd trzymała się z boku.

– Moja żona zniknęła. To chyba rozumiałe, że się denerwuję. Chcą państwo usłyszeć, że zdradzałem Mirandę? To właśnie mam powiedzieć?

– Nie obchodzi nas pańskie życie prywatne. Obchodzi nas za to, że złożył pan fałszywe zeznania w trakcie śledztwa w sprawie kryminalnej. To poważne przestępstwo, panie Huff.

– Powiedzieć panu, co myślę po obejrzeniu tego nagrania? – rzuciła policjantka rozdrażnionym tonem. – Myślę, że uważa nas pan za idiotów. A nic nie wkurza mnie bardziej niż ludzie, którzy myślą uprzejmość z głupotą. Sądzę, że byliśmy dla pana mili. Cały wydział zaangażował się w poszukiwania pańskiej żony. A pan jak się nam odpłaca? Kolejnymi kłamstwami.

– Przepraszam... Naprawdę przepraszam.

– W porządku. Skoro już wyjaśniliśmy sobie, jak będziemy odtąd z panem rozmawiać, proszę nam jeszcze coś powiedzieć.

– Co... co tylko państwo zechcą – odparłem.

Inspektor Sachs powstrzymał koleżankę ruchem dłoni i szepnął jej coś do ucha. Policjantka kiwała głową, mierząc mnie wzrokiem. Nie spodobała mi się ta nagła tajemniczość, odniosłem wrażenie, że straciłem resztki kontroli nad sytuacją.

– No dobrze, panie Huff. Ja zdradzę panu, co mamy, a pan szczerze odpowie na moje pytania. Jasne?

– Jasne.

– Raport z sekcji zwłok wskazuje, że Jennifer Straus zginęła dokładnie trzy dni temu, w nocy z czwartku na piątek. Dzień później, w nocy z piątku na sobotę, zgłosił pan zaginięcie żony. Co robił pan poprzedniej nocy?

– By... byłem w domu. Z Mirandą – odparłem zdenerwowany.

– Jak pan się domyśla, pańska żona nie może tego potwierdzić.

– Tak, oczywiście.

– No dobrze, powiem panu, w czym rzecz, a pan spróbuje mi to jak najdokładniej wytłumaczyć.

– Słucham.

– Dostaliśmy kopię rezerwacji. Twierdzi pan, że wynajęliście domek na weekend, mieliście przyjechać w piątek, spędzić tam całą sobotę, a dziś, to znaczy w niedzielę, wrócić do Los Angeles. Czy tak?

– Dokładnie. Taki był plan.

– Domek zarezerwowano od czwartku.

– Ale przecież... to może być pomyłka, prawda? Poza tym rezerwację robiła Miranda.

– Zapłacono pańską kartą, panie Huff. Od czwartku do niedzieli.

– Miranda zna hasła. Zna wszystko. Umówiliśmy się, że to ona robi rezerwację. Ja nie...

Policjanci wymienili spojrzenia, po czym odwrócili w moją stronę obojętne twarze. Przypominało to wyćwiczoną choreografię.

– Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że po tych wszystkich bezczelnych kłamstwach trudno nam panu uwierzyć.

Westchnąłem, kiwając głową. Miałem wrażenie, że zapuszczam się w ślepią uliczkę.

– Proszę to przejrzeć.

Inspektor Sachs położył przede mną plik kartek z listą kodów i cyfr; wyglądały na współrzędne geograficzne. Na jednej ze stron była mapa, na której zaznaczono na czerwono kilka punktów.

– Co to jest?

– Wykaz połączeń pańskiej komórki ze stacjami przekaźnikowymi. Na mapie zaznaczono wieże w pobliżu Hidden Springs.

– I co z tego wynika?

– Widzi pan te trzy punkty? Znajdują się w odległości od trzech do pięciu kilometrów od domku. Sygnał, który wyłapują, pozwolił wyznaczyć obszar, na którym pan przebywał.

– Aha.

– No więc tak: z danych operatora wynika, że w czwartek w nocy przebywał pan – Sachs sięgnął po długopis i zazaczył na mapie kółko pomiędzy trzema stacjami – gdzieś na tym obszarze, czyli w okolicach chatki w Hidden Springs.

– To niemożliwe! Byłem w domu! Co to ma być? Jakiś fortel? To pomyłka.

– Ja mam mu powiedzieć czy ty chcesz to zrobić? – zapytał inspektor Sachs.

– Powiedz ty.

– W porządku. Słyszał pan o badaniach DNA? Wie pan, jaka jest ich wiarygodność, prawda?

Nie odpowiedziałem. Bałem się, że zaraz zwymiotuję.

– Bardzo wysoka. Prędzej trafi w pana piorun, niż wyniki testów okażą się błędne.

– Do czego państwo zmiierzają?

– Przed kilkoma godzinami otrzymaliśmy wyniki badań próbek DNA pobranych z krwi znalezionej w domku. Nie spodziewałem się, że przyjdą tak szybko.

– I?

– Porównaliśmy je ze śladami biologicznymi wyizolowanymi z ubrań pańskiej żony i włosów znalezionych w jej samochodzie. Z raportu wynika, że krew w domku nie należy do Mirandy.

– Jak to?

– Dobrze pan słyszał. Ale to nie wszystko. W całym domku nie znaleziono żadnych śladów biologicznych Mirandy. Nigdy jej tam nie było. Jesteśmy tego pewni. Był za to jej samochód. Może przyjechała, ale nie weszła do środka.

Policjant zawiesił głos. Kiedy ponownie się odezwał, pomyślałem, że eksploduje mi serce, poczułem przypływ adrenaliny i strachu, że resztę życia spędzę w więzieniu.

– To krew Jennifer Straus.

Chwilę później inspektor Sachs odczytał mi moje prawa.

ROZDZIAŁ 45

James Black

Ostatni dzień zdjęciowy

1976

Ostatnie dwa tygodnie zdjęć były najcięższe. Paula i Jeff musieli znosić humory Jamesa bez reszty pochłoniętego filmem. W końcu zaczęli go unikać. Paula musiała zostawiać dzieci z Alisson na dłużej, niżby chciała. Czas mijał, lato dobiegało końca, a James był coraz bardziej zdeterminowany, by dokończyć swoje dzieło. Wreszcie do nakręcenia została już tylko finałowa sekwencja. Przez kilka dni filmował jednosekundowe ujęcia. Przygotowanie każdego z nich wymagało wielu godzin pracy i zarówno Paula, jak i Jeff mieli wrażenie, że niepotrzebnie tracą czas.

Musieli sfilmować jeszcze ucieczkę Pauli z domu ze zwłokami dzieci na tylnym siedzeniu samochodu i scenę samobójstwa, kiedy zjeżdża w przepaść z górskiej drogi. Była to najbardziej dynamiczna sekwencja w całym filmie, niespodziewany obrót akcji nadawał historii nowy wymiar. Dlatego James tak się denerwował. Było jeszcze ciemno, kiedy spotkali się w domu Pauli – chciał maksymalnie wykorzystać dzień i omówić szczegóły przed rozpoczęciem zdjęć.

– Muszą być z tobą w samochodzie – odpowiedział na protesty Pauli. – Będą leżeć z tyłu. Ja usiądę na fotelu pasażera i nakręcę cię ze środka.

– Nie ma mowy, James – sprzeciwił się Jeff. – Nagramy te ujęcia tutaj, kiedy będą spały w zaparkowanym aucie. Przecież będą martwe, nie? Sfilmujesz je tutaj i zostaną w domu z Alisson.

– Nie będziesz mi mówił, jak mam reżyserować swój film.

– A ty nie będziesz mi mówił, co mają robić moje dzieci – postawiła się zirytowana Paula.

– W ten sposób nigdy nie przejdziemy do historii!

– James, moje dzieci już dość się nagrały w tym filmie.

– Przecież można sfingować tę scenę, wszyscy reżyserzy tak robią. Dałbyś spokój z tym obsesyjnym dążeniem do realizmu. Odpuść sobie. Nie przewieziemy dzieci po górach, leżących na tylnym siedzeniu, nieprzypiętych pasami, tylko po to,

żebyś ty miał swoje ujęcie. To zbyt niebezpieczne. Nie podoba mi się ten pomysł – upierał się Jeff.

– Niczego nie rozumiecie. Myślicie, że mnie się to podoba? Myślicie, że chcę narazić dzieci na niebezpieczeństwo?

– Masz w nosie dzieci. Masz w nosie nas wszystkich – oburzyła się Paula. – Popadasz w obsesję. Jesteś znerwicowany. To miał być szczególny projekt. Do diabła, gdzie się podział dawny, normalny James Black, którego znaliśmy?

– Wyluzuj, James. Okej? – dodał Jeff, żeby uspokoić emocje.

– Sprzeciwicie się wszystkiemu, co proponuję. Dlaczego chcecie zmarnować mój film? Dlaczego?

– Oddałam ci swój samochód – powiedziała ze złością Paula. – Na potrzeby twojego filmu zepchniemy mój samochód w przepaść. To ja się tu najbardziej poświęcam. Co jeszcze mam ci oddać? Życie? Co jeszcze? Proś, o co zechcesz, ale nie każ mi jechać z dziećmi na złamanie karku.

– Co się dzieje, mamó? – zapytała rozszpanym głosem Anne, przecierając oczy.

– Anne... kotku, śpij. Jest jeszcze bardzo wcześnie – szepnęła Paula.

Rzuciła zagniewane spojrzenie Jamesowi, który milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jeff szybko wziął Anne na rękę, Paula podeszła i pocałowała ją w czoło.

– Nic się nie dzieje, kochanie. Chcesz, żebym zaniósła cię do łóżka?

James dostrzegł coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Jeff niemal niepostrzeżenie przeciągnął dłońią po plecach Pauli. Niewinny gest, który mógł uchodzić za dowód zażyłości, jaka połączyła ich przez tygodnie wspólnej pracy. Subtelny i nic nieznaczący. Może właśnie dlatego tak nim wstrząsnął. Pomyślał, że gdyby nie był tak pochłonięty filmem, zorientowałby się wcześniej. Kiedy Jeff i Paula zanieśli Anne do pokoju i wrócili do salonu, on nadal stał nieruchomo w tym samym miejscu, zastanawiając się, kiedy stracił to, co uważał za swoją własność.

– Jak długo ze sobą sypiacie? – rzucił.

Paula zamknęła oczy i westchnęła: wolałaby odwlec ten moment. Zamierzała przeprowadzić tę rozmowę, kiedy skończą kręcenie filmu, a może liczyła na to, że jej relacje z Jeffem same się rozluźnią i znów będą po prostu wykładowczynią i studentem.

– James... – odezwał się Jeff.

– To nie tak...

– Zamierzacie wypierać się tego w żywe oczy? Paulo, myślisz, że nie zauważyłem, że od kilku dni mnie unikasz?

- Nie unikam cię... po prostu...
- Jak długo? – powtórzył rozzłoszczony.
- Dwa tygodnie – odparł Jeff.

James skinął głową i przez chwilę milczał. Zastanawiał się, co powinien zrobić.

- Kiedy zamierzaliście mi o tym powiedzieć?
- Kiedy skończymy film – wybąkał zestresowany Jeff.

James spojrział na przyjaciela i oznajmił:

- No to wreszcie go skończmy.

James w kółko oglądał to, co do tej pory nakręcili. Od czasu do czasu szeptał jakieś niezrozumiałe słowa, podziwiając któreś z ujęć, albo cmokał, kiedy trafiał na scenę, z której nie był zadowolony. Jeff spoglądał na niego zaniepokojony, Paula wolała się nie odzywać. Kiedy obudziły się dzieci, Jeff przygotował je do ich ostatniej sceny.

Wymieszał miód z czerwonym barwnikiem spożywczym i wymazał im ubrania. Anne i Jeremie traktowali to jako zabawę, śmiali się do rozpuku, wprowadzając Jamesa w coraz większą złość.

- Nakręcimy wreszcie tę scenę? – warknął.

– James, pamiętaj, co ci powiedziałam – syknęła Paula. – Nie wyżywaj się na moich dzieciach. Zachowuj się jak mężczyzna, za którego cię miałam. Jeśli o mnie chodzi, nie musisz udowadniać, że jesteś jednym z najlepszych reżyserów na świecie. Wystarczy mi, że nie będziesz draniem.

- A co, jeżeli nim jestem?

- Wtedy okazałbyś się największą pomyłką mojego życia.

James zacisnął zęby, dotknięty jej słowami.

Jeff zaprowadził dzieci do samochodu i kazał im udawać, że śpią, by mogli nakręcić ostatnią scenę z ich udziałem. Przekonanie Jeremiego, żeby poszedł w ślady siostry, która od razu pojęła, co ma robić, zajęło mu trochę czasu. Wreszcie dzieci położyły się na tylnym siedzeniu i wytrzymały na tyle długo, żeby James mógł sfilmować kilka krótkich ujęć; zamierzał je wpleść w sekwencję, którą mieli nakręcić po południu.

Zrobił zbliżenie zakrwawionej rączki Jeremiego i zamkniętych oczu Anne. Sfilmował rozpostarte na siedzeniu włosy dziewczynki i nieruchomą stópkę chłopca wystającą spod piżamy.

– Dobra, mam to – powiedział, kiedy skończył. – Dzieci zostają w domu, tak? Wpadłem na pewien pomysł. Zmiana planów.

- Jaka zmiana?

- Przypomniałem sobie, że jest lepsze miejsce niż to, o którym myśleliśmy.

Górzysty teren na wschód od miasta. To niedaleko, jakieś dwie godziny drogi.

– Zaczekam na Alisson i powiem jej, że będę później.

– Super – stwierdził James. – W takim razie po południu widzimy się na stacji benzynowej przy zjeździe na dwójkę. Nie ma pośpiechu, zdjęcia i tak muszą zostać nakręcone o zachodzie słońca.

– Co to za miejsce?

– Hidden Springs.

ROZDZIAŁ 46

Miranda

Idealna żona

Chyba musiałam złapać oddech, uciec od człowieka, który powoli mnie niszczył, jakby obrabiał mnie z użyciem młoteczka i dłuta, odkuwał kawałki mojej osobowości, których miałam już nigdy nie odzyskać. Stuk – i odpadła pewność siebie; stuk – odwaga, żeby mówić to, co myślę; stuk – poczucie własnej atrakcyjności. Kilkoma celnymi uderzeniami wyrzeźbił sobie idealną żonę: milczącą, potulną, drugoplanową. Czyżbym już się nie liczyła?

A właśnie że tak.

Wychowywałam się z dwoma braćmi, a po śmierci matki, która odeszła, kiedy byłam mała, zajęłam się ojcem. Przez lata opiekowałam się mężczyznami o niedzisiejszej mentalności, a potem pech albo błędne decyzje wepchnęły mnie w bagno o imieniu Ryan.

Ani sekundy dłużej. Nie zamierzałam tego tolerować. Musiałam się stamtąd wydostać i zrobić coś ze swoim życiem. Nadać mu sens. Wszystko zmienić. Dla Ryana zrezygnowałam z tylu rzeczy, że czułam się pusta. Usunęłam ciężę, wykorzystałam całą swoją kreatywność, żeby on mógł odnieść sukces jako scenarzysta. Wszystkie jego scenariusze opierały się na moich pomysłach. Na mojej zawilej wizji reszty świata. Nie mojego własnego. Nie byłam w stanie dostrzec prawdy o moim świecie. Do tej pory wykorzystywałam swój talent na ulepszanie mężczyzn, którzy przy mnie lądowali. Ryan okazał się zwykłym pasożytem, który wpił mi się w szyję, by do reszty wyssać ze mnie chęć życia.

Dłużej już tak nie mogłam.

Niespełna dwadzieścia minut później przyjechali po mnie Anne i Jeremie. Nie wiem, co takiego w sobie mieli, dlaczego to właśnie do nich zadzwoniłam, dlaczego tamtej nocy postanowiłam zaufać dwojgu nieznanym. Zresztą może to nie była kwestia zaufania, ale instynkt. Anne sprawiała wrażenie wojowniczkii, nonkonformistki, która w pewnym momencie swojego życia doświadczyła na własnym ciele śmiertelnego uządlenia jakiegoś Ryana. Natomiast Jeremie odznaczał się delikatnością, jakiej nie spotkałam jeszcze u żadnego mężczyzny.

Mówił spokojnym tonem, zdawało się, że każdym gestem i spojrzeniem chroni siostrę.

Ryan nawet się nie zorientował, że wychodzę, był zbyt pijany.

– Co się stało? – zapytała Anne, kiedy zapłakana wsiadłam do ich samochodu.

– Już dłużej... nie mogę... Już dłużej nie mogę – zaszlochałam.

– Twój mąż?

Skinęłam głową.

– Powiedz mi prawdę – Anne odwróciła się w stronę tylnego fotela – uderzył cię?

Ponownie skinęłam głową, ale wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie do końca prawda. Przełknęłam ślinę, żeby pozbyć się ucisku w gardle i wytłumaczyć Ryana.

– W ostatniej chwili... W ostatniej chwili się powstrzymał. Po prostu... zrobił się agresywny.

– A to jakaś różnica? – odpowiedziała Anne.

Spuściłam głowę. Pragnęłam jedynie, żeby Jeremie włączył silnik i jak najszybciej mnie stąd zabrał.

Jechaliśmy dość długo. Rodzeństwo milczało przez całą drogę, wpatrując się w przednią szybę. Miałam wrażenie, że Anne i Jeremie się ze sobą komunikują, już nawet nie spojrzeniami, ale właśnie tym milczeniem. Między mną a moimi braćmi nigdy nie było takiego porozumienia. Zack jest prostakiem, którego nie obchodzi nic poza własnymi mięśniami. Jeśli zaś chodzi o Morrisa, to czasami wątpię, czy w ogóle mnie kocha. Jestem pewna, że gdyby coś mi się stało, nawet nie zainteresowałby się moim losem i dalej żył tak, jakby nic się nie wydarzyło. Zresztą tak jak Ryan.

Dotarliśmy do Inglewood i zaparkowaliśmy przed dwupiętrowym domem z białymi schodami przeciwpożarowymi. Jeremie wyskoczył z samochodu, żeby otworzyć mi drzwi. Był tak... (na pewno już wiesz, co zaraz powiem). Tak inny niż Ryan.

Jeremie i Anne dzielili przytulne mieszkanie o ścianach z surowej cegły, z dwiema sypialniami. Kiedy weszliśmy do środka, wydało mi się, że już kiedyś tu byłam. W poprzednim życiu. Nie żebym rozpoznała meble, lampy czy wzór na tapicerce kanapy; chodziło raczej o całość, o znajomą grę światła i cieni, znajomy zapach. To pozorne wspomnienie sprawiło, że zamiast poczuć się niezręcznie, miałam wrażenie, że spotkałam się z ludźmi, którzy od lat byli obecni w moim życiu.

– Lampka wina? – zaproponowała Anne, przynosząc butelkę.

Jeremie usiadł obok mnie na kanapie i przyglądał mi się w milczeniu, jakby

mnie lustrował.

– Chyba jestem wam winna wyjaśnienie... Nie znacie mnie i... Jestem dla was obcą osobą, nie mam prawa dzwonić do was w środku nocy i prosić... Nawet nie wiem, o co was proszę. Powinniście opiekować się teraz ojcem, a nie... Sama nie wiem, co o tym myśleć.

– Nasz ojciec jest w Hidden Springs, o tej porze pewnie śpi. W nocy nie potrzebuje opieki. Nie martw się o niego - odparła Anne.

Wyglądało na to, że Jeremie w ogóle mnie nie słucha. Wpatrywał się w moje oczy, jakby czegoś w nich szukał. Spuściłam wzrok na podłogę.

– Ja... nie powinnam była was niepokoić... Lepiej będzie, jak sobie pójdę i wrócę do swojego życia. Tak. Myślę, że tak będzie najlepiej.

Chciałam wstać, ale Jeremie wyciągnął rękę i przytrzymał mnie swoimi mocnymi palcami. To nie był agresywny gest, wręcz przeciwnie. Poczulałam się bezpieczna. Gdybym wtedy wstała i wróciła do domu... Równie dobrze mogłabym rzucić się w środku nocy do oceanu z pokładu transatlantyku. Dłoń Jeremiego ocaliła mi życie. Anne usiadła na stoliku na wprost kanapy i bez słowa podała mi kieliszek.

– Od jak dawna nie jesteś szczęśliwa? – odezwał się wreszcie Jeremie.

– Ja... To nie tak. Jestem szczęśliwa. Po prostu czasami życie cię przerasta. Zdarza się, że przechodzi przez nie huragan. Ale tak naprawdę to my się kochamy.

– Kochacie się? – obruszyła się Anne. – Huragan, który szaleje w twoim życiu, powoli ci je niszczy – dodała.

– No dobrze... Powiedzmy, że Ryan się mną znudził.

– Niemożliwe, żeby ktokolwiek znudził się kobietą taką jak ty, Mirando. Wbij to sobie do głowy. Skoro znudził się twoim życiem, to nie zasługuje na to, żeby w nim być – stwierdził z powagą Jeremie.

Nie odpowiedziałam. Byłam zdenerwowana. Bardzo zdenerwowana. Czułam się jak mała dziewczynka, która wstydzi się spojrzeć komuś prosto w oczy.

– Zgadzasz się z Jeremiem – odezwała się Anne. – Poza tym jesteś bardzo atrakcyjna. Szkoda, że twój mąż nie potrafi tego dostrzec. Mężczyzna decyduje się na zdradę nie dlatego, że wali się jego małżeństwo, czy dlatego, że szuka gdzie indziej czegoś, czego nie daje mu żona. To oni tak twierdzą, żeby obarczyć kobietę winą. Mężczyzna decyduje się na zdradę, żeby dzięki jednorazowej przygodzie zanegować własną bezużyteczność. Wie, że im dłużej żyje z jakąś kobietą, tym większe prawdopodobieństwo, że ona odkryje, jak bardzo jest nieprzydatny. Z tego powodu mężczyźni odpychają swoje żony. Wcale nie przez to, że te już ich nie pociągają, ale dlatego, że mężczyźni nie umieją przyjąć do wiadomości prawdy:

wstydy, że nie są zdolni sprostać zadaniu, sprawia, że im nie staje.

– Teraz to ja zgadzam się z Anne – powiedział Jeremie.

– Mówicie tak, bo mnie nie znacie...

– Mirando... od dawna zastanawiamy się, jak odzyskać film... Nie zamierzam ukrywać, że od jakiegoś czasu śledzimy ciebie i twojego męża. Znam cię wystarczająco, by wiedzieć, że jesteś dobrym człowiekiem – zapewniła Anne.

Jej słowa wcale nie wprawiły mnie w zakłopotanie. Mówili o wszystkim tak otwarcie, jakby to było bez znaczenia, bo przyświecał im szczytny cel. Poczułam się wręcz mile połączona.

– Ty, twój mąż i Mandy – ciągnęła Anne – jako jedyni utrzymujecie z Blackiem na tyle bliskie relacje, że moglibyście odzyskać film. Tobie możemy zaufać. Mandy wydaje się w porządku, ale tak długo pracuje u Blacka, że chyba nie umiałaby go zdradzić. A twój mąż... no cóż... Ty jej powiesz? – zwróciła się do brata.

– Twój mąż nie wydaje się w porządku. Widzieliśmy go już nie wiem ile razy w barze Roger's w centrum z tą... Jak nazywa się ta dziewczyna? Jennifer? No właśnie.

Niewierność mojego męża zyskała imię: Jennifer. Próbowałam sobie przypomnieć, czy nie padło w jakiejś rozmowie, czy nie nosiła go bohaterka któregoś ze scenariuszy. Ale nie. Jennifer była niewidzialnym i niesłyszalnym duchem, który niepostrzeżenie pojawił się w moim życiu. Jakby tak naprawdę nie istniała.

– Twój mąż na ciebie nie zasługuje.

– Często? – zapytałam rozzłoszczona.

– Co tydzień w ciągu ostatnich miesięcy. W toalecie, w samochodzie albo w ciemnym zaułku za barem.

Ta odpowiedź kompletnie mnie załamała.

– Proszę, Mirando, pomóż nam odzyskać film.

Moje serce waliło jak młotem. Pulsowało mi w piersi, domagając się zemsty za lata krzywd. Romans z Jennifer był jak kropla czarnego atramentu, która kapie na kartkę: nie możesz wytrzeć jej ręką, jeśli nie chcesz wszystkiego pobrudzić.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał Jeremie, czekając na moją decyzję.

Kolana Anne stykały się z moimi. Zorientowałam się, że Jeremie nie puścił mojego ramienia po tym, jak zatrzymał mnie na kanapie. Musiałam coś zrobić. Musiałam wreszcie eksplodować. Pozwolić, by motyle, które czułam w całym ciele, rozleciały się na wszystkie strony. Zawsze żyłam w smutku, hamowałam się, byłam grzeczna, mówiłam szeptem, pozwalałam, żeby inni podejmowali za mnie decyzje. Ale stało się.

Iskra.

Ogień.

Wszystko we mnie płonęło.

Niewiele myśląc, zrobiłam coś, czego nigdy bym się po sobie nie spodziewała. Uniosłam się, wyciągnęłam rękę i dotknęłam włosów Anne. W pierwszej chwili się zdziwiła. Potem westchnęła. Przyciągnęłam ją i pocałowałam. Pocałowałam ją, a ona odpowiedziała na mój pocałunek. Potem ona pocałowała mnie, a ja odpowiedziałam jej. I znowu. Delikatne muśnięcia warg, ściśnięte gardło, wzlatujące motyle, rozpalone ciało.

I stało się to, czego pragnęłam.

Jeremie ścisnął mnie za ramię i pociągnął. Anne westchnęła, bo oderwałam się od jej ust. Ja westchnęłam, bo musiałam poczuć smak innych warg. Pocałowałam także jego. Chwilę później wszystko się rozbieliło.

ROZDZIAŁ 47

Ryan

Pokonany

27 września 2015

Spędziłem bezsenną noc na dołku. Nie rozumiałem, jak to się stało, że nagle znalazłem się w areszcie, oskarżony o zamordowanie Jennifer Straus i doprowadzenie do zniknięcia własnej żony.

Przypomniałem sobie o Blacku i pomyślałem, że pewnie jest w tej samej sytuacji co ja: może siedzi teraz w sąsiedniej celi albo składa zeznania w pokoju obok. Legenda kina postawiona przed sądem, powszechnie bojkotowana. Wyobrażałem sobie, jak świat zareaguje na wiadomość, że za jednym z najlepszych filmów w historii kryje się tak mroczna historia. Gdyby się okazało, że to wszystko prawda, czy ktokolwiek byłby w stanie obejrzeć *Wspaniałe wczorajsze życie bez wstrętu*? Chociaż James Black był moim przyjacielem, nawet ja czułem, że nie będę już potrafił podziwiać jego twórczości.

Rano inspektorzy Sallinger i Sachs zaprowadzili mnie z powrotem do pokoju przesłuchań, żebym kolejny raz wyjaśnił, co robiłem w przeddzień zaginięcia Mirandy.

– Panie Huff, chce pan powiedzieć, że pana żona jest jedyną osobą, która może potwierdzić pańskie alibi? - drążyła temat policjantka.

Przytaknąłem, pokonany.

– Proszę raz jeszcze opowiedzieć, co robił pan w czwartek wieczorem.

– Znowu? Mówiłem już, że byłem w domu. Między mną a Mirandą zaczęło się układać, nie kłóciliśmy się od kilku dni. Kochaliśmy się w nocy, a potem jeszcze raz rano, przed wyjściem.

– W takim razie jak wytłumaczyć to, że pański telefon logował się w Hidden Springs? – zapytał inspektor Sachs.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Wie pan, kto jeszcze był tam w czwartek o tej samej porze co pan?

– Już mówiłem: ja byłem w domu. To jakiś absurd.

– Jennifer Straus. Jej komórka logowała się na tym samym obszarze. Powie nam

pan wreszcie prawdę? – warknął policjant, wyraźnie zirytowany.

Miałem ochotę rozplakać się z bezsilności.

– Kiedy stanie pan przed ławą przysięgłych, radzę trochę bardziej się postarać. Dziennikarze, którzy czekają na zewnątrz, nie zostawią na panu suchej nitki. Zmiażdżą pana. Ale wie pan, co panu powiem? Może pan na to zasługuje – skwitowała bezlitośnie inspektor Sallinger.

– Nie dotknąłem tej kobiety.

– Panie Huff... mamy nagrania z Rogersa. Kilka nagrań, na których widać pana z Jennifer. Proszę nas bezczelnie nie okłamywać. Tylko pogarsza pan swoją sytuację – naciskał policjant.

– Wie pan, co myślę? – inspektor Sallinger weszła w słowo koledze. – Nie układa się panu z żoną. Poznaje pan w barze tę Jennifer. Wdaje się pan z nią w romans i jak to często bywa w takich trójkątach, Jennifer żąda, żeby zostawił pan żonę. Pan odmawia, bo nie może sobie pozwolić na rozwód. Sprawdziliśmy: pańska sytuacja finansowa nie przedstawia się najlepiej. Boi się pan, że kochanka opowie o wszystkim pańskiej żonie, a jeżeli ta będzie mogła udowodnić w sądzie zdradę, straci pan resztkę majątku. Dlatego wynajmuje pan domek w lesie i zabija tam Jennifer. Nazajutrz pańska żona odkrywa, co pan zrobił, więc ją też pan zabija, żeby pana nie wydała. Ukrywa pan zwłoki gdzieś w Hidden Springs. Potem zgłasza pan jej zaginięcie i modli się, żeby nikt nie dowiedział się o pana związku z Jennifer. Ale są kamery... nikt dziś przed nimi nie ucieknie. Są wszędzie.

Złapałem się za głowę. Ta wersja wydarzeń była nieprawdziwa, ale potwierdzały ją wszystkie zebrane dowody: mapa z zaznaczoną lokalizacją moją i Jennifer, nagrania naszych częstych spotkań, moje DNA znalezione na jej ciele, rezerwacja domku na moje nazwisko.

– Myślą państwo, że zrobiłbym to wszystko, żeby uniknąć rozwodu?

– Gdyby pan wiedział, czegośmy się tu naoglądali, nie zadawałby pan takich pytań. Ludzie zabijają z byle powodu – wyjaśniła inspektor Sallinger.

– Niech pan mi powie, panie Huff: będzie pan przedłużał śledztwo nieprawdopodobnymi wyjaśnieniami czy przyzna się pan do tego, co zrobił? – zapytał zmęczonym głosem inspektor Sachs.

– Że co? Nie ma mowy. Na Boga, ja niczego nie zrobiłem.

Nagle na korytarzu rozległy się podniesione głosy. Pomyślałem, że może Zack wrócił, by znowu dać mi w pysk.

– Co się dzieje? – zapytała inspektor Sallinger, podchodząc do drzwi.

Otworzyły się, zanim zdążyła nacisnąć klamkę. W szparze pojawiła się głowa jakiegoś policjanta.

– Inspektor Sallinger? To pani zajmuje się sprawą Mirandy Huff?

– Tak, a co?

– Musi pani pójść ze mną.

– To pilne?

– Bardzo.

Policjant spojrzał na mnie zaniepokojony, ale natychmiast odwrócił wzrok, jakby chciał coś przede mną ukryć.

– O co chodzi?! – krzyknąłem. – Co się stało?!

– To mąż? – zapytał, jakby mnie tam nie było. Inspektor Sallinger skinęła głową, czekając na wyjaśnienia. – Może on też powinien... Hm. Nie wiem. Niech sama pani zdecyduje.

– Co się, kurwa, dzieje?! – zawyłem.

Policjant otworzył do końca drzwi, odsłaniając stojącą obok niego Mirandę, posiniaczoną, z włosami i twarzą powalanymi ziemią. Drżała, w jej oczach malowało się przerażenie.

– Miranda?! – wykrzyknąłem, zrywając się z krzesła mimo kajdanek.

Jakaś część mnie nadal wierzyła, że nic się nie stało, że to tylko nieporozumienie, że Miranda wszystko wyjaśni i będę mógł stąd wyjść. Że to wreszcie koniec. Ale kiedy zobaczyła, że stoję po drugiej stronie stołu i patrzę na nią, błagając ją wzrokiem o pomoc, wydała z siebie rozdzierający krzyk.

ROZDZIAŁ 48

James Black

Przepaść

1976

Paula prowadziła samochód przez całą drogę do Hidden Springs. Szosa od początku wiła się serpentyną, ale dopóki nie wyjechali z Los Angeles, była wygodna, czteropasmowa, a miejski krajobraz nie utrudniał widoczności. Szybko jednak straciła po jednym pasie w każdym kierunku i zginęła pośród bujnej górskiej roślinności. Podczas jazdy James nakręcił z fotela pasażera kilka ujęć Pauli siedzącej za kierownicą.

– Kurwa. Musimy jechać tak daleko? Robi mi się niedobrze od tych zakrętów – poskarżył się Jeff.

– Nie mamy pozwolenia na zepchnięcie samochodu w przepaść. Myślę, że im dalej odjedziemy, tym lepiej. Musimy znaleźć jakieś odludne miejsce.

Po drodze Paula przypomniała sobie, że Anne prosiła, by nie wracała dziś późno do domu. Tego wieczoru mieli skończyć zdjęcia. Do rozpoczęcia roku akademickiego zostało jeszcze trochę czasu i Paula postanowiła, że wybierze się z dziećmi na doroczny jarmark, który zaczął się kilka dni wcześniej. Olbrzymi diabelski młyn był widoczny z każdego miejsca w mieście. Pomyślała, że mogłaby w ten sposób uczcić z Anne i Jeremim zakończenie filmu. Cieszyła się na powrót do pracy: liczyła na to, że dzięki temu ona i James będą mogli zachować konieczny dystans.

Mijali jeziora i mokradła, otoczeni jodłami i sosnami, które ciągnęły się po obu stronach drogi. Wreszcie ich oczom ukazała się tablica z napisem: „Witamy w Hidden Springs”.

– Zatrzymaj się przy tej polanie – powiedział James. – Wydaje mi się, że tam dalej, za zakrętem, jest trzydziestometrowa przepaść. Widziałem na mapie. To najwyższe urwisko w okolicach Los Angeles.

Paula zaparkowała na poboczu. Wysiedli i podeszli pieszo do urwiska. Rzadko przejeżdżały tędy samochody, jedynym dźwiękiem, który słyszeli, był szum wiatru wskazujący na to, że lato powoli dobiega końca. Kiedy dotarli na skraj przepaści,

zdziwili się, że jest aż tak głęboka. W dole widać było jezioro, którego tafla odbijała światło zachodzącego słońca niczym stojące w płomieniach lustro.

James odezwał się poważnym tonem:

– Chcę was przeprosić za moje zachowanie w ciągu tych ostatnich tygodni. Zwłaszcza ciebie, Paulo, za to, jak cię traktowałem. Nakręcenie tego filmu było możliwe wyłącznie dzięki tobie. Nie chcę, żeby po zakończeniu zdjęć każde z nas poszło w swoją stronę, jakby nigdy nic nas nie łączyło.

– James... nie musisz...

– Wiem. Ale chcę. Czuję taką potrzebę. I jeszcze jedno: kiedy skończymy zdjęcia, zejść wam z drogi – dodał, patrząc Jeffowi w oczy. – Nie sądzę, żebym zasługiwał na kobietę taką jak Paula. Za to ty, przyjacielu, udowodniłeś, że za tą pozorną beztroską kryje się przyzwoity gość. Będzie wam razem dobrze.

Jeff spojrział porozumiewawczo na Paulę. Uśmiechnął się, po czym podszedł do Jamesa, żeby go uściskać.

– Dziękuję ci. To dla mnie wiele znaczy. Wiesz, że bardzo pokochałem te dzieci... i oczywiście Paulę. Ten gest dużo o tobie mówi.

Przyjaciel odpowiedział mu uśmiechem. Przez chwilę w milczeniu podziwiali zachód słońca odbity w jeziorze. Wreszcie James przerwał ciszę.

– Dajcie mi pięć minut: przygotuję kamerę i wreszcie skończymy ten film – powiedział z uśmiechem.

Korzystając z tego, że James wrócił do samochodu, Paula i Jeff napawali oczy roztaczającym się przed nimi widokiem na góry San Gabriel. Dostrzegli w oddali dwa orły: szybując w dole, majestatycznie poruszały skrzydłami. Jeff szepnął Pauli coś, czego James nie usłyszał i co wywołało uśmiech na jej twarzy. Odwróciła się do chłopaka i przez chwilę mu się przyglądała; wydało jej się, że ma oczy jej męża. Zaczęli się całować, podczas gdy orły dalej krążyły nad przepaścią. Paula pomyślała, że może życie dało jej drugą szansę.

James wrócił z kamerą i rzucił:

– To jak, spychamy wreszcie ten samochód w przepaść?

– Do roboty! – odparł Jeff.

Planowali nakręcić tę scenę w dwóch ujęciach. James chciał najpierw sfilmować Paulę jadącą w stronę zakrętu, za którym otwierała się przepaść; wystarczyło, że kawałek podjedzie i zatrzyma się z dala od urwiska. Potem za kierownicą miał usiąść Jeff: rozpędzić samochód, wrzucić bieg na luz i wyskoczyć w czasie jazdy. James zamierzał nakręcić z dołu, jak triumph spada w przepaść. Odkrył w pobliżu ścieżkę biegnącą od szosy do jeziora, przy którym miało wylądować auto.

Plan był prosty. Przygotowali się do nakręcenia pierwszego ujęcia. James stanął

z Jeffem na poboczu i poprosił Paulę, żeby włączyła silnik i podjechała w ustalone miejsce. Nic łatwiejszego. Przypomniał jej o zachowaniu powagi – celem ujęcia było pokazanie jej twarzy na chwilę przed wypadkiem.

– Zaczekaj na nasz znak i ruszaj.

Paula skinęła głową i wsiadła do samochodu. Spojrzała na Jeffa, chłopak odwzajemnił jej uśmiech. Patrzyła przez szybę, jak obaj oddalają się w stronę urwiska.

James oparł kamerę na ramieniu i polecił Jeffowi, żeby dał znak. Na widok podniesionej ręki chłopaka Paula zdjęła stopę ze sprzęgła i wcisnęła pedał gazu. Skręciła kierownicę, żeby wjechać na drogę. Autko stopniowo się rozpędzało, James i Jeff patrzyli, jak coraz szybciej zmierza w ich kierunku. W pewnym momencie James przerwał ciszę, nie spuszczając wzroku ze zbliżającego się triumpha.

– Naprawdę myślałeś, że dam wam swoje błogosławieństwo?

W pierwszej chwili Jeff nie zrozumiał, co przyjaciel ma na myśli. Spojrzał na niego zdziwiony. James wpatrywał się w wizjer kamery. Nagle odwrócił głowę i z uśmiechem oznajmił:

– Albo będzie moja, albo niczyja.

Zaskoczenie malujące się na twarzy Jeffa ustąpiło miejsca przerażeniu. Zrozumiał, że coś jest nie tak.

– Co ty zrobiłeś?! – zawołał wystraszony.

– Zadbalem o to, żeby scena wyszła realistycznie – odparł James spokojnie, po czym spojrzał przed siebie, na nadjeżdżające z przeciwka rozpędzone auto.

Jeff stał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co powiedział James. Poczł dreszcz na myśl, że reżyser mógł uszkodzić samochód, kiedy poszedł po kamerę. Wybiegł na szosę, dając Pauli znaki, żeby się zatrzymała. Kobieta była tuż-tuż, przerażona wcisnęła hamulec, ale okazało się, że nie działa.

– Nie! – wrzasnęła na ułamek sekundy przed tym, jak potrafiła Jeffa.

Uderzenie było tak silne, że rozbił przednią szybę, poleciał na szosę i poturlał się po asfalcie. Triumph z dużą szybkością zbliżał się do zakrętu, Paula, jadąc zygzakiem, desperacko próbowała zahamować. Kiedy poczuła ścisk w brzuchu, zrozumiała, że spada w przepaść.

James wyłączył kamerę i zbiegł ścieżką schodzącą do jeziora. Podszedł do samochodu: Paula spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami. Jej twarz pokrywała krew z rany na czole. Dyszała, z jej ust wydobywały się krwawe pęcherzyki. Przez chwilę James stał bez ruchu i patrzył na leżący na dachu samochód z obracającymi się kołami. Wszędzie była krew. Zastanawiał się, co

powinien zrobić. Nagle doznał olśnienia.

Uniósł kamerę i oparł ją na ramieniu, uradowany, że oto jest świadkiem niepowtarzalnej sceny. Zaczął nagrywać, świadomy, że będzie to jeden z obrazów, których nigdy nie zapomni.

ROZDZIAŁ 49

Miranda

Euforia

Obudziłam się kilka godzin później: leżałam naga między Anne i Jeremiem. Anne akurat się przeciągała. Po cichu wstałam i poszłam do łazienki. Zdziwiłam się, widząc swoje odbicie w lustrze.

Kiedy tak stałam nago w łazience wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami, coś sobie uświadomiłam: ta kobieta w lustrze to byłam ja. Pierwszy raz od lat czułam się seksowna i pełna życia. Jedna noc bez Ryana wystarczyła, by obudzić we mnie Mirandę, którą chciałam być. Obudziło ją – może nieświadomie, może nieumyślnie – tych dwoje. Udało im się wydobyć na światło dzienne Mirandę, która kryła się w moim wnętrzu. Zaczęłam rozważać różne opcje. Dalej się bałam, że będę tego żałować, ale Miranda, która właśnie się przebudziła, krzyczała, że chce nadal czuć w sercu ten żar.

Jeremie i Anne też już wstali, czekali, aż wyjdę z łazienki. Budzik elektroniczny na szafce nocnej wskazywał czwartą rano. Od czasu do czasu okno rozjaśniały reflektory przejeżdżających samochodów. Mój umysł scenarzystki zaczął łączyć obrazy. Scenerie, zwroty akcji, bohaterowie, związek między przeszłością i teraźniejszością. Zniknięcie; mężczyzna, który zniszczył mi życie; kobieta bez żadnych skrupułów sypiąca z żonatym facetem. Nagle wszystko stało się jasne.

– W porządku. Pomogę wam odzyskać film Blacka. Ale zrobimy to po mojemu.

Rodzeństwo zgodnie przytaknęło. Przez następne dni dopracowywałam szczegóły swojego planu.

Po wyjściu z biura spotykałam się z Anne i Jeremiem. Zamiast siedzieć przy kawie w Starbucksie, spędzaliśmy kilka godzin w łóżku. Byli niesamowici. Łączyła ich tak silna więź, że poruszali się, jakby byli jedną osobą, emanowała z nich taka energia, że już sam dotyk ich dłoni wprawiał mnie w drżenie. Czy to możliwe, że zakochałam się w dwóch osobach jednocześnie? Jeremie był dla mnie źródłem niezmaconego spokoju, Anne – niewyczerpanej energii. Podczas tych razem spędzonych popołudni dowiedziałam się o nich całkiem sporo. Jeremie był aktorem - a przynajmniej próbował nim zostać – stąd jego łagodne, niemal mechaniczne

ruchy, jego opanowanie i naturalny sposób bycia. Anne nie miała konkretnego zawodu, ciągle zmieniała pracę, a w wolnym czasie opiekowała się Jeffem.

Któregoś dnia mnie do niego zabrali. Mieszkał w starej drewnianej chatce ukrytej w lesie otaczającym Hidden Springs. Wyglądał znacznie gorzej niż przed laty, kiedy poznałam go na uniwersytecie. Siedział w fotelu z okropną tapicerką. Uśmiechnęłam się do niego z nadzieją, że mnie rozpozna, ale on nawet nie odwrócił wzroku w moją stronę.

– Tato? Pamiętasz Mirandę? Chyba... już się kiedyś spotkaliście.

Wydawało się, że nie ma go w jego ciele, jakby spadł w przepaść razem z Paulą Hicks. Jego blizny były jeszcze wyraźniejsze, zmarszczki – jeszcze głębsze, umysł – jeszcze bardziej nieobecny.

– Tato... Ona pomoże nam znaleźć mamę – powiedziała Anne. Podeszła do Jeffa i pogłaskała go po włosach. – To niesprawiedliwe. Black zbiera plony swojego sukcesu, podczas gdy zwłoki naszej matki leżą gdzieś w tej okolicy, a nasz ojciec, jedyna osoba, która po jej zniknięciu przejęła się naszym losem, tak straszliwie cierpi.

Anne i Jeremie opowiedzieli mi, że przez lata Jeff zarabiał na życie, sprzedając części samochodowe, które pozyskiwał z miejscowego złomowiska. Jego blizny i oczy o pustym spojrzeniu budziły we mnie niepokój. Dopiero kiedy wychodziliśmy, żeby wrócić do Los Angeles, spojrzał w moją stronę i szepnął:

– Dzień... Dziękuję.

Kiedy lepiej poznałam ich rodzinę i zebrałam więcej informacji o tym, co się wydarzyło, stworzyłam najlepszy ze scenariuszy, jakie kiedykolwiek powstały w mojej głowie.

Najpierw zamierzałam ukraść Blackowi film – Anne i Jeremie twierdzili, że trzyma go w prywatnym archiwum mieszczącym się w piwnicy jego domu – więc tak też zrobiłam. Ryan i ja często odwiedzaliśmy Jamesa. Za którymś razem po prostu wymknęłam się pod byle pretekstem (pozostali dwaj i tak nie zwracali na mnie uwagi), zesłam na dół, zabrałam taśmy i zaniósłam je do samochodu. Potem jak gdyby nigdy nic wróciłam do stołu.

Długo się zastanawiałam, jak doprowadzić do tego, by policja wznowiła śledztwo w sprawie Pauli Hicks. Chociaż minęło prawie czterdzieści lat, jej szczątki nadal musiały gdzieś tu być. A przynajmniej samochód, którego też nigdy nie odnaleziono. Pomyślałam, że gdybym nagle zniknęła w Hidden Springs, gdzie wszystko się wydarzyło, policja musiałaby dokładnie przeczesać okolicę i może przy okazji trafiłaby na auto. Nie liczyłam na to, że znajdą zwłoki, ale moje zaginięcie mogłoby skłonić śledczych do odgrzebania podobnych spraw;

próbowałiby odkryć, co, do diabła, dzieje się w tej przeklętej dziurze. Gdyby trafili na ślad samochodu, na pewno wznowiliby śledztwo. Potem do prasy przeciekłaby informacja o filmie z udziałem Pauli Hicks i Black zapłaciliby wreszcie za krzywdę, którą przed laty wyrządził Jeffowi, Pauli i rodzeństwu Morgan.

Jednocześnie chciałam uwolnić się od Ryana i chociaż częściowo odpłacić mu się za zło, które mi wyrządził. Dlatego postanowiłam zrobić go w swoje zniknięcie. Wynajęliśmy kawalerkę w północnej części miasta i urządziliśmy w niej gabinet doradcy małżeńskiego. Było oczywiste, że Ryan i ja potrzebujemy terapeuty. Wykorzystałam kolejną kłótnię – znów wrócił do domu pijany, cuchnący alkoholem – i zasugerowałam, że powinniśmy skorzystać z fachowej pomocy. Rolę terapeuty miał zagrać Jeremie. Chodziło o to, by zaproponował mojemu mężowi, żebyśmy spędzili weekend w Hidden Springs, a ja miałam zniknąć z domku w dziwnych okolicznościach. Ryan najprawdopodobniej stałby się głównym podejrzanym. Nigdy jednak nie przypuszczałam, jak wszystko się potoczy.

Kiedy opowiedziałam o swoim planie Anne i Jeremiu, wpadli w euforię, i właśnie ich podniecenie sprawiło, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

ROZDZIAŁ 50

Ryan

Dzikie spojrzenie

27 września 2015

Krzyk Mirandy przesądził o mojej winie.

– Nie, nie... z nim nie... proszę... – powiedziała, zanosząc się szlochem.

– Co ty wygadujesz, Mirando? To ja... Ryan.

Inspektor Sallinger odwróciła się w moją stronę i pierwszy raz podniosła na mnie głos:

– Proszę siadać!

– Ale... Mirando! – zawołałem. – Powiedz im, że to zwykłe nieporozumienie. Że nic ci nie zrobiłem. Na miłość boską. Ja... ja nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Błagam... aresztujcie go... aresztujcie go!

– Proszę głęboko oddychać, pani Huff – powiedział inspektor Sachs, próbując zapanować nad sytuacją.

Miranda miała posiniaczone ręce i nogi, jej przedramiona, twarz i część włosów były umazane czarną ziemią. Ten widok zmroził mi krew w żyłach. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co mogło się wydarzyć przez te trzy dni, które minęły od jej zniknięcia.

– Co ci się stało? Gdzie byłaś?

– Pani Huff... – inspektor Sallinger przerwała mi poważnym tonem. – Musi nam pani odpowiedzieć na jedno pytanie.

Miranda skinęła głową, jakby wystraszona. Wyglądała na zdenerwowaną. Kiedy spojrzałem na jej stopy, zobaczyłem, że jest bosa.

– Czy mąż miał jakikolwiek związek z pani zniknięciem?

Znowu przytaknęła, nie podnosząc wzroku. Inspektorzy wymienili spojrzenia, jakby jej słowa potwierdziły ich teorię. Wtedy Miranda ostatecznie wydała na mnie wyrok:

– Ryan... Ryan zabił w domku jakąś dziewczynę, a... a potem próbował zrobić to samo ze mną.

– Ależ Mirando... co ty mówisz? – zaprotestowałem, patrząc jej w oczy.

– Uciekłam do lasu i... i nie udało mu się mnie złapać. Zabrał mnie do tamtego domku, żeby zrobić ze mną to samo co z tą dziewczyną, ale... nie mógł mnie znaleźć. Przez trzy dni błąkałam się po lesie.

To wystarczyło, żeby mnie posłać do więzienia. Na podstawie zeznania Mirandy i kilku poszlak inspektor Sallinger oskarżyła mnie o zamordowanie Jennifer Straus i próbę zabicia własnej żony. Może i byłem łajdakiem, złym mężem i beznadziejnym partnerem, ale nie mordercą. Policjantka kazała zaprowadzić mnie do celi. Inspektor Sachs zabrał Mirandę do innego pokoju.

– Nie! To nieprawda! Nie, nie! – krzychałem, kiedy dwóch policjantów wyciągało mnie z pokoju przesłuchań. – Mirando, proszę. Mirando! Musisz powiedzieć im prawdę... ja nic... ja nic nie zrobiłem. To ty załatwiłaś ten domek i... nie było cię... a potem ta wiadomość...

Ledwo trzymałem się na nogach. Kręciło mi się w głowie. To było ponad moje siły. Zeznanie Mirandy dodawało wiarygodności dowodom zebranym przez policję, na ich podstawie sąd mógł skazać mnie na najwyższą karę. Wyobraziłem sobie, że czeka mnie wyrok śmierci za coś, czego nie zrobiłem, co nawet nie przyszło mi do głowy. I wtedy to się stało.

Miranda siedziała po drugiej stronie komisariatu, pilnowana przez dwóch funkcjonariuszy, i czekała, żeby złożyć szczegółowe zeznania. Kiedy policjanci prowadzili mnie do celi, dziwnie się uśmiechnęła i na ułamek sekundy podniosła na mnie swoje zwierzęce oczy. Nie było to obojętne spojrzenie, jak to, które rzuciła mi na pożegnanie trzy dni temu, ale dzikie, przepełnione wściekłością.

– Kłamie! – wrzasnąłem. – To pułapka! Kłamie! Ona to wszystko obmyśliła! Jestem niewinny! – krzychałem desperacko, aż zabrakło mi tchu.

Zacząłem się wyrywać, ale policjanci mocno złapali mnie pod ręce. Po kilku ciosach w żebra dałem za wygraną i osunąłem się na podłogę. Zanim szarpnęli mnie w górę, zdążyłem poszukać wzrokiem Mirandy, ale kiedy znowu spojrzałem jej w oczy, zdałem sobie sprawę, że już jej w nich nie ma.

ROZDZIAŁ 51

Miranda

Noc przed zniknięciem

Ryan znowu przesadził z alkoholem, ale tym razem sama zachęcałam go do picia, kiedy jedliśmy kolację, a potem rozwaleni na kanapie oglądaliśmy serial w internecie. Gdy tylko widziałam, że jego kryształowa szklanka jest pusta, wstawałam i dolewałam whisky. Zdawałam sobie sprawę, że pijany Ryan może stanowić duże zagrożenie, ale tamtego dnia musiałam postawić wszystko na jedną kartę. Wkrótce zaczął się do mnie przystawiać. Robił to w sposób niezwykle prostacki, poza tym jechało mu z ust. Chciało mi się rzygać, kiedy próbował mnie pocałować.

– Nie mogę już przespać się w czwartek z własną żoną? – zaprotestował.

Uchylałam się, przytrzymywałam mu ręce i próbowałam jak najdłużej go kokietować z nadzieją, że wreszcie padnie zmorzony alkoholem. Kazałam mu na siebie czekać, wychodziłam do łazienki albo napić się wody do kuchni. Na całe szczęście szybko dał za wygraną i zasnął.

Jeremie nalegał, żebyśmy spotkali się jeszcze raz tej nocy i powtórzyli plan przygotowany na następny dzień. Kiedy Ryan zasnął, szybko się ubrałam i pogasiłam światła. Na prośbę Jeremiego zabrałam komórkę męża. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że po drugiej stronie ulicy stoi samochód z zapalonymi reflektorami. Wyszłam z domu i podbiegłam do auta, modląc się, żeby nikt mnie nie zobaczył. Od razu wyczułam, że Jeremie jest podenerwowany.

– Naprawdę musieliśmy się dziś spotykać? To konieczne? – zapytałam.

– Uwierz mi, że tak.

Anne odezwała się z fotela pasażera:

– Wzięłaś komórkę Ryana?

– Tak. Po co wam ona? Powtórzmy szybko, co mamy do zrobienia, i wracam do domu.

– Mirando... mam dla ciebie niespodziankę. – W głosie Anne dało się wyczuć podniecenie.

– Co za niespodziankę? – zapytałam.

– Przekonasz się w domku.

– Chcecie o tej porze jechać do Hidden Springs? To strasznie daleko. Nie mogę wrócić za późno, co będzie, jeśli Ryan się obudzi? Nie spieprzmy wszystkiego w ostatniej chwili. Zdobyłam już przecież dla was film Blacka.

– Tak, wiem. A ja już przegrywam go dla prasy – odpowiedział Jeremie. – Nic się nie dzieje... po prostu...

– Naprawdę musimy tam teraz jechać?

– ...po prostu chcieliśmy zrobić ci prezent i za wszystko podziękować.

Westchnęłam. Anne także była zdenerwowana, słyszałam to w jej głosie. Pomyślałam, że zależy im na tym, by wręczyć mi prezent, jeszcze zanim zniknę i sytuacja stanie się napięta.

– W porządku. Tylko błagam... pospieszmy się. Nie schrzańmy tego.

Jeremie włączył silnik i ruszyliśmy w kierunku Hidden Springs. Jechaliśmy środkiem wąskiej szosy, białe linie namalowane na asfalcie niknęły jedna po drugiej pod samochodem. Reflektory kilkakrotnie wydobyły z ciemności oczy wilków żyjących w górach San Gabriel. W miarę jak zbliżaliśmy się do Hidden Springs, zdenerwowanie rodzeństwa stawało się coraz bardziej wyczuwalne. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Jeremie wysiadł pierwszy. Na zewnątrz panował chłód. Byłam za cienko ubrana, nie planowałam, że znajdę się w środku nocy w lesie. Po wyjściu z samochodu Anne roztarła dłońmi moje ramiona.

– Lepiej? – szepnęła. Świadomość, że wreszcie ktoś mnie kocha, była naprawdę pokrzepiająca.

W środku było ciemno, ale blask reflektorów oświetlał przednią ścianę domku. Pierwszy raz zobaczyłam miejsce, z którego miałam zniknąć. Na zdjęciach ze strony internetowej wyglądało ponuro, okazało się jednak, że to uroczą drewniana chatka otoczona lasem. Drzwi były opatrzone numerem jedenaście. Tak, to musiało być tutaj.

– Gdzie jest ten prezent? – zapytałam, jednocześnie podekscytowana i niespokojna.

– Ty jej go dasz czy ja? – zapytała brata Anne.

– Może niech sama go sobie weźmie? – odparł z uśmiechem Jeremie.

– Jest w środku? – Wskazałam domek.

Musieli wcześniej przygotować niespodziankę.

– Jest w bagażniku.

– Przywieźliście prezent ze sobą? Mogliście dać mi go w domu.

– Otwórz. Spodoba ci się – zapewnił Jeremie.

Podeszłam do samochodu. Rodzeństwo stanęło za moimi plecami.

– Co to takiego?

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. W bagażniku leżała nieprzytomna dwudziestoparolatka z rękami sklejonymi taśmą. Ogarnęły mnie panika, strach, przerażenie. Na myśl, że może jednak popełniłam błąd, poczułam mdłości.

– Zwariowaliście? Co wyście najlepszego zrobili?! – krzyknęłam.

– To... to prezent.

– Prezent? Co wam przyszło do głowy?

– Obiecaliśmy, że jeżeli ty pomożesz nam, my pomożemy tobie, pamiętasz?

Złapałam się za głowę. Plan mojej ucieczki był dopięty na ostatni guzik, a teraz oni chcieli wszystko zepsuć.

Nazajutrz miałam przyjechać do domku przed Ryanem, zaparkować przy wejściu i zostawić ślady wskazujące na to, że tu byłam. Kiedy by się pojawił, wysłałabym mu wiadomość, żeby okoliczne wieże przekaźnikowe zlokalizowały moją komórkę. Potem zadzwoniłabym do budki telefonicznej przy pobliskiej stacji benzynowej (sprawdziliśmy, że nie ma monitoringu), by dać znak Anne, że ma poczekać na mnie na leśnej ścieżce niedaleko domku. Stamtąd po ciemku przeszłybyśmy jakieś dwa kilometry do chatki Jeffa. Policja wszczęłaby dochodzenie i chociaż nie znaleziono by moich zwłok, Ryan zostałby skazany za zamordowanie żony. Przy okazji przeszukania okolicy funkcjonariusze być może natrafiliby na samochód Pauli i wznowili śledztwo w sprawie jej zniknięcia. Wtedy wysłałibyśmy film Blacka wszelkim możliwym mediom.

– Jeremie, powiedz mi, że to jakiś żart – poprosiłam błagalnym tonem. – Po co to zrobiliście?

– To nie żart, Mirando. W twoim planie... w twoim planie jest pewna luka, której nie możemy zaakceptować. Musimy go zmienić.

– Jaka luka? O czym ty mówisz?

– Po tym, jak znikniesz, przez resztę życia będziesz musiała się ukrywać. Nikt nie będzie mógł cię zobaczyć. Będziesz musiała rozpuścić się w powietrzu, zmienić nazwisko i wygląd, przeprowadzić się do innego stanu. Gdyby ktokolwiek cię rozpoznał, Ryan zostałby uniewinniony. Potrzebujemy czegoś więcej, Mirando. To nie fair wymagać od ciebie, żebyś się tak poświęciła.

– Ale...

– Wiesz, że mamy rację – ucięła Anne.

Zaczęły mi drżeć ręce. W głębi duszy musiałam przyznać im słuszność, ale nie chciałam pogodzić się z tym, że sama o tym nie pomyślałam.

– Kto to jest? Nie możemy... nie...

– Dziewczyna, z którą Ryan spotykał się w Rogersie.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

Ta informacja nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Dziewczyna była mi całkowicie obojętna. Anne skinęła głową i dodała:

– Jeżeli ona zniknie, ty już nie będziesz musiała.

Mój umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Rozważył wszystkie możliwości, szukając niedociągnięć w fabule, analizując różne rozwiązania i wątki, jakby chodziło o scenariusz filmowy. Szybko zrozumiałam, że Anne także była w błędzie. To wcale nie wystarczało. To nie wystarczało. Wybuchnęłam płaczem i włożyłam pięść do ust, żeby powstrzymać krzyk. Żałowałam, że nie dopracowałam swojego planu, że nie przewidziałam wszystkich konsekwencji. Ryan nieraz mi wyrzucał, że za mało angażuję się w swoje scenariusze, powtarzał, że mam dobre pomysły, ale niewystarczająco je pogłębiłam. Być może była to jedyna prawdziwa rzecz, jaką powiedział o mnie przez te wszystkie wspólnie spędzone lata. Teraz rozumiałam, co miał na myśli.

– Ja muszę zniknąć, a ona musi umrzeć – szepnęłam.

Anne i Jeremie wymienili spojrzenia. Przysunęli się do mnie na odległość kilku centymetrów.

– Jesteś pewna?

Byłam pewna. Pierwszy raz w życiu byłam czegoś pewna. Gdyby zniknęła tylko ta dziewczyna, nikt nie powiązałby jej z Ryanem. To, że jego telefon logował się w okolicy, stanowiłoby zaledwie poszlakę. Potrzebne były ślady DNA. Jeżeli chcieliśmy, żeby policja skojarzyła Ryana ze zwłokami, musiał znaleźć się na celowniku z innego powodu. A tym powodem powinno być moje zaginięcie.

– W stu procentach – odpowiedziałam.

Gdyby dziewczyna zginęła, mieliby morderstwo, o które można by oskarżyć Ryana. Gdyby tylko zniknęła, wrócilibyśmy do punktu wyjścia. Moje zaginięcie było potrzebne do tego, żeby skierować na niego podejrzenia, a śmierć dziewczyny do tego, żeby został skazany.

Poczułam, jak wstrząsa mną dreszcz.

To były najbardziej pracowite godziny w moim życiu. Po powrocie do domu od razu pobiegłam do łazienki, żeby zdążyć wziąć prysznic, zanim obudzi się Ryan. Mocno szorowałam dłonie, ciało i włosy umazane krwią.

Zabarwiona na czerwono woda ściekała do odpływu. Nie byłam w stanie zapanować nad oddechem, zdenerwowana tym, co zrobiłam. Chciałam zmyć z siebie krew, żeby Ryan niczego się nie domyślił. Chociaż miałam za sobą najgorszą noc życia, musiałam trzymać się planu, mimo wprowadzonych w ostatniej chwili zmian. Byłam pewna. Musiało się udać. Ryan zrujnował życie

mnie, Black – rodzeństwu Morgan. Wkrótce obaj mieli za to zapłacić.

Nagle usłyszałam odgłos bosych stóp Ryana wchodzącego do łazienki. Znieruchomiałam, zastanawiając się, jak z tego wybrnąć. Nie zdążyłam zmyć z siebie całej krwi, byłoby po mnie, gdyby zauważył na moich przedramionach zaschnięte plamy; nasz perfekcyjny plan zawaliłby się w ułamku sekundy. Woda wokół moich stóp nadal była zabarwiona na czerwono. Niewiele myśląc, postanowiłam rzucić się w dół bez spadochronu. Miałam nadzieję, że prymitywny, niezdolny do ogarnięcia dwóch rzeczy naraz umysł Ryana nie wyczuje, co się wydarzyło. Wychyliłam głowę zza zasłony.

– Wchodzisz? – zapytałam, spoglądając na niego wyczekująco.

– Jasne – odpowiedział. – Jak mógłbym odmówić...

ROZDZIAŁ 52

Kino i śmierć

Kilka miesięcy później

Więzienie stanowe w Kalifornii, Los Angeles

To był pierwszy raz, kiedy widzieliśmy się w więzieniu. Odkąd zostaliśmy zatrzymani i aresztowani, nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Nie pozwolono nam na przyjmowanie odwiedzających i do czasu zakończenia procesów nie mogliśmy się ze sobą komunikować – nasze historie były ze sobą powiązane. Obaj siedzieliśmy w tym samym więzieniu, ale tak skutecznie nas od siebie odseparowano, że nigdy nie spotkaliśmy się na spacerniaku. Adwokat przekazywał mi skąpe informacje z zewnątrz i streszczał postępy w mojej sprawie, ale nie wspominał słowem o Jamesie. Powiedział tylko, że Black – cytuję – „siedzi po uszy w gównie”. Podobno w Kalifornii zabójstwa nie ulegają przedawnieniu: chociaż Paula Hicks zginęła latem 1976 roku, James miał stanąć przed sądem na kilka miesięcy przed czterdziestą rocznicą jej śmierci. Najprawdopodobniej czekała go egzekucja albo dożywocie. Ja zresztą byłem w podobnej sytuacji.

W końcu jednak dyrektor placówki zezwolił na nasze spotkanie. Postawił jednak warunki: będziemy oddzieleni szybą, a rozmowa zostanie nagrana. Mieliśmy porozumiewać się przez telefon, chociaż siedzieliśmy zaledwie kilka centymetrów od siebie.

Kiedy wszedłem do sali, James już na mnie czekał. Podniósł wzrok i przywitał mnie uśmiechem. Był ubrany w taki sam brązowy uniform jak ja. Wydawało się, że doszedł do siebie, mimo okoliczności wyglądał lepiej niż ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy. Rozpromieniony podniósł słuchawkę. Ja zrobiłem to samo, nie do końca przekonany. Zamiast się przywitać i zapytać, co u mnie słyszać, powiedział:

– Słyszałeś, że mają nakręcić remake *Trainspotting*?

Uśmiechnąłem się. Nic się nie zmienił, chociaż trafiliśmy do takiego miejsca.

– Szkoda, że nie ma tu z nami Kochaniutkiej – odparłem. – Na pewno tęsknisz za obiadami w Steak Yorku.

– Nie życzę jej tego. Zasługuje na coś lepszego. Zresztą jedzenie wcale nie jest tu takie straszne, jak myślałem. - Na moment zamilkł. – Masz jakieś wiadomości o Mirandzie?

Pokręciłem głową.

– Wiesz, że zawsze uważałem ją za chodzący ideał. No a ty... ty jesteś Ryanem Huffem. I tak długo razem wytrzymaliście.

Pokiwałem głową, lekko urażony. Potem zadałem mu pytanie: musiałem poznać odpowiedź. Miałem wrażenie, że tracimy czas, dlatego od razu przeszedłem do rzeczy:

– Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi prawdy o *Wspaniałym wczorajszym życiu*?

Nie dawało mi to spokoju od kilku miesięcy, od momentu, kiedy obejrzałem tamtą sekwencję w lipnym gabinecie doktora Morgana.

– Coś by to zmieniło?

– Może byśmy się od ciebie odsunęli. Może wszystko by się ułożyło, gdybym oddalił się od ciebie, a zbliżył do swojej żony.

– Nie wykluczam, że masz rację – odpowiedział po chwili milczenia.

– I... – Chciałem to powiedzieć. Musiałem to powiedzieć. – Może to wszystko by się nie wydarzyło, gdybyś na potrzeby swojego filmu nie doprowadził do śmierci Pauli Hicks.

– A więc o to ci chodzi. Obarczasz mnie winą za to, że Miranda nie była z tobą szczęśliwa.

– Mam na myśli to... że gdyby Miranda nie próbowała odkryć, co przytrafiło się Pauli, może wszystko byłoby nadal jak dawniej.

– Wiesz co, Ryane? Tak naprawdę to wszystko musiało się wydarzyć. Kino zawsze było dla mnie związane ze śmiercią. Nic na to nie poradzę. Postanowiłem kręcić filmy z powodu śmierci i z jej powodu zakończę swoją karierę. Tak będzie sprawiedliwie, nie sądzisz? Historia zatacza koło, jak we *Wspaniałym wczorajszym życiu*.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, dlaczego postanowiłem zostać reżyserem? Opowiadałem ci kiedyś o tym?

– Nigdy nie mówiłeś o swojej przeszłości. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, mam wrażenie, że nigdy cię tak naprawdę nie poznałem.

– Ta historia wydarzyła się na długo przed tym, zanim się poznaliśmy. Nikt jej nie zna. Ale myślę, że teraz, kiedy wszystko dobiega końca, powinieneś wiedzieć, dlaczego postąpiłem w ten sposób z Paulą. Dlaczego pozwoliłem jej umrzeć przed kamerą.

Przeraziło mnie, że mówi o tym tak obojętnie. Spoglądał na mnie pustym wzrokiem, jakby odtwarzał w myślach jakieś wspomnienie. Kiedy się odezwał,

odniosłem wrażenie, że odnalazł spokój.

– Moja miłość do obrazów, do kina, zrodziła się, kiedy byłem dzieckiem. Miałem wtedy jakieś osiem czy dziewięć lat. Dla zabicia czasu szwendałem się z chłopakami z sąsiedztwa: kopaliśmy puszki, rzucaliśmy kamieniami w drzewa albo szukaliśmy martwych zwierząt na brzegu Otter Creek, rzeki na zachód od Rutland, miasteczka, w którym się wychowałem. Zimą, kiedy rzeka zamarzała, zamiast odrabiać lekcje, szliśmy ciskać kamieniami w lód, ścigając się, kto pierwszy go przebijie. Po lekcjach wymykałem się z domu tylnymi drzwiami, żeby nie wpaść na ojca, który wracał z pracy. Tamtego dnia Dan Trevino, Tim Bush i Martin Scott, moja szkolna paczka, czekali już na mnie z rowerami. Tamto wspomnienie towarzyszy mi do dziś. Nigdy mnie nie opuściło. Pamiętam wszystko tak, jakby wydarzyło się wczoraj:

„Już zamarzła!”, krzyknął na mój widok Dan.

„Już? Nie za wcześnie?”, zdziwiłem się.

„Od prawie roku czekam na rewanż – odpowiedział. – Kiedy rano rodzice odprowadzali mnie na lekcje, była już zamarznięta”.

„I tak zawsze ja wygrywam – rzucił Tim. – Zabrałem bratu gazetkę, ten, kto mnie pokona, będzie mógł ją zatrzymać do czasu, aż wygra ktoś inny”.

„Ja już nie chcę tych twoich gazetek – poskarżył się Martin. – Ostatnim razem rodzice dali mi szlaban na cały miesiąc”.

„Tylko ty mogłeś wpaść na to, żeby oglądać ją przy otwartych drzwiach”.

„Nie mam drzwi. Rodzice wymontowali je z naszych pokoi, kiedy przyłapali moją siostrę z Zackiem”.

„Twoja siostra to dopiero kobieta. Myślisz, że któregoś dnia ona też będzie w jednej z tych gazetek, które ma brat Tima?”.

„Odczepcie się od mojej siostry!”.

Podczas gdy oni się kłócili, ja złapałem rower, który stał oparty o pomalowaną na biało drewnianą ścianę domu, i podjechałem do miejsca, gdzie na mnie czekali. Dan ruszył pierwszy, popedałowaliśmy za nim niewyasyfaltowaną drogą prowadzącą nad Otter Creek. Wjechaliśmy na drewniany most i zeskoczyliśmy z rowerów akurat w chwili, kiedy zatrąbił na nas kierowca zdezelowanego kombi.

Tim otworzył plecak i wyjął numer magazynu „Men Only”. Na okładce był akwarelowy obrazek przedstawiający kobietę z gołymi piersiami. Pamiętam tę okładkę. Do tej pory trzymam w domu tę gazetę, zafoliowaną.

„Ja cię! – pisnął Dan. – Widać jej cycki”.

„Skąd twój brat bierze takie rzeczy?”, zapytałem.

„Zamawia je i dostaje pocztą. Trudno je gdziekolwiek kupić”.

„Tym razem będzie moja”, zapewnił Dan.

Podszedł na skraj mostu i zebrał w T-shirt kilka okrągłych kamieni różnej wielkości. Kiedy wrócił, pozwolił, żebyśmy wybrali sobie po jednym. Resztę wyrzucił na deski, które zadrżały pod naszymi stopami.

– James, nie mam pojęcia, do czego zmierzasz – przerwałem jego opowieść.

Odniosłem wrażenie, że mnie nie usłyszał. Jego umysł nie przestawał mnie zdumiewać. Pamiętał ze szczegółami tamtą przygodę z dzieciństwa, a nie był w stanie logicznie uporządkować wydarzeń z ostatnich dni. Kiedy go słuchałem, zacząłem wątpić, czy to na pewno demencja. Może jednak faktycznie był po prostu ekscentrycznym geniuszem.

– Martin wybrał najmniejszy kamień – ciągnął Black, podczas gdy ja kiwałem głową po drugiej stronie szyby. – Tym razem nie chciał wygrać, chociaż ciekawiło go, co jest w środku gazetki. Pierwszy podszedł do barierki i delikatnie upuścił kamień na zamrożoną powierzchnię rzeki. Podbiegliśmy, żeby sprawdzić, czy przebił taflę. Nie przebił. Kamień dwukrotnie podskoczył i przejechał kawałek po lodzie. Martin odetchnął z ulgą.

„Teraz ja”, powiedział Tim.

Podniósł jeden z kamieni, które Dan wysypał na deski, i wychylił się przez barierkę. Zamachnął się i z całej siły cisnął nim w dół. Kamień z hukiem uderzył w taflę i odskoczył w stronę brzegu. Odprysnął kawałek lodu, ale uderzenie nie było wystarczająco silne, żeby kamień przebił się do wody. Wtedy wyrwałem się ja:

„Tym razem gazetka będzie moja. Żeby skruszyć lód, nie potrzeba ani dużej siły, ani największego kamienia. Wystarczy znaleźć miejsce, w którym tafla jest najcieńsza”.

Wdrapałem się na drewnianą barierkę.

„James, co ty wyprawiasz? Natychmiast stamtąd złaź!”, krzyknął Martin, zasłaniając dłońmi oczy.

„Ja cię”, szepnął Dan z uśmiechem.

To Dan zwykle robił takie rzeczy. Był nieprzewidywalny, zawsze pakował się w kłopoty. W przeciwieństwie do Martina nie przejmował się konsekwencjami, jeśli w trakcie mógł się dobrze zabawić. W naszej grupie panowała idealna równowaga: pedantyczny Tim, strachliwy Martin, łobuzerski Dan i ja. Byłem introwertykiem. Dlatego cała ta sytuacja tak bardzo rozbawiła Dana.

„Skacz, James!”, krzyknął.

„Co ty wygadujesz, Dan? Kurde, złaź. Jeśli spadniesz, nie chcę o niczym wiedzieć”, pisał Martin, „odbiło ci czy co?”.

Pamiętam, że nie zwracałem uwagi na Martina. Starłem się nikogo nie słuchać. Z uwagą wpatrywałem się w rzekę, szukając odpowiedniego miejsca. Rzucając kamień, stawiałem nie tyle na siłę, ile na celność. Koledzy podbiegli do barierki i śledzili wzrokiem jego trajektorię. Gdy tylko dotknął lodu, zniknął pod jego powierzchnią.

„Udało mu się! Wygrał James!”, zawołał Martin.

Ostrożnie zszedłem z barierki i spojrzałem na Dana. Przez kilka sekund wpatrywał się w otwór w lodzie wybity przez mój kamień. Potem powiedział:

„To mała dziurka, nie liczy się”.

„Jak to się nie liczy? Chodzi o to, żeby przebić lód i tyle”, odparłem.

„Tak, ale ja jeszcze nie rzucałem, a wygrywa większa dziura”.

„Od kiedy?”.

„Od teraz”.

Tim uśmiechnął się pod nosem, bo wiedział, że Dan zaraz wytnie jakiś numer. Przystaliśmy na tę wymyśloną na poczekaniu zasadę, bo dzięki niej mogliśmy się dalej bawić. Wyprawy z Danem często miały nieoczekiwany finał: a to staczaliśmy się w dół zbocza w metalowych beczkach, a to przez całe popołudnie strzelaliśmy w okna opuszczonego domu na skraju miasteczka ze śrutówki, którą skądś skombinował.

Dan złapał rower Martina i zanim którykolwiek z nas zdążył zareagować, wystawił go za barierkę.

„Jak myślicie, jaką dziurę zrobi?”, zapytał Tim.

„Dan, to nie jest śmieszne”, powiedziałem rozzłoszczony, „odstaw go”.

„Dan! Ani się waż!”, Martin wrzasnął, próbując złapać swój rower.

„Na pewno gigantyczną!”, zawołał Tim.

Tim znieruchomiał – jako jedyny chciał zobaczyć, co się stanie, kiedy rower spadnie na zamarznąłą rzekę.

„Dan! Oddaj mój rower!”.

Martin zaczął szarpać Dana, udało mu się schwycić kierownicę, ale wtedy Dan mocno go odepchnął i Martin upadł na most. Wszyscy trzej umilkliśmy, z niedowierzaniem wpatrując się w Dana.

„Ale z was trzęsidupy”, stwierdził, po czym wrzucił rower do rzeki.

Sekundę później pod mostem rozległ się huk. Podbiegliśmy do barierki, żeby popatrzeć, jak rower znika w lodowatej wodzie Otter Creek, ale okazało się, że upadł na grubą warstwę lodu blisko brzegu.

„A niech to”, rzucił Dan obojętnym tonem.

„Czasami przeginasz”, stwierdziłem. „Chodźmy na dół po rower”.

„Że co? Ja nigdzie nie idę. Muszę spadać”, odparł, jakby go to nie dotyczyło.

Spojrzałem na Tima i wyczytałem w jego oczach, że on również nam nie pomoże.

„Ty też idziesz?”

Przez moment się wahał, ale w końcu wszedł na rower i zaczął gonić Dana, który odjechał już spory kawałek.

Zeszliśmy nad rzekę z Martinem, który uparł się, że odzyska rower – leżał jakieś trzy metry od brzegu. Łód wydawał się dość cienki, ale Martin wszedł na niego pewnym krokiem. Ślizgając się, ruszył w stronę roweru.

„Uważaj!”, krzyknąłem. „To niebezpieczne”.

Martin postawił rower i spojrzał na mnie triumfująco. Nigdy nie zapomnę jego rozpromienionej twarzy.

„Operacja ratunkowa zakończona sukcesem”, powiedział z uśmiechem od ucha do ucha. „Dan może się pierdolić”.

I wtedy to się stało.

Pod jego stopami rozległo się ciche trzaśnięcie. Szczęście malujące się na twarzy Martina w jednej chwili ustąpiło miejsca przerażeniu. Zarwał się pod nim lód, przyjaciel zniknął mi z oczu. Chwilę później do tej samej dziury wpadł jego rower.

– I wiesz, co było potem, Ryanie? Wiesz, co zrobiłem, żeby mu pomóc? – zapytał James.

Wydawało się, że wrócił do naszej rozmowy przez szybę.

– Nie – odpowiedziałem, poruszony jego opowieścią.

– Nic. Absolutnie nic. Przyglądałem się zafascynowany, jak niknie pod lodem, a po nim jego rower.

– Nie pomogłeś mu? Nie próbowałeś go ratować? Wzywać pomocy?

James z powagą pokręcił głową i zdjął okulary. Rzadko go bez nich widywałem.

– Kiedy ciało Martina zniknęło pod lodem, w pierwszej chwili oniemiałem, ale potem... potem w milczeniu obserwowałem wir, który powstał w przeręblu. Zafascynowany patrzyłem na wodę kręcącą się w miejscu, w którym utonął mój przyjaciel. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. To było kino, Ryanie. To było kino. Rozumiesz? Następnego dnia znaleziono jego ciało, kilometr od Rutland. Prąd porwał je pod lodem, rzeka wyrzuciła je przy trzcinach porastających brzeg.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Byłem zszokowany jego opowieścią.

– Dlatego właśnie pozwoliłem umrzeć Pauli. To było kino. Paula była kinem. Tamta chwila był kinem. Nie mogłem pozwolić jej umknąć. Zobaczyłem ją zakrwawioną w samochodzie i poczułem dokładnie to samo co wtedy, kiedy Martin utonął w rzece. Poczulem... podziw dla tej chwili. Po prostu musiałem ją

sfilmować. Wiesz, czego żałuję?

Zaczekałem, aż sam odpowie.

– Żałuję, że nie mogłem sfilmować przerażonej miny Martina.

To zdanie przyprawiło mnie o mdłości. Pomyśleć, że ten człowiek był kiedyś moim przyjacielem.

– Zawsze byłeś potworem, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy?

– Ryanie, błagam cię! Ty jesteś ponad takie rzeczy. Masz w oczach ten sam błysk co ja. Dlatego przyjaźniliśmy się przez te wszystkie lata. Odznaczasz się tą obojętnością wobec makabrycznych historii, dzięki której można zaistnieć w świecie filmu. Masz talent. Jesteśmy tacy sami. Ty piszesz scenariusze, ja stoję za kamerą. Twoja żona znika, a ty co robisz? Nic. Gównu cię to obchodzi, pod warunkiem, że to gówno za bardzo cię nie opryska. Jesteś taki jak ja, Ryanie. W końcu myślimy podobnie: sztuka stoi ponad śmiercią.

Zadrżała mi ręka, wypuściłem słuchawkę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Obejrzałem się za siebie, strażnik uprzedził mnie ruchem dłoni, że powinniśmy już kończyć. Wstałem, unikając spojrzenia Jamesa, i podeszedłem do drzwi. Byłem roztrzęsiony. Zrozpaczony.

Odwróciłem głowę, świadomy, że ostatni raz widzę Blacka: nie mogłem utrzymać kontaktów z kimś takim jak on. Ku mojemu zaskoczeniu jego ekscentryczny, szalony albo starczy umysł kazał mu podarować mi ostatnie wspomnienie: James udał, że filmuje mnie kamerą. Chwilę później pożegnał się ruchem dłoni i posłał mi ostatni uśmiech.

Nazajutrz znaleźli w celi jego zwłoki: powiesił się na prześcieradle. Wiadomość o śmierci wielkiego Jamesa Blacka obiegła cały świat, jego filmy, bojkotowane, odkąd został zatrzymany, znów były puszczone na wszystkich kanałach. Śmierć potwora sprawiła, że świat wybaczył mu jego okrucieństwa. Przypomniałem sobie, ile razy upokorzyłem, uderzyłem albo zmieszałem z błotem Mirandę. I zadałem sobie pytanie, na które nie chciałem poznać odpowiedzi: czy moja śmierć też zmałałaby okrucieństwa, jakich się dopuściłem?

EPILOG

Dziwna rodzina

Hidden Springs

Kilka miesięcy później

Z powodu złej jakości obrazu w starym telewizorze kineskopowym nie można było zobaczyć wyraźnie twarzy Jamesa Blacka, który zakuty w kajdanki wysiadał z furgonu policyjnego, ale z jego ruchów przebijała rezygnacja. Funkcjonariusze na próżno starali się zasłonić kamery rękami, żeby świat nie ujrzał, jak reżyser pokonuje odcinek dzielący go od bramy więzienia stanowego w Kalifornii.

Jeremie spojrział na ekran i zawołał:

– Miranda, Anne, Mandy! Szybko, chodźcie! Coś się stało.

– Co się dzieje? – zapytała Anne, wychodząc z pokoju z wilgotną ściereczką.

Za nią pojawiła się Miranda.

– Gdzie jest Mandy? – zapytała.

– Chyba na zewnątrz – odparł Jeremie.

Miranda podeszła do okna: Mandy siedziała na drewnianym krześle i z niewielkiego ganku patrzyła na drzewa.

– Mandy, powinnaś to zobaczyć. W telewizji mówią o Blacku.

Mandy odwróciła głowę i wstała. Była w piątym miesiącu ciąży, pod ubraniem rysował się jej zaokrąglony brzuch. Kiedy weszła do domku, Miranda objęła ją ramieniem. Obie spojrzały na ekran.

Mandy z powagą wpatrywała się w telewizor, delikatnie gładząc brzuch.

– Podgłośnij – powiedział Jeremie. – Niech tata też posłucha.

Po domku rozniósł się głos prezenterki:

– Zastępca dyrektora więzienia stanowego w Kalifornii poinformował na zwołanej w trybie pilnym konferencji prasowej, że dziś rano strażnicy znaleźli zwłoki Jamesa Blacka, który powiesił się w swojej celi. Ceniony filmowiec i reżyser *Wspaniałego wczorajszego życia* został aresztowany kilka miesięcy temu w związku z podejrzeniem o przyczynienie się do śmierci Pauli Hicks, która zniknęła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku i której szczątki wydobyto niedawno z jeziora niedaleko Hidden Springs. Jego samobójstwo oznacza radykalny zwrot w sprawie, nie będzie mógł bowiem stanąć przed sądem

podczas zaplanowanej na przyszły tydzień rozprawy.

Na ekranie pojawił się zastępca dyrektora więzienia. Stał na mównicy, mierzyło w niego kilkadziesiąt mikrofonów. Biały napis pod spodem głosił: „James Black popełnia samobójstwo na tydzień przed procesem o morderstwo”.

Prezenterka kontynuowała relację:

– Kilka dni temu technicy skończyli oględziny samochodu, w którym Paula Hicks spadła w ponad trzydziestometrową przepaść. Podobno ktoś przeciął przewody hamulcowe. Związek reżysera ze sprawą Pauli Hicks wyszedł na jaw po tym, jak do mediów wyciekła robocza wersja filmu *Wspaniałe wczorajsze życie* nakręcona amatorską kamerą w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku – jej fragmenty za chwilę państwu pokazemy. Taśma pozostawała w ukryciu przez kilkadziesiąt lat. Podobnie jak w oficjalnej wersji filmu, samochód bohaterki spada w przepaść, tyle że tym razem nie chodzi o fikcję, a o prawdziwy wypadek, spowodowany przez reżysera. Odnalezienie szczątków Pauli Hicks było możliwe dzięki poszukiwaniom Mirandy Huff, która uciekła od męża po tym, jak odkryła, że prawdopodobnie zamordował on Jennifer Straus w wynajętym domku w Hidden Springs.

– Już po wszystkim! – zawołała Anne. – Już po wszystkim.

– To koniec – wyszeptał Jeremie. – To koniec. Nie mogę w to uwierzyć.

– Tato! Udało się! – krzyknęła Anne, wbiegając do sypialni. – Pamiętasz, jak ci obiecałam, że świat pozna prawdę? – szepnęła do ucha ojcu, który leżał w łóżku z zamkniętymi oczami.

Z jego ust wydobył się lekki szmer, który zinterpretowała jako „tak”.

– James Black nie żyje, tato – wyszeptała ze łzami w oczach. – I cały świat dowie się, co zrobił naszej mamie. To już koniec!

Na dźwięk słowa „mama” Jeff uchylił powieki. Anne poprosiła, żeby niepotrzebnie się nie męczył, ale on i tak się odezwał:

– Dzię... dziękuję, Anne. Wasza... wasza mama... nie zasługiwała na to... co ją spotkało.

Anne promieniała ze szczęścia. Do łóżka podszedł także uśmiechnięty Jeremie.

– To był pomysł Mirandy – powiedziała Anne, wskazując otwarte drzwi pokoju.

– Ona to wszystko wymyśliła. Jej umysł jest... jest genialny. Udało nam się, tato. Udało nam się! Domek, film, zniknięcie, śmierć Jennifer. Wszystko poszło zgodnie z planem! Wszystko!

Jeff głośno zakasłał. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale wtedy po jego policzku spłynęła łza.

– Co się dzieje, tato? Dobrze się czujesz? Przynieść ci wody? – zapytała

zaniepokojona Anne.

– Po... powiedzcie... powiedzcie mi, że nie... że nie mieliście nic wspólnego ze... ze śmiercią... tej dziewczyny - wyszeptał Jeff.

Anne spojrzała na niego zaskoczona.

– No... nie... w sensie... to musiało się stać, tato. Było... konieczne.

Jeff ponownie zaniósł się kaszlem. Kiedy wreszcie zdołał nad nim zapanować, po jego pomarszczonej, poprzecinanej bliznami twarzy popłynęły łzy. Szlochał, chociaż ledwo mógł oddychać.

– Dlaczego płaczesz, tato? – zapytała Anne, zdezorientowana. – Wreszcie jest po wszystkim.

Jeremie zmarszczył czoło, zaniepokojony. Podszedł do siostry i objął ją ramieniem.

– Dobrze się czujesz, starszku? Co się dzieje? Dlaczego płaczesz? – wyszeptał łagodnym tonem.

Wargi Jeffa zaczęły drżeć, walczył, żeby coś powiedzieć.

– Czego potrzebujesz? Nie forsuj się, proszę – powiedział Jeremie.

– Je... jesteście... go... gorsi od Blacka.

Anne znieruchomiała. Przeszył ją dreszcz, malujący się na jej twarzy niepokój zastąpiło przerażenie. Zdesperowany Jeremie pochylił się nad ojcem.

– Dlaczego tak mówisz? Dlaczego?

Jeff wyszeptał kilka słów, odwracając głowę w stronę syna. Jeremie przysunął się, żeby lepiej go zrozumieć. Przez chwilę wsłuchiwał się w dobiegający z jego ust świst. Do jego oczu napłynęły łzy, kiedy dźwięki ułożyły się w zdanie: „Jesteś mordercą”.

Jeff wrócił do wcześniejszej pozycji. Resztką sił cofnął rękę, kiedy poczuł na niej dłoń syna. Zamknął oczy, drżał. Anne wystraszyła się, widząc, że ojciec odtrąca jej brata. Przywarła głową do piersi Jeffa.

Miranda przyglądała się tej scenie z salonu, gdzie została z Mandy.

– Wszystko w porządku? – zapytała. – W końcu ty i Black... byliście bardzo zżyci.

– No cóż... w pewnym sensie to dość smutne, nie uważasz?

– Jego śmierć?

– To, że poświęciłam tyle lat komuś takiemu. Pomagałam mu z podziwu dla niego i jego filmów. Naprawdę go podziwiałam. Gdybym wiedziała, co zrobił, nie marnowałabym swojego życia na to, żeby mu we wszystkim asystować. Wkurza mnie, że wcześniej się nie domyśliłam.

– Ja popełniłam ten sam błąd, a spójrz na mnie teraz. Ryan co prawda nie był

takim potworem jak Black, ale... ale kto wie, do czego byłby zdolny, gdyby dalej się go trzymał. Wreszcie odnalazłam spokój. W zasadzie to nigdy wcześniej nie czułam aż tak wyraźnie, że żyję – powiedziała z uśmiechem Miranda.

– Jak możesz być taka spokojna? – zapytała Mandy. – Nie wiem, czy to był najlepszy sposób na... na to, żeby wszystko zmienić.

Miranda przez chwilę milczała. Na wspomnienie Jennifer poczuła w piersi kłujący ból.

– Musiałam wybrać. Czasami trzeba poświęcić to, kim się jest, żeby móc dalej żyć. Wierz mi, już nigdy nie będę taka jak wcześniej. Nie da się cofnąć czasu... Stałam przed wyborem: ona albo ja. Światem rządzi prawo dżungli, trzeba jakoś przeżyć.

Mandy skinęła głową, nie do końca przekonana.

Miranda podeszła do niej i przyłożyła jej dłoń do brzucha.

– Pierwszy raz od bardzo dawna – wyszeptała – mam wrażenie, że stworzyłam rodzinę.

– Chyba powinnam... ci podziękować za to, że nie pozwoliłaś mi usunąć ciąży, chociaż... chociaż to dziecko Ryana.

– Ta śliczna dziewczynka, która rośnie w twoim brzuchu, nigdy nie będzie jego. Dzieci są tego, kto je kocha. A zapewniam cię, że tu, w tym domku, czego jak czego, ale miłości nigdy jej nie zabraknie.

Mandy kolejny raz skinęła głową, po czym zadała jeszcze jedno pytanie:

– Skąd wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, że jestem w ciąży z Ryanem?

– To proste. Kilka tygodni wcześniej próbowałaś się z nim skontaktować i zadzwoniłaś na numer domowy. Znałam już wtedy Anne i Jeremiego. Włączyła się automatyczna sekretarka i odsłuchiłam wiadomość, którą nagrałaś. Nie powiedziałaś tego wprost, chodziło raczej o sposób, w jaki... Po prostu domyśliłam się, w czym rzecz.

– Będziesz umiała wybaczyć mi kiedyś to, co się stało?

– Chyba w żadnym momencie nie czułam do ciebie nienawiści. Nawet kiedy dowiedziałam się o ciąży. Bardzo cię cenię, Mandy.

Mandy pozwoliła się przytulić. Spojrzała w stronę sypialni: rodzeństwo płakało, klęcząc przy umierającym ojcu.

– Wiesz co? Wybrałam już dla niej imię – rzuciła.

– No co ty? Naprawdę? Jak będzie się nazywała nasza gwiazdeczka?

– Paula. To imię, któremu w pewnym sensie zawdzięczamy tę naszą... dziwną rodzinę.

Miranda odpowiedziała jej uśmiechem. Mandy objęła przyjaciółkę, a po chwili

otoczyły je ramiona Anne i Jeremiego.

Cztery osoby, które połączyło i zmiądzżyło kino, trwały splecione w uścisku. Miranda zorientowała się, że Anne i Jeremie płaczą i że w pokoju Jeffa nie pali się już lampka. Nigdy jej nie gasili, bo ich ojciec lubił, kiedy słaby blask rozjaśniał ciemność panującą pod jego zamkniętymi powiekami. Przypominało mu to półmrok sali kinowej przed rozpoczęciem projekcji. Miranda na moment się odsunęła. Kiedy spojrzała rodzeństwu w oczy, domyśliła się, dlaczego zgasili światło. Poczła ukłucie w sercu, ale nie z powodu Jeffa, a Jennifer. Dotarło do niej, że przekroczyła czarną linię, zza której nie ma powrotu, że zanurzyła się w ciemnej studni, z której już nigdy się nie wydostanie. Zrozumiała, że nie będzie mogła się niczym cieszyć z powodu obrazu, który prześladował ją w snach: zabarwionej na czerwono wody wirującej wokół odpływu prysznic. Ale ta nowa, mroczna, spowita ciemnością Miranda wiedziała w głębi duszy, że stała się częścią czteroosobowej rodziny, która potrafi porozumiewać się bez słów. Mocno przytuliła przyjaciół i szepnęła, zanosząc się szlochem:

– My zawsze będziemy rozbieleni.

Podziękowania

Dziękuję Veronice za to, że stała się moją największą podporą i inspiracją, a także Gali i Brunonowi, gwiazdeczkom w filmie mojego życia.

Dziękuję mojemu wydawcy Gonzalowi za jego nagrania, które powinny być częścią tej książki, i za to, że wszedł do mojej rodziny razem ze swoją.

Dziękuję Anie, bo pomimo dzielącej nas odległości i mejli, które wysyłam jej o nieprzyzwoitych porach, wydaje się, że jest tuż za rogiem, zawsze gotowa mnie wysłuchać i podnieść na duchu dobrym słowem.

Dziękuję także tym wszystkim, dzięki którym ta powieść rozejdzie się po świecie: Conxicie, Marii Reinie, Ricie, Anie, Mar, Laurze, Carlocie, Davidowi i wielu innym osobom, które życzliwie pchają do przodu moje książki, które z czułością pokazują je innym, które z radością je rekomendują. Chociaż ich nie widać, istnieją, są wszędzie; robią coś wielkiego, nad czym ja sam nie panuję.

Dziękuję księgarzom za to, że z otwartymi ramionami przyjmują na spotkaniach autorskich mnie i moich czytelników, i za to, że znaleźli dla mnie trochę miejsca na swoich półkach.

Zawsze zostawiam najważniejszą, końcową część podziękowań dla tych, którzy z zapartym tchem dotarli do tego miejsca i mają ochotę na więcej. Dziękuję Wam, Czytelnicy, za czas, jaki mi poświęciliście, za Wasze westchnienia po przeczytaniu ostatniego zdania rozdziału, za Wasze uściski podczas spotkań autorskich, za Wasze łzy wzruszenia, za tak ważne dla mnie komentarze w internecie, za to, że cierpliwie na mnie czekacie, że rozmawiacie o moich książkach z bliskimi i przyjaciółmi, że sygnalizujecie mi, które fragmenty najbardziej Wam się podobały i sprawiły, że nie mogliście oderwać się od lektury, za to, że zakochujecie się w którejś z postaci, a kiedy dobrze ją poznajecie, zaczynacie jej nienawidzić, i za to, że nienawidzicie innej, a po odkryciu prawdy zaczynacie darzyć ją miłością. Przede wszystkim jednak DZIĘKUJĘ Wam za to, że kolejny raz wciągnęliście się w historię, którą niezbyt znany pisarz napisał po to, by wyrwać Wam kilka westchnień.

Dziękuję Wam z całego serca.

Do zobaczenia wkrótce, w Hidden Springs.

Spis treści

Motto

Dedykacja

Prolog. Następny ranek

Rozdział 1. Ostatni raz

Rozdział 2. Starzy znajomi

Rozdział 3. Kiedy wszystko cię boli

Rozdział 4. Domek

Rozdział 5. Krew

Rozdział 6. Między wierszami

Rozdział 7. Tornado

Rozdział 8. Projektor

Rozdział 9. Podejrzany

Rozdział 10. Tajemnice

Rozdział 11. Szaleństwo

Rozdział 12. Pierwsze spotkania

Rozdział 13. Wielka miłość

Rozdział 14. Tylko nie to

Rozdział 15. Liczy się każde ujęcie

Rozdział 16. Potwór?

Rozdział 17. Plastikowy worek

Rozdział 18. Pierwsze zakończenia

Rozdział 19. Zwolniony

Rozdział 20. Strach

Rozdział 21. Podziemne kino

Rozdział 22. Na dnie jeziora

Rozdział 23. Ojciec i syn

Rozdział 24. Film wszech czasów
Rozdział 25. Bez śladu
Rozdział 26. Błąd
Rozdział 27. Ktoś
Rozdział 28. Wystawieni
Rozdział 29. Musisz mnie wysłuchać
Rozdział 30. Łzy
Rozdział 31. Cienie
Rozdział 32. Nieprawdopodobny scenariusz
Rozdział 33. Drobnie kłamstewka
Rozdział 34. Strach i zemsta
Rozdział 35. Cios nożem
Rozdział 36. Gwiazdeczka
Rozdział 37. Logiczne wytłumaczenie
Rozdział 38. Końcowa sekwencja
Rozdział 39. Wspaniałe wczorajsze życie
Rozdział 40. Dwa pocałunki
Rozdział 41. Alternatywne zakończenie
Rozdział 42. Domek z kart
Rozdział 43. Pięść
Rozdział 44. Winny
Rozdział 45. Ostatni dzień zdjęciowy
Rozdział 46. Idealna żona
Rozdział 47. Pokonany
Rozdział 48. Przepaść
Rozdział 49. Euforia
Rozdział 50. Dzikie spojrzenie
Rozdział 51. Noc przed zniknięciem
Rozdział 52. Kino i śmierć
Epilog. Dziwna rodzina
Podziękowania